

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(Aigle Blanc)

September 1965

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

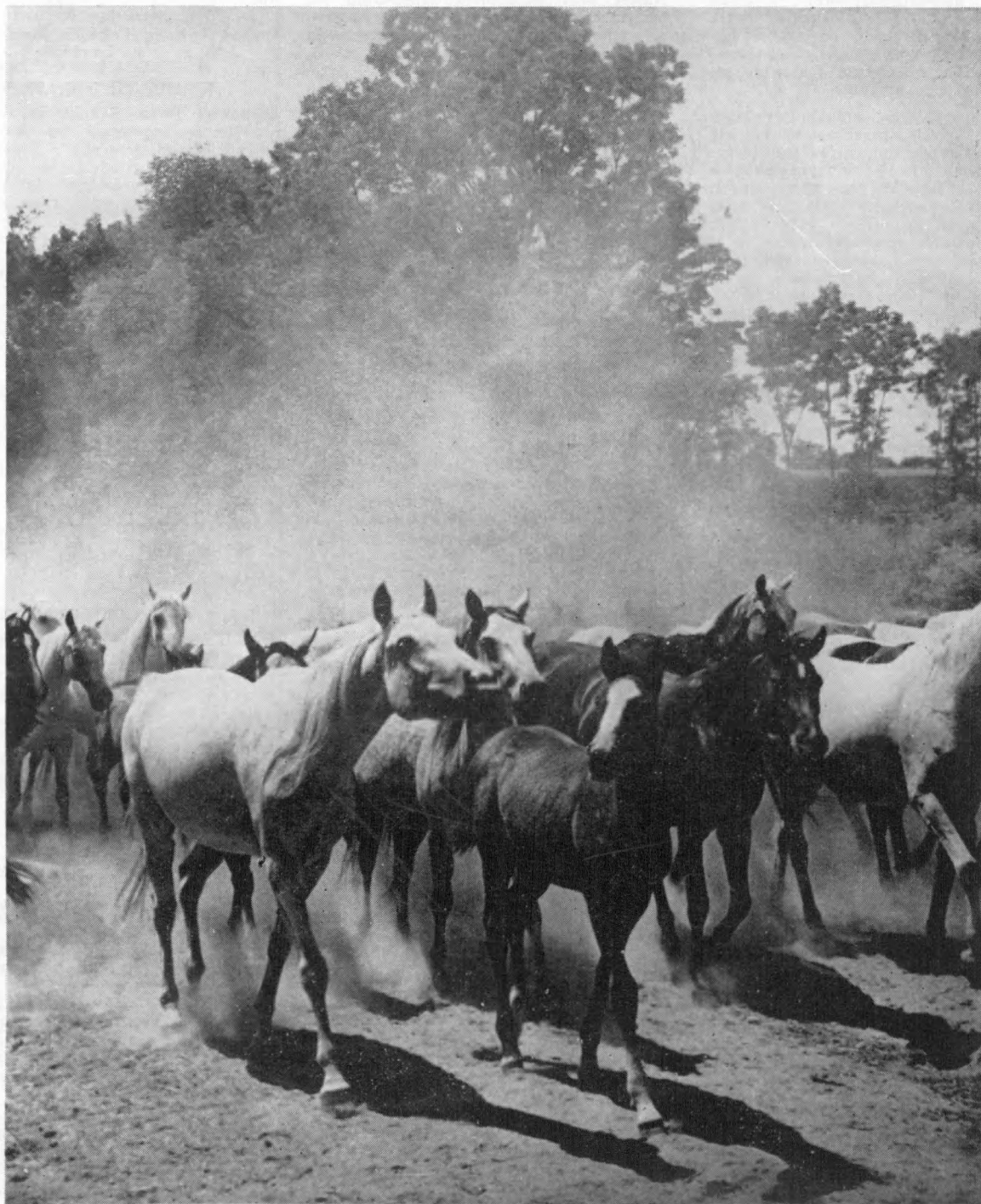
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C

SYRENA

WRZESIEŃ
1965

Nr 14/1161



W drodze do wodopoju

Zdjęcie ze zbiorów prywatnych — Serebryszcze, pow chełmski

FOD 9156

„TEZA — ANTYTEZA — SYNTEZA”?

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze lipcowym redagowanego przez Pana „Orla Białego“ pojawił się artykuł Stanisława Paczyńskiego, zatytułowany: „TEZA — ANTYTEZA — SYNTEZA”?

— W artykule tym, autor zajmuje się zagadnieniem infiltracji komunistycznej a specjalnie akcją „PAX”u, którego tezy polityczne, czy też jak to autor formuluje „antytezy“, rzekomo zaczynają wypierać coraz bardziej polską „tezę“ emigracyjną.

W prasie niepodległościowej — pisze p. Paczyński — pojawia się coraz mniej artykułów antysowieckich i antyreżymowych a coraz więcej antyniemieckich. Dawniej — było inaczej. Cytuję dosłownie jeden z ustępów jego artykułu:

„Toteż broniąc na przykład granicy na Odrze i Nysie, przeciwstawiając się niemieckim tendencjom rewizjonistycznym, równocześnie — w tych samych artykułach prasowych, w tych samych wypowiedziach emigracyjnych polityków, w tych samych rezolucjach uchwalanych przez organizacje społeczne — domagaliśmy się wolności naszego narodu, piętnowaliśmy sowiecki imperializm, nazywaliśmy nadwiślański reżim po imieniu“.

Dzisiaj — pisze dalej p. Paczyński — sytuacja się zmieniła i zaczyna na emigracji zwyciężać infiltrowana przez reżym „paxowsko-sowiecka antyteza“. Na dowód słuszności swego twierdzenia wskazuje p. Paczyński m.in. na rezolucję, uchwaloną przez ostatnie Walne Zebranie Związku Polskich Ziem Zachodnich w Londynie i jej treść pozwala sobie scharakteryzować następująco:

„...wszystko w niej (tj. w rezolucji) wskazuje na to, że paxowska nauka „poprawnego rozumowania politycznego“ odniosła niebываły sukces. Nic tedy dziwnego, że paxowskie „Słowo Powszechne“ z 21 maja br. tłustym drukiem podaje obszerne wyjątki emigracyjnej rezolucji“.

Na marginesie wywodów p. Paczyńskiego nasuwa się kilka pytań:

Czyżby p. Paczyński nie znalazł treści naszej rezolucji, pomimo że sam stwierdza, że treść jej opublikował „Dziennik Polski“ w dniu 20 maja? A jeśli p. Paczyński (co wydaje się bardziej prawdopodobne) zna

treść tej rezolucji, to dlaczego przemilczała akurat te punkty rezolucji, które przemilczała prasa krajowa? Po co ta mistyfikacja i jakiej „tezie“ ma ona służyć? Czy chodzi tylko o podmurowanie przy pomocy takiej mistyfikacji wątpliwych logicznie wywodów (tak by artykuł wypadł lepiej), czy też może, kryje się w takiej metodzie gwałtowna chęć podmurowania jakiejś „tezy“ czy „antytezy“, której autor oddaje swe usługi?

Nawet przy pobieżnym zapoznaniu się z treścią naszej rezolucji nie sposób przeoczyć tych akcentów, których nie zauważył p. Paczyński, a które ze względów rozumiałych przemilczała prasa krajowa. Mam tu na myśli przede wszystkim punkt I, rezolucji, w którym z racji 20-lecia zakończenia wojny wyrażony jest hołd tym, którzy zginęli z ręki niemieckiej i tym, co ponieśli śmierć w „rosyjskich lagrach i miejscach kaźni“. W tym samym ustępie podkreślił, że milionowe straty poniesione przez naród nie zdolały „wywalczyć i okupić niepodległości Polski“... W ustępie II, wskazaliśmy wyraźnie na sojusz sowiecko-niemiecki, który doprowadził do likwidacji niepodległości państw na wschodzie Europy.

Sądzę, że każdy logicznie myślący czytelnik, chociażby nawet skąd inąd nie wiedział o celach i działalności Związku Polskich Ziem Zachodnich w Londynie, po przeczytaniu treści naszej rezolucji nie mógł i nie może mieć żadnych wątpliwości jakim celem ideologicznym służy nasza organizacja. Toteż rezolucja znalazła pozytywny odzew w niemal całej prasie niepodległościowej. Nie ukrywamy tego, że niektóre pisma krajowe przytoczyły wyjątki z naszej rezolucji, przemilczając akcenty niepodległościowe i antysowieckie. Ze strony niektórych pism emigracyjnych, będących na usługach reżymu, spotkaliśmy się natomiast ze słowami krytyki, między innymi za stawianie znaku równania między agresją niemiecką i sowiecką.

Z przykrością zdecydowałem się na skreślenie powyższego oświadczenia, czy sprostowania, gdyż uważam, że Związek nasz mający za sobą ponad 15 lat pracy polityczno-niepodległościowej, nie ma potrzeby reagowania na bezpodstawne zarzuty, czy wręcz insynuacje. Jeśli zdecydo-

wałem się na zabranie głosu, to głównie dlatego, że artykuł p. Paczyńskiego został opublikowany w „Białym Orle“ a więc w piśmie niepodległościowym, którego Redakcji (zresztą doskonale obznajmionej z celami, założeniami i pracami naszego Związku) powinno zależeć na tym, by na łamach jej pisma nie pojawiały się artykuły, mogące wywołać wśród Polaków, mieszkających poza Wielką Brytanią, dezorientację i zamieszanie.

Upieram się proszę Pana Redaktora o zamieszczenie powyższego oświadczenia w najbliższym numerze Jego poczytnego pisma.

Łączę także wyrazy szacunku i poważania

Stanisław Krause,
Prezes Związku Polskich Ziem Zachodnich
w Londynie

KUŻMA TO NIE CZESŁAW

Szanowny Panie Redaktorze,

„Wieszcz zapragnął tej pociechy, żeby zablądzić pod strzechy“. Stąd też z satysfakcją stwierdziłem iż udało mi się to osiągnąć. Wprawdzie „zablądziłem“ nie tyle pod strzechy co między gmin, ale w każdym razie o tym co piszę, odbieram po parę anonimowych telefonów co tydzień z polajankami w kilku językach. Z początku byłem tym przejęty, potem mnie to bawiło a teraz raczej nudzi. Już wolę, kiedy panienki dopytują się czy aby nie jestem Essoldo Cinema? Ile że nasze numery telefoniczne są podobne.

Mimo to, pragnę zaprotestować przeciw wymyślaniu mi na temat artykułów p. Kuźmy Wołka. Jest to, o ile wiem, raczej pseudonim, i domyślam się iż kryje się pod nim mój bardzo daleki krewny, którego, niestety, znać muszę. I nie poza tym. PT. anonimowych telefonistów u-przejmie proszę o przyjęcie powyższego sprostowania pod uwagę.

Szczerze oddany

Czesław Jeśman

36, Lamont Road,
London, S.W.10.

NUMER LOTNICZY

...Gratuluję numeru lotniczego. Wśród materiałów rocznicowo-patriotycznych, którymi nasycają lamy naszych gazet, treść artykułów w Waszym numerze sierpniowym wzruszyła swą prostotą i tym co przywykliśmy nazywać tonem „matter of fact“.

A za „Twarz Lotnika“ na okładce należy się najwyższe uznanie artyście. Tym bardziej, że jak zrozumieliem nie jest to rysunek z fantazji lecz portret ppor. Lechnickiego.

Stefan Magierski
Manchester

KONFLIKT POKOLEŃ...

Szanowny Panie,

Co się stało z szumną zapowiedzią „porównania do tematu“ poruszonego przez Romualda Kubisza w jednym z poprzednich numerów?

Czyżby redakcja uznała, że „konflikt pokoleń“ nie istnieje? A może uznała temat za zbyt niebezpieczny i zdecydowała nie dać głosu młodemu o sobie? Moje doświadczenie uczy, że tak właśnie się stało.

Z poważaniem
Julian Stępień
tymczasowo z Paryża

— Doświadczenie źle Pana uczy. „Młodzi“ nie wypowiedzieli się o sobie z wyjątkiem paru wydrukowanych zresztą listów. Jeżeli nie „daliśmy komuś głosu“ to właśnie narzekaniom ludzi starszych. Prosimy o nie „tymczasowy“ adres. — Red.

fraszki

Mąż panem domu

*Chociaż dumnie pierś swą pręży
Dawno chodzi już w uprząży.*

Potęga ducha sportowego

*Nawet największa ofiara,
Choć raz wygrać się stara.*

Pochwała lekkich trunków

*Nawet podwójny Martini
Nikomiu krzywdy nie czyni.*

RAWICZ

W NUMERZE:

Zdzisław Stahl: Nowa era stosunków Waszyngton — ONZ	2
Kuzma Wołk: Nic o nas bez nas	4
W. Opolski: Dylematy gospodarki polskiej	5
Aleksander Bregman: Co Niemcy myślą o ziemiach za Odrą i Nysą	7
Jan Tokarski: Summariusz III sesji Soboru Watykańskiego	8
Jan Ostrowski: Głos polskiej filozofii	13
Zbigniew Grabowski: Rola pisarza w społeczeństwie	14
Stefan Legeżyński: Giacometti	17
Paweł Zaremba: Kryterium „inteligencji“	18
Klara Evans: Wdowa Marchese	20
J. P. H.: Między plotką i anegdotą	24
J. O.: Życie kulturalne polskiego Londynu	26
Tadeusz Podgórski: Ludzie emigracji	28
Dr Michał: Angina pectoris (gawędy lekarskie)	30
Kazimierz Głabisz: Pomoc „Bundeswehry“ dla krajów afrykańskich	31
Stanisław Paczyński: Druga ofensywa Pierwszej Panцерnej	32
M. Czołch: Wojsko polskie w Szwajcarii	35
Kazimierz Schleyen: W obronie prawdy i faktów	37
Mieczysław Paszkiewicz: Dybowski, Kirkor, Hryniewicz — pionierzy angielskich czytelników publicznych	39
Hilda Jankowska: Polski król-emeryt w Lotaryngii	41
Stefan Wóycicki: Cudze szczęście	45
Teodozja Lisiewicz: „Maria i Marta“	46
Apel Inwalidów	47
Krzyżówka oraz „Uwagi przydrożne“ (Atom)	48



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 14/1161

WRZESIEŃ 1965

Rok XXV

* * *

W przede dniu czwartej i ostatniej sesji Soboru, drukujemy obszerną analizę przebiegu i wyników dotychczasowych prac na sesji trzeciej. Artykuł Jana Tokarskiego wywoła być może kontrowersję. Oznacza się bowiem nie tylko ścisłością informacji, lecz także śmiałością ocen.

Jak głęboko sięgną reformy soborowe, dowiemy się dopiero po upływie dłuższego czasu. Trudno będzie przykładać do nich miarę ukutą przez niecierpliwych zwolenników gwałtownych zmian, którzy przy zacząciu Soboru wytwarzali wokół jego obrad atmosferę nieomal sensacyjną. Spotkał ich zawód. Niemniej II Sobór Watykański zostanie jednym z najważniejszych wydarzeń współczesnych.

* * *

Innym zjawiskiem współczesnym, które wywraca stary porządek myślenia, jest emancypacja świata spod przewagi ludzi białego koloru skóry. Przeobrażenia polityczne są jednym tylko elementem tej rewolucji. Strona psychiczna zjawiska jest ważniejsza. Zjawisku towarzyszy nieunikniony zapewne zgrzyt w postaci narastania nie-nawiszczy rasowych. Gwałtowne jej wybuchy zaciemniają często pozytywne osiągnięcia.

Współzycie ludzi różnego koloru skóry w coraz malejącym świecie oprzeć się może tylko o system myślenia stawiający godność człowieka ponad krzykliwe ambicje, egoistyczne interesy i zakorzenione uprzedzenia. Czy istnieje taki system? Czy ma szansę pozytywnego działania, chociażby na skutki czekać przyszłość dłużej?

Odpowiedziom na te pytania chcemy poświęcić sporo miejsca na naszych łamach.

* * *

Zamierzamy też przyrzeć się bliżej problemowi „antyamerykanizmu“ szerzącemu się wśród narodów wolnych, które wolność swą zawdzięczają właśnie Stanom Zjednoczonym.

Już w najbliższych numerach rozpoczniemy druk artykułów omawiających „antyamerykanizm“. Poprzedzimy je próbą analizy obecnego położenia i nastrojów w samych Stanach Zjednoczonych.

* * *

Zbliżyliśmy się także do realizacji następnego z naszych projektów, tj. stałej rubryki poświęconej współczesnym osiągnięciom naukowym i technologicznym. Trudność polegała na znalezieniu autorów, którzy posiadali by nie tylko odpowiednie wiadomości, lecz także umiejętność popularnego ich podania.

W numerze bieżącym rozpoczynamy druk stałej rubryki poświęconej medycynie, pod nagłówkiem „Gawędy Lekarskie“.

Nowa era stosunków

ŚMIERĆ Adlai Stevensona, kilkuletniego delegata Stanów Zj. do Organizacji Narodów Zjednoczonych zbiegła się z istotnym zwrotem polityki Waszyngtonu w stosunku do nowojorskiej następczyni przedwojennej, genewskiej Ligi Narodów. Stevenson miał samodzielną pozycję w rządzącej partii Demokratów, był wybitnym przedstawicielem tych kół tzw. liberalnych, do których Johnson nie należy i prawdopodobnie za jego życia następcą Kennedy'ego miał by pewne opory w dokonaniu wspomnianego zwrotu.

Na czym polega ten zwrot, który znalazł wyraz już w pierwszym oświadczeniu nowego delegata Stanów Zjednoczonych do ONZ, Artura Goldberga? Była to zarazem kapitulacyjna rezygnacja polityki amerykańskiej głównie wobec Sowietów i równocześnie „umycie rąk“ w odniesieniu do ewentualnych przyszłych akcji zbrojnych „w obronie pokoju“ ze strony ONZ.

Jak wiadomo z prasy codziennej, Waszyngton od roku przeszło domagał się zapłacenia przez grono państw członkowskich z Rosją Sowiecką na czele, ich udziału w kosztach pacyfikacyjnej akcji oddziałów wojskowych ONZ w Kongu i na Środkowym Wschodzie, zgodnie z uchwałą Ogólnego Zebrania ONZ. Na to Rosja, jej reżymy satelickie i z odmiennych nieco motywów Francja odmawiały zapłaty, jako wynikającej nie ze statutu, lecz z uchwały — według ich tezy — nie obowiązującej wszystkich. W rezultacie od września ub. roku Stany Zj. na podstawie 19 artykułu Karty ONZ uważały prawo głosu płatników zalegających od dwu lat, za zawieszone i funkcjonowanie Ogólnego Zebrania zostało od tego czasu sparaliżowane.

REZYGNACJA — DAREM DANAÓW

Otóż, sensacyjność wystąpienia Goldberga, złożonego pod koniec sierpnia i w przede dniu jesiennej sesji ONZ, polega na amerykańskiej rezygnacji z dalszej walki o zmuszenie opieszających płatników do wyrównania należności i na usunięciu w ten sposób przeszkody do wznowienia normalnych prac ONZ. Entuzjaści jednak nowojorskiej organizacji światowej, więc także amerykańscy liberałowie mogą słusznie uważać, że — wyprowadzone z jednego paraliżu Narody Zjednoczone — znajdują się w nowym i innego rodzaju, ale który także podkopie ich znaczenie w świecie. Oświadczeniu Goldberga towarzyszyły bowiem miarodajne komentarze amerykańskie, że — wobec zlekceważenia przez jedne państwa członkowskie finansowych uchwał Ogólnego Zebrania — Stany Zjednoczone na przyszłość zyskają również

wolną rękę wstrzymania się od udziału w kosztach akcji ONZ, postanowionych ewentualnie wbrew ich głosowi.

Siła wwiążąca uchwał Ogólnego Zebrania, pobieranych większością głosów, była istotna dla czynnej roli ONZ, jako samodzielnego i nadrzędnego ciała polityki światowej, ponieważ w Radzie Bezpieczeństwa obowiązuje prawo weta, z którego — jak wiadomo — Sowiety skorzystały wyżej stu razy i które w praktyce odbiera jej możliwość rozstrzygania poważnych sporów międzynarodowych. Kiedy obecnie odebrano w praktyce moc wiążącą decyzjom większości również w Ogólnym Zebraniu, całe ONZ doznało dalszego osłabienia. Stąd wniosek, że kapitulacja Johnsona na rzecz wznowienia prac ONZ była w istocie przysłowiowym „darem Danaów“, w rzeczywistości bardzo złą przysługą.

REALNE POWODY

I PRZEWIDUJĄCA POLITYKA

Wycofanie przez Waszyngton bezwzględne poparcia Narodom Zjednoczonym, stanowiące zasadniczy zwrot polityki amerykańskiej wobec światowej organizacji państw, nie jest kaprysem ani obrazą, lecz ma poważne i realne przyczyny. Nowy delegat amerykański A. Goldberg uzasadniając rezygnację swego rządu z dalszej walki o stosowanie art. 19 statutu i szanowanie własnych uchwał przez Ogólne Zebranie, powołał się na brak szacunku dla tychże uchwał ze strony obecnej większości członków ONZ, którzy poprzednio za tym stosowaniem głosowali. Okazało się tymczasem, że większość zmieniła zdanie i Stany Zj. utraciły poparcie dla swego stanowiska w tej większości, co nie było przypadkowe.

Lekkomyślne przyjmowanie wszystkich nowo-kreowanych państw ekskolonialnych do ONZ spowodowało taką zmianę układu sił, która może nowojorską organizację skierować w ogóle przeciw dążeniom Stanów Zjednoczonych. Może się to wyrazić zwłaszcza w prawdopodobieństwie przyjęcia do ONZ Chińskiej Republiki Ludowej, czemu Waszyngton, jak wiadomo, stanowczo się sprzeciwia i robił z tego dotychczas zasadniczy sprawdzian swoich wpływów. Tymczasem ostatnio z roku na rok ilość głosów za czerwonym reżymem pekińskim stopniowo rosła i zbliżała się do potrzebnych dwu trzecich większości. W 1964 r. 57 państw opowiedziało się „za“ i tylko 41 „przeciw“. W tym czy następnym roku Chińska Republika Ludowa może być

przyjęta i wtedy osłabienie ONZ, które ostatni krok delegata Stanów Zj. na dalszą metę spowoduje, okaże się przewidującą i rozsądną ze strony Johnsona polityką.

NIE MAMY PO CZYM PŁAKAĆ

Dla Polski czy innych narodów, oddanych po wojnie pod sowieckie panowanie i posiadających tylko na papierze niepodległość, ONZ która w praktyce stanowiła od początku zaprzeczenie swoich wzniosłych zasad strażnicy wolności narodów i jednostek, nie wzbudzała nigdy szacunku ani poważnych nadziei. Dopuszczenie do ONZ Rosji Sowieckiej i przedstawicieli, narzuconych przez nią naszym narodom, reżymów satelickich odbierało nowojorskiej organizacji w naszych oczach jakąkolwiek wagę moralną i perspektywę jakiegokolwiek pożyteczności politycznej. Nad osłabieniem ONZ, czy wprowadzeniem do niej jeszcze jednego reżymu komunistycznego, choćby pekińskiego, nie mamy powodu rozdzierać szat.

Przeriwnie nawet, zejście na drugi plan takiego ośrodka obłudy międzynarodowej jak ONZ, może wpłynąć dodatnio na atmosferę polityki zarówno amerykańskiej, jak w ogóle mocarstw światowych kół „liberalnych“, których polityka w rezultacie przynosiła zawsze korzyści komunistycznym dyktatorom oraz ich agresywności.

Odsunięcie się od ONZ wprowadzi też w politykę amerykańską więcej rzeczywistego realizmu, szczególnie potrzebnego Stanom Zjednoczonym, kiedy stanęły nad brzegami wschodniej Azji w obliczu bezpośredniego zagrożenia, zaangażowały się w wojnę z komunizmem na obszarze Wietnamu i liczyć się muszą z rozszerzeniem się jej zasięgu w czasie i przestrzeni.

POKOJOWE APELE I WOJENNA RZECZYWISTOŚĆ

Przewidywanie tego rodzaju może pozostawać w sprzeczności z odzywającymi się często propozycjami pokojowymi i akcjami pojednawczymi, które z rozmaitych stron są inicjowane, ale wydaje się bliższe rzeczywistości. Pokojowe apele i pośrednictwa, albo wychodzą od czynników trzecich, bezpośrednio nie zaangażowanych w wietnamską wojnę i nie mających na nią bezpośredniego wpływu, jak Francja, albo są robione dla zachowania twarży rzekomej strażnicy pokoju światowego, jak ze strony ONZ, albo są obliczone na rynek wewnętrzny własnego kraju i

Waszyngton — ONZ

uspokajanie pacyfistycznej lub prokomunistycznej opozycji, jak inicjatywy brytyjskiego premiera H. Wilsona.

Na przekór tej płaszczyźnie propagandowej, polityczne fakty i realne interesy obu stron nie wskazują na możliwość kompromisowego i pokojowego załatwienia konfliktu wietnamskiego. Spotykamy się wprawdzie nieraz z uroczystymi stwierdzeniami, że w obecnych czasach rozstrzygnięcie sporów międzynarodowych siłą jest „niemożliwością“, ale takich frazesów również w „dzisiejszych czasach“ nie można brać na serio. Nie można, tym bardziej w świetle wojny wietnamskiej, gdzie Stany Zjednoczone zaangażowały już około 100 tysięcy własnego żołnierza i właśnie uznały, że inaczej niż siłą konfliktu o własne, poważne interesy rozstrzygnąć nie będą mogły.

WYŚCIG GORLIWOŚCI SOWIECKO — CHIŃSKIEJ

Powaga konfliktu wietnamskiego wynika z jednej strony stąd, że strategia amerykańska uznaje powstrzymanie ekspansji komunistycznej na południowo-wschodnią Azję za postulat swego bezpieczeństwa państwowego, a z drugiej — stąd, że w tę ekspansję zaangażowały się największe potęgi bloku komunistycznego, Chińska Republika Ludowa i Rosja Sowiecka. Zgodna reakcja komunistów była zaskoczeniem Stanów Zj., ponieważ — jak wielokrotnie podkreślano w „Orle“ — liczyły one mylnie na paraliżujący wpływ sporu Moskwy z Pekinem. W rzeczywistości spór ten przyniósł następstwa wręcz przeciwnie: oba główne mocarstwa komunistyczne zaczęły wyścig gorliwości w popieraniu reżymu Hanoi i pld. wschodnio-azjatyckiej ekspansji rewolucyjnej. Od tej gorliwości zdaje się w tej chwili zależeć będzie przywództwo nie tylko w samym czerwonym bloku państw, ale przewaga na terenie państw „trzeciej siły“, ekskolonialnych i „niezaangażowanych“. W ten sposób, tak reklamowana i zachwalana przez sowietologię amerykańską rywalizacja sowiecko-chińska, stała się — wbrew ich zapowiedziom — najważniejszym czynnikiem, ale agresji i wojny ze strony komunistycznego bloku.

MALEZJA I KASZMIR

Wojna wietnamska jest zbyt silnym ogniskiem niepokoju światowego, by nie oddziaływać na podnoszenie temperatury innych konfliktów, zwłaszcza na pobliskich obszarach.

Federacja Malezyjska, utworzona z byłych posiadłości brytyjskich, Malajów, Singapuru i ptn. Borneo, a mająca na celu oddzielać, atakowaną przez komunizm od północy pld. wschodnią Azję od komunistycznej i agresywnej Indonezji, pierwsza uległa wstrząsom, rozchodzącym się od wietnamskiego „oka cyklonu“. Niespodziewanie Singapur, formalnie z inicjatywy Malajów — przestał być członkiem Federacji i całe jej istnienie stanęło pod znakiem pytania.

Rozpad ten okazał się nowym impulsem dla indonezyjskiego Sukarny, który z okazji sierpniowej rocznicy niepodległości i w obecności przedstawiciela Pekinu, ministra spraw zagranicznych, marszałka Czen Ji ogłosił powstanie osi państw wschodnio-azjatyckich dla wyrzucenia Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii z pld. wschodniej Azji. Stumilionowa Indonezja, która otrzymała w ostatnich latach wojskową pomoc wartości setek milionów dolarów od Rosji Sowieckiej, dalej otrzymuje pomoc gospodarczą także od Chińskiej Republiki Ludowej i ponadto od Stanów Zj., dziś — po okresie „neutralistycznego“ brania pieniędzy od obu stron — przechyla się ku blokowi komunistycznemu. Obawia się ona wprawdzie supremacji Chińczyków, których trzymilionową mniejszość ma też u siebie w miastach, ale wygrywając nawzajem swoje dobre stosunki z Rosją, spodziewa się dziś widocznie większych zdobyczy po współdziałaniu z agresywnym komunizmem, niż z mniej dynamicznym Zachodem.

Spór między Pakistanem a Indiami o Kaszmir, to dalsze ognisko wojenne, w ostatnich tygodniach rozpalone na azjatyckich obszarach. Nie mogąc się doczekać plebiscytu, do którego Indie zobowiązała decyzja ONZ przed kilku laty, mahometańska ludność Kaszmiru powstała znowu zbrojnie przy poparciu rządu pakistańskiego, co rząd indyjski określa jako agresję ze strony tego ostatniego. W rezultacie toczą się od kilku tygodni walki i pojedyncze próby nie skutkują. Stanowczość Pakistanu tłumaczy się słabością rządu indyjskiego po śmierci Nehru i mniejszym autorytetem nowego premiera Szastri na terenie wewnętrznym i międzynarodowym. Z drugiej strony prezydent Pakistanu Ajub Chan wykazał dużą inicjatywę międzynarodową i odwzajemniając się mocarstwom zachodnim za zlekceważenie postulatów pakistańskich w sprawie Kaszmiru, dokonał taktycznego zbliżenia do Chińskiej Republiki Ludowej i może zapewnił sobie jej przychyłność w sprawie Kaszmiru.

JEMEN I GRECJA

Idąc dalej w kierunku zachodnim, wypada wspomnieć o terenie innej „małej“ wojny. Toczy się ona już lat kilka w Jemenie między 50 tysiącami wojsk egipskich, popierających rewolucyjny rząd republikański Sallala, a wypędzonym ze stolicy w góry imamem Badrem, posiadającym dalej oparcie wśród szczepów pustyni i korzystającym z pomocy sąsiedniej Arabii Saudyjskiej. Ostatnio Nasser spotkał się z saudyjskim królem Fejsalem i zawarli porozumienie, przewidujące powołanie nowego rządu kompromisowego w Jemenie, wycofanie wojsk egipskich w ciągu roku i następnie plebiscyt pod koniec roku 1966, na temat: republika czy monarchia?

Układ ten był potrzebny Nasserowi, którego wojna jemeńska za wiele kosztuje i który wybierał się z wizytą do Moskwy, przed czym chciał sprawę jemeńską załatwić. Załatwienie to jest niemiernie wątpliwe. Już kilka razy zawierano takie porozumienie egipsko-saudyjskie w sprawie Jemenu, które pozostały bez skutku, jako rachunki robione bez gospodarzy. Także tym razem, ani Sallal ani imam Badr nie uczestniczyli w egipsko-saudyjskich rokowaniach i niewiadomo, czy układ gotowi są akceptować.

Interwencje a potem decyzje, dotyczące trzecich krajów, których suwerenność się uznaje, nie jest dobrym obyczajem, nawet gdy dochodzi do tego w arabskiej rodzinie narodów. Łącznie z innymi konfliktami na półwyspie Arabskim, jak święta wojna hasel wszystkich Arabów z Izraelem, wojna z Kurdami w Iraku i rewolucyjne wrzenie na terenie południowych kolonii brytyjskich oraz w Adenie, trudno Środkowy Wschód uważać za obszar ciszy i spokoju.

Krajem ostrego konfliktu wewnętrznego jest dalej Grecja, gdzie przesilenie rządowe stało się punktem wyjścia demonstracji ulicznych i kryzysu ustrojowego monarchii greckiej. Dramat tamtejszy polega na tym, że zakazana od czasu powojennych prób rewolucyjnych partia komunistyczna uzyskała konspiracyjny wpływ na centrową, mającą większość w parlamencie, partię sędziwego i popularnego premiera Papandreu, który zaczął torować zakapturzonemu komunistom (konspiracja Aspida-Tarcza) drogę nawet do armii. Otrzymałszy na skutek tego dymisję, Papandreu zaczął odwoływać się do ludowych demonstracji, żądając nowych wyborów i grozić monarchii. Z drugiej strony, młody król nie zdołał dotychczas znaleźć premiera, który by uzyskał parlamentarną większość.

(Dokończenie na str. 43)

NIC O NAS BEZ NAS

PRZED wojną, tą drugą, słyszało się to zawołanie w cokolwiek innym kontekście: z przechwałką. Że to niby I cała reszta. Pewien minister wysyłał pewnego dyplomata do Rzymu „za karę” — na odludzie, gdzie nic się nie dzieje, niech się użera o biskupów. Dawne to były czasy i — niestety — prawda.

Co najgorsze narodowe samochwalstwo — cecha trzeciorzędna i jakże ludzka, po rozbiorach i stuleciu trójzaborczej demoralizacji, i całkiem nieistotna — zostało wykorzystane, jako argument na serio, przez parszywych bierutków i putramentów w walce z „bohaterszczyzną”. Naprawdę sowieckim sługom chodziło o ostateczne pozabawienie narodu w niewoli jego poczucia godności. Nie udało się. A, niezamierzenie, wpuściło do złąteńczej atmosfery polrealizmu ożywczy, chociaż bardzo nieprzyjemny chwilami „przeciąg” świeżego i zimnego powietrza. Bez rachunku sumienia niema skruchy, a bez skruchy niema mowy o poprawie. Dziś, w każdym razie na emigracji, można, i często się pisze o sprawach nieprzyjemnych czy ambarasujących. Ku zbudowaniu następnych pokoleń i dla podtrzymania na duchu siedzących w niewoli 30 milionów. Tu, w Londynie, udawaliśmy przykładowo wartość istnienia kategorii arystotelesowskich. Że, na przykład w roku Z generał F był bohaterem, w roku T był cymbałem, a w roku P poprawił się i okazał wiele charakteru. Nie uwłaszcza to jemu i nie odsądza od czci i wiary a tymbardziej od tego, że w istocie rzeczy, może być, albo i jest, przyzwoitym chociaż słabym człowiekiem. Gdyby ukończył uniwersytet, a jego ojciec nie musiałby wysługiwać się — dajmy na to, Katalończykom, a Kościuszko pobili był nieprzyjaciela pod Szczekocinami i Maciejowicami, wszystko wyglądałoby inaczej i nasz generał F żyłby długo, owocnie i szczęśliwie bez rozdarć wewnętrznych i niedociągnięć zewnętrznych, nieodłącznych od jego miejsca i czasu.

* * *

Do konwencji obowiązujących zarówno w Polsce przed II Wojną światową jak i w „Priwiślenskiej Riepublikie Ludowej” po jej zakończeniu należało burzenie się na obce głosy krytyczne, a chętnie się entuzjastami flaków, architektury Kazimierza nad Wisłą oraz polskiej gościnności. O samą treść wypowiedzi ich najczęściej nikomu w Polsce nie chodziło; wniosków nie wyciągano a cytaty, jakże często podfrzywano. Przesadna dbałość o to, kto i co o nas myśli jest zjawiskiem cho-

robliwym. Ale w skali państwowej i narodowej jest koniecznym składnikiem myślenia narodowego. O to co inni o nas i mówią, głupio jest nadymać się, a jeszcze głupiej obrażać się. A najgłupiej udawać, że w ogóle nie mówią i dać się nabierać na lep sprzedanych, nieprawdziwych i niesprawdzonych pochwał.

* * *

Stąd też niezmiernie interesujące jest zdanie o polskim elemencie w Brazylii jakie ukazało się w ostatnim numerze paryskiego kwartalnika „Présence Africaine” (I-er Trimestre 1965) pióra brazylijskiego socjologa Octavio Ianni p. t. „Race et Classe au Bresil”. Sprawie polskiej poświęca oddzielny paragraf „Le Polonais” (str. 111-113). Podaję go w tłumaczeniu bez jakichkolwiek komentarzy czy interpolacji w tekście:

„Analiza schematu stosunków międzyrasowych w powyższym sformułowaniu jest również bardzo przydatna wówczas, kiedy stosujemy ją w badaniu społeczności pochodzenia europejskiego w niektórych rejonach Brazylii. Przykładem tu może być naświetlenie sylwetki Polaka z okolic Kurytyby.

Pozostawiamy na stronie niejednakowy stopień asymilacji poszczególnych jednostek w zależności od różnorodnych typów psychiki polskiej. Obchodzi nas natomiast wytworzenie się wspólnego mianownika dla całej społeczności, o charakterze ujemnym, w ramach społeczeństwa w które ona wmisczała. W istocie Polak, polski osadnik, czy jego potomkowie nie podpadają ciągle jeszcze pod kategorię Brazylijczyków w oczach ogółu społeczeństwa brazylijskiego. Przymioty ich, czy „cechy”, przyjmowane przez ogół jako znamiona narodowe wiążą go duchowo z hipotetyczną „polskością”. [W ramach jej przyjmuje się, iż jest skłonny do pijaństwa, niezmiernie religijny, nieodmiennie jasnowłosy, przywiązany do pracy niewykwalifikowanej, nieokrzesany, i, wobec tego, stojący na niższym poziomie umysłowym i skłonny do małżeństw z murzynami.

W panującej opinii społeczeństwa jest on uważany nie za „Polaka” — w ścisłym tego słowa znaczeniu — ani za „Brazylijczyka”, jest „pola-

co⁽¹⁾” kategorią niższego rzędu, zblizoną do murzynów.

Szukając źródeł tego stosunku dochodzimy do określonych okoliczności historycznych w jakich on się narodził. Kiedy Polacy zjechali do Brazylii w ostatnim kwartale 19-go wieku, nie znaleźli tam ustroju gospodarczego, w którym mogliby stać „wytwórcami”.

Mimo, iż gospodarka Kurytyby znajdowała się wówczas w pełni rozwoju, ale w stosunku do ciągle rosnącej podaży rąk roboczych, tempo jego było zbyt wolne. Imigranci polscy przybyli do Kurytyby w okresie, kiedy obrót gospodarczy nie mógł przekroczyć ram jakie mu nadali Niemcy, którzy przybyli tam wcześniej. Stąd podaż rąk roboczych przekraczała potrzeby istniejących form życia społecznego i gospodarczego. Polacy skierowali się wówczas bądź na marginesowe odcinki życia gospodarczego, bądź podjęli się pracy w dziedzinach opianowanych przez inne grupy narodowościowe. I tu natknęli się na najróżnorodniejsze opory. Istnieją one do dziś i przeszkadzają „upłynnieniu społecznemu” Polaków, jak i ich asymilacji. Wchłonięcie imigrantów jest uzależnione od równowagi i dynamizmu poszczególnych odcinków życia gospodarczego i społecznego. Pociąga ono, albo odpycha nowych przybyszów, od wypadku do wypadku, I tak „Polak” zawsze będzie odrzucany przez te gałęzie wytwórczości, w których popyt pracy został zaspokojony, w których określony on jest wewnętrznymi potrzebami już istniejących instytucji i przedsiębiorstw. Z drugiej strony Polak znajdzie zatrudnienie okresowo w tych dziedzinach, jak np. w służbie domowej, gdzie popyt rynku na jego usługi będzie znaczny.²⁾

(Dokończenie na str. 43)

¹⁾ Zachowujemy ten nieprzetłumaczalny na francuski termin portugalski. W istocie w Brazylii istnieją dwa słowa, na określenie polskiego żywiołu narodowego — „polones”, i drugie, o wydźwięku ujemnym — „polaeo”.

²⁾ Cf. Octavio Ianni „Do Polones ao Polaco” — Revista do Museu Paulista, Nova Seria, vol. XII, S. Paulo, 1960, p. 315-338.



DYLEMATY GOSPODARKI POLSKIEJ

KILKA lat temu odwiedził Londyn Stefan Kisielewski (Kisiel), znany felietonista „Tygodnika Powszechnego“, publicysta dobrze zorientowany w zagadnieniach krajowych. W rozmowie, pozbawionej uprzedzeń i aspektów politycznych, zapytany jak ocenia te zagadnienia emigracja, Kisielewski wyraził swoją opinię w jednym krótkim zdaniu: „Macie tu wśród was bardzo dobrych szperaczy“.

A jak wykazała, zwołana w ubiegłym roku, z inicjatywy prezesa Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, Adama Ciołkosza, konferencja ekonomiczna w sprawach krajowych, emigracja może pochwalić się wcale pokaźną liczbą tych szperaczy. Są między nimi eksperci wszystkich sektorów gospodarki krajowej, z gruntowną znajomością sytuacji przedwojennej i poszczególnych faz, jakie przechodziła w okresie minionego 20-lecia.

Ponadto charakterystyczną cechą zespołu znawców jest jeszcze jedna i to ważną okoliczność. Są w nim roczniki starsze, ludzie, którzy już przed wojną zajmowali w Polsce odpowiedzialne stanowiska kierownicze i jest tam druga grupa, dziś wcale już liczna, ludzi młodszych, którzy albo ukończyli studia przed wojną i uzupełnili je na uczelniach zagranicznych i wreszcie tacy, którzy studia odbyli wyłącznie na uniwersytetach zagranicą. Powstał przeto z tych trzech grup idealny zespół znawców ekonomii porównawczej, zdolnych do wydania rzeczowej i kompetentnej oceny zagadnień gospodarki krajowej, zarówno osiągnięć pozytywnych jak i nowych „błędów i wypaczeń“, powtarzanych po 20 latach, ze szkodą dla kraju. Tak zgrany zespół zadał kłam propagandzie reżimu, że podobnie jak w biegu sztafetowym, emigracji niedługo zabraknie biegaczy, zdolnych do przejęcia laseczki.

* * *

Symposium ekonomistów było w naszej sytuacji wydarzeniem niezwykłym. Spośród 41 uczestników, 14 wygłosiło referaty, obejmujące główne dziedziny gospodarki krajowej, a wszystkie referaty były na poziomie wykładów, dla studentów uniwersytetu na ostatnim roku studiów.

Po zakończeniu konferencji powstała myśl wydania tych prac w druku. Myśl tę podchwyciła Polska Fundacja Kulturalna, a rezultatem tej skoordynowanej akcji było wydanie pracy zbiorowej, pt. „Dylematy gospodarki polskiej“, które wzbogaciło w poważnym stopniu nasze wydawnictwa emigracyjne.

Skromne miejsce, jakie stoi dziś do mojej dyspozycji nie pozwala oczywiście na szersze omówienie poszcze-

gólnych prac, niemniej jednak nąsują się konieczność zaznajomienia szerokiego ogółu, bodaj w skrócie, z ich treścią, bowiem z każdej z nich, poza rzeczową krytyką przebijają troska o należyte wykorzystanie w kraju zasobów ludzkich i materialnych dla podniesienia stopy życiowej ludności.

* * *

Nagłówek nad pracą Michała Garmarnikowa, „Niektóre aspekty sytuacji gospodarczej w Polsce“, winien właściwie brzmieć: główne aspekty, bowiem autor przedstawił w niej fundamentalnie błędne założenia gospodarki inwestycyjnej, opartej na założeniach doktrynalnych, a nie na optymalnych korzyściach gospodarczych. Tu reżym nawraca do polityki gospodarczej z okresu planu 6-letniego (1950—1955), która według zapewnienia planistów miała stworzyć podstawy dla przemysłów produkujących na eksport i przynoszących szybkie korzyści, szczególnie w walutach „twardych“. Rezultatem tych nowych „błędów i wypaczeń“ jest chronicznie ujemny bilans handlowy i konieczność zdobywania tych walut albo eksportem środków żywnościowych albo surowych materiałów o wielkiej pojemności, których ceną na rynku światowym ulega poważnym wahaniom, co, rzecz jasna, przewraca przewidywania, zawarte w planach.

Referat Juliana Iwaszkiewicza, „Planowanie gospodarcze w Polsce“ stanowi drugie, źródłowe opracowanie tego zagadnienia. Autor ilustruje tu po kolei okres obejmujący 20 lat gospodarki komunistycznej, łącznie z planem na okres 1966—1970, przytacza dyskusję prowadzoną na II kongresie ekonomistów w lipcu 1956 roku, krytykę Kurowskiego i Lipińskiego i uporczywe trzymanie się założeń dogmatycznych przez Langego. W jasnym elaboracji przedstawia próby wprowadzenia „uniwersalnego bodźca“ w postaci zysku przedsiębiorstw i przypomina, że w roku 1963 Węgry i Czechosłowacja wyprzedziły Polskę w rozwoju własnych koncepcji gospodarczych.

Nie można tu pominąć niezwykle trafnego określenia, użytego przez autora, że „w rezultacie ogromna część dochodu narodowego, przeznaczona na inwestycje, będzie ulokowana w fabrykach bez maszyn, w maszynach bez surowców i, w budowlach niewykończonych“.

Autor znajdzie i potwierdzenie swoich tez, a za tym i zadowolenie ze swej

trafnej oceny w artykule Zygmunta Szeligi w „Polityce“ z 24 lipca br.

* * *

Nie potrzeba być ekonomistą, by zrozumieć, opracowane z gruntowną znajomością przedmiotu, zagadnienie polskiego rolnictwa w pracach Tadeusza Chciuk-Celta i Józefa Poniatowskiego. Czytelnik zdobywa dzięki tym pracom pełny obraz prowadzonej przez reżym polityki rolnej, zamierzenia podniesienia produkcji i przeszkody natury doktrynalnej. Wynurzenia przedstawicieli kierownictwa partii o wyższości gospodarki zespołowej, wywołują niepewność chłopa o przyszłość gospodarki indywidualnej i przyszłą strukturę kółek rolniczych. Chłop polski nie zapomniał również wypowiedzi Hilarego Minca i Romana Zambrowskiego na konferencji Krajowej Rady Narodowej w dniu 3 maja 1945 r., gdy obaj wyrzekali się kolektywizacji rolnictwa, a już po trzech latach wprowadzili kołchozy, do których wpędzali chłopów gwałtem.

* * *

Dalsze referaty: inż. architektka Olga Stepana, „O budownictwie mieszkaniowym w Polsce“ i Jerzego Szyszko-Bohusza, „O zatrudnieniu i bezrobociu“ przedstawiają „reakcję łańcuchową“ błędnego planowania. Z cyfr podanych przez inż. Stepana wynika, że od lat wlecz się w kraju deficyt trzech milionów izb, a obecne tempo budowy hamowane albo niedostatecznymi kredytami albo przez biurokrację, jeśli chodzi o przydział materiałów budowlanych, nie rokuję nadziei, by deficyt został kiedykolwiek zlikwidowany. A nie należy zapomnieć, że tymczasem ludność kraju powiększa się rocznie o ok. 400 tysięcy.

W dziedzinie zatrudnienia, znana jest już ogólnie konieczność zatrudnienia w okresie nowego planu gospodarczego 3.260.000 młodych ludzi, którzy w tym okresie osiągną wiek zdolności do pracy. Na podstawie czysto teoretycznych obliczeń, reżym spodziewa się, że w tym okresie około 1,7 miliona ludzi odpadnie na skutek zgonów lub przejścia na emeryturę, co ostatecznie postawi go przed koniecznością znalezienia tylko 1,5 miliona nowych stanowisk pracy. Tu autor słusznie kwestionuje cyfry podane przez prof. Rosseta, który oparł swoje obliczenia na założeniach wyłącznie demograficznych, bardzo zawodzących. Znamy dobrze „Dziś“ zatrudnienia i bezrobocia, za to z „Jutra“ sam reżym nie zdaje sobie jeszcze sprawy.

Może nie od rzeczy będzie wspomnieć na tym miejscu o sektorze, który mógłby dać zatrudnienie około 100 tysiącom młodzieży — rzemiosło prywatne. Ale założenia doktrynalne nie pozwalają na rozbudowę tego „kapitalistycznego” sektora.

* * *

Bohdan Brodziński w „Rozważaniach o stopie życiowej w Polsce powojennej” daje czytelnikowi *précis* pojęcia o składnikach stopy życiowej oraz tej jaka jest obecnie udziałem polskich mas pracujących. Za pomocą tzw. „wskaźników” syntetycznych, autor, dowodzi, że w kraju coraz to mniejszą część dochodu narodowego przeznaczają się na konsumpcję. Nie ma tam tzw. „suwerenności” konsumenta, która w normalnych warunkach jest rezultatem mechanizmu rynkowego, gdyż cały system produkcji, dystrybucji i cen, ustalany jest arbitralnie przez czynniki państwowe.

* * *

Trudno jest w kilku zdaniach dać należną kompensatę Mieczysławowi Sokołowskiemu, a pośmiertnie śp. Janowi Wszelakiemu, za ich niewspółmiernie duży wkład do zbiorowego dzieła w referatach, „Handel zagraniczny Polski powojennej” i „Problem cen w handlu polsko-sowieckim”. Trzeba by czytelnik przeczytał cierpliwie cyfry, jakimi autorzy operują, by dojść do ostatecznych konkluzji. Wystarczy powtórzyć za Sokołowskim, że „pozycje wywozowe do krajów gospodarzo nierozwiniętych mogły tylko wywołać znaczne wątpliwości i zdziwienie”. Autor przytacza np. handel z Ghaną, dokąd wywieziono w 1962 roku duże ilości cementu (prawdopodobnie dla budowy nowego portu) i wspomina o wywozie do Maroka masła polskiego, którego brak odczuwa się od dawna na polskim rynku oraz przypomina, że w tych transakcjach przeważa czynnik polityczny. Ponadto są one oparte nie tylko na niskich cenach ale sprzedawane na długoterminowe kredyty.

Na tym miejscu może nie od rzeczy będzie wspomnieć raz jeszcze o handlu z Ghaną. Głównym artykułem eksportowym tego kraju jest, jak wiadomo, kakao, później zaś, Ghana ma zamiar płacić dostawą aluminium, ale dopiero wtedy, gdy uruchomiona zostanie na wykończonej ostatnio zaporze, na rzece Wolcie, elektrownia i gdy wykończy się zakłady przetwarzające bauksyt.

Zmarły nagle, jeden z najlepszych znawców handlu polsko-sowieckiego, Jan Wszelaki, przedstawił w swym referacie okres wycisku Polski w związku z dostawą przez Polskę węgla. Zmiany po 1956 roku wprawdzie ten rozpęd wycisku zahamowały, niemniej jednak,

jeśli chodzi przykładowo o dostawę ropy naftowej i rudę manganową, to ceny płacone przez kraje orbity sowieckiej są wyższe od cen światowych, zaś w obrębie orbity Sowiety stosują dyskryminację na niekorzyść Polski.

Autor miał zamiar rozwiać panującą wśród społeczeństwa w kraju opinię, że wszystkie transakcje z Rosją Sowiecką są niekorzystne dla gospodarki polskiej. Nie znalazł jednak „w braku pozytywnych stwierdzeń, przekonywującej odpowiedzi na wątpliwości ludzi w kraju, bowiem wykrętne wyjaśnienia dygnitarzy partyjnych nie są w stanie odmienić klimatu podejrzeń i nieufności”.

Historię, cele i działalność Komekonu opisał w szczegółach Wiktor Martin. Autor ubiegł tu o rok, wydaną ostatnio książkę Michael Kasera, „Comecon”.

Na tym miejscu należy przypomnieć (o czym zresztą autor pobieżnie wspominał), że strona polska w dalszym ciągu domaga się, aby wierzyciel banku Komekonu, mógł zamienić część swojej nadwyżki w rublach transferowych na złoto lub waluty zamienialne. Jest to, jak na razie, „wishful thinking”, niemniej jednak, uporeczywe domaganie się tej zmiany i poparcie, jakie strona polska uzyskuje wśród pozostałych partnerów, stawia Sowiety w trudną sytuację.

Janina Miedzińska, ekspert w sprawach socjalno-bytowych mas pracujących i dziedziny bezpieczeństwa i higieny pracy, zapoznaje czytelnika z całokształtem tego przedmiotu, którym Polacy na emigracji żywo się interesują, bowiem mogą łatwo porównać warunki w jakich pracują na emigracji, z panującymi w Polsce „socjalistycznej”. Dobrze się stało, że autorka poruszyła rolę krajowych związków zawodowych jako agencji pracodawcy, a nie jako reprezentacji klasy pracującej. Fakt ten jest związkom zawodowym w wolnym świecie dobrze znany i stąd starania komunistów o afiliację ich światowej Federacji Związków Zawodowych z organizacją na Zachodzie pozostały dotychczas bez skutku.

Na marginesie doskonale opracowanego referatu, omawiającego dziedzinę specyficzną, pragnę dodać, że jeden dodatkowy rozdział, o wypadkach przy pracy, porównujący np. cyfry angielskie z polskimi, byłby dodał referatowi jeszcze więcej kolorytu.

* * *

Opracowania Jana Kowalewskiego, „Surowce mineralne bloku państw komunistycznych” oraz Kazimierza Mochlińskiego, „O przemyśle energetycznym w Polsce”, uzupełniają dwie dziedziny specyficzne, konieczne dla zrozumienia całości dylematów gospodarki polskiej.

Święto Żołnierza Polskiego w W. Brytanii

Z uwagi na 25-tą rocznicę bitwy powietrznej o Wielką Brytanię, Święto Żołnierza Polskiego będzie w tym roku poświęcone Lotnictwu Polskiemu.

Uroczyste widowisko odbędzie się w Royal Albert Hall w Londynie, w sobotę dnia 25 września br. o godzinie 4-ej po południu, a Msza św. będzie odprawiona dnia następnego, tj. w niedzielę 26 września br.

Poza tym w ramach uroczystości poświęconych Lotnictwu Polskiemu odbędzie się w czwartek 16 września br. w Fairfield Halls w Croydon (godzina 7.45) koncert Artura Rubinsteina, łaskawie ofiarowany Stowarzyszeniu Lotników Polskich.

Główna uroczystość odbędzie się w Royal Albert Hall i w zasadzie jest ona przeznaczona dla polskiego społeczeństwa. Na uroczystość złożą się: wejście pocztów sztandarowych Polskich Sił Zbrojnych i Organizacji Kombatanckich, oddanie hołdu Sztandarowi Polskiego Lotnictwa, okolicznościowe przemówienia, które wygłoszą płk. pilot Aleksander Gabszewicz (powitalne), Air Chief Marshal Sir Hugh Lloyd i gen. Władysław Anders, koncert Głównej Orkiestry Royal Air Force oraz widowisko lotnicze, pt. „Skrzydła chwały”, pióra Ref-Rena (specjalnie napisane z okazji 25-ej rocznicy Battle of Britain) w reżyserii kol. S. Zięciakiewicza.

Organizacje Kombatanckie apelują tą drogą do społeczeństwa polskiego o wzięcie jak najliczniejszego udziału wraz ze swymi rodzinami i przyjaciółmi w uroczystościach i imprezach z okazji 25-ej rocznicy Battle of Britain. Organizacje Kombatanckie proszą też o rozszerzenie wśród znajomych i w miejscach pracy wiadomości o uroczystościach w Royal Albert Hall, której celem jest wyrażenie uznania lotnikom polskim za ich bohaterские czyny w czasie ub. wojny.

Wartość zbiorowego dzieła powiększa dobre tłumaczenie na język angielski, skróconej treści referatów. W ten sposób książka, przeznaczona zasadniczo dla czytelnika polskiego, staje się dostępna dla ekonomistów angielskich, a w szerszym świecie dla ludzi, którzy ten język znają. Za ten pomysł należy się Polskiej Fundacji Kulturalnej osobne uznanie. Książka stanowi cenny manual dla wszystkich, którym zagadnienia gospodarki w kraju znane są tylko z fragmentarycznych wiadomości z prasy, przedstawia całość tych zagadnień, opracowanych przez ludzi, którzy na ten cel poświęcili cały swój wolny czas, jaki pozostaje im do dyspozycji po całodziennej pracy zarobkowej. Należy jej życzyć, by dotarła „pod polskie strzechy” rozsiane po całym świecie.

W. Opolski

Co Niemcy myślą o ziemiach za Odrą i Nysą

DYSKUTUJE się często na emigracji zagadnienie jak silne są nastroje rewizjonistyczne w Republice Federalnej, co myśli młode pokolenie, czy uchodźcy, których organizacje domagają się krzykliwie „prawa do ziemi ojczyste”, rzeczywiście pragną powrócić za Odrę i Nysę. Opinie są bardzo różne. Nie brak prób przekonania emigracji, że rewizjonizm i nacjonalizm przybiera w NFR na sile, choć wiele jest wskazówek temu przeczących. Jak zawsze, trudność polega na tym, by ustalić co ludzie myślą naprawdę. Nawet bowiem obserwacje na miejscu z natury rzeczy opierają się na raczej wąskiej bazie. A coś dopiero głosy tych, którzy z Londynu, Paryża czy Nowego Yorku próbują ustalić tendencje istniejące w Niemczech.

Tym cenniejsza jest ankieta, przeprowadzona niedawno przez jeden z głównych zachodnio-niemieckich instytutów badania opinii, Institut für Demoskopie w Allensbach. Nie jest to pierwsza ankieta tego rodzaju, ale może najbardziej drobiazgową. Prasa niemiecka podała już główne wyniki tej ankiety. Obecnie wszakże dyrekcja Instytutu udostępniła mi szczegółowe opracowanie zebranych danych, uwzględniające m.in. różnice w poglądach zależnie od wieku, płci, wykształcenia, zawodu, przynależności partyjnej, a nawet miejsca zamieszkania. Ze wszystkich dotychczas przeprowadzonych ankiet, ta wydaje mi się najbardziej miarodajna.

Oczywiście żadna ankieta nie da odpowiedzi na wszystkie pytania, które sobie zadajemy. Ale to, co zawiera omawiana ankieta, wystarcza dla ustalenia ewolucji poglądów, jaka się w Niemczech dokonytuje.

„STRACONE NA ZAWSZE...”

Charakterystyczne jest określenie całości: „Pytania na temat problemów uchodźczych”. Choć chodzi w dużej mierze o sprawę granic, daje się w ten sposób do zrozumienia, że są to problemy, dotyczące głównie uchodźców a nie ogółu narodu.

Naczelné pytanie ankiety brzmiało:

„Czy sądzi pan(i) że Pomorze, Śląsk i Prusy Wschodnie będą ponownie należały do Niemiec, czy też są na zawsze stracone?”

Odpowiedź podana jest w tabeli, pokazującej jak przewidywania na ten temat ulegały zmianie na przestrzeni ostatnich 12 lat.

	1953	1959	1962	1965
	%	%	%	%
Na zawsze stracone	11	32	45	46
Będą znowu należały do Niemiec ...	66	35	29	28
Niezdecydowani	23	33	26	26

Tak więc przed 12 laty sześć razy więcej ludzi wierzyło w odzyskanie utraconych ziem, niż rozumiało że są utracone na zawsze. Teraz liczba realistów jest z górą o połowę większa niż tych, co jeszcze nie wyzbyli się złudzeń.

Proces trzeźwienia szczególnie wyraźnie zarysowuje się wśród uchodźców. W 1953 aż 77 proc. wierzyło w odzyskanie utraconych ziem, a tylko 9 proc. odpowiadało że są stracone na zawsze, a więc stosunek był 8:1. Teraz tyle samo uchodźców pogodziło się z utratą co tubylców: 46 proc. Wierzy w odzyskanie ziem za Odrą i Nysą trochę

więcej uchodźców, niż tubylców: 34 zamiast 26.

Niezmiernie interesująca jest dalsza tabela analizująca uzyskane odpowiedzi. Okazuje się, że wśród uchodźców i wysiedleńców zza Odry i Nysy najbardziej pesymistyczni są Ślązacy. Największy odsetek wśród tych, którzy uważają ziemię te za stracone na zawsze wykazują uchodźcy z Niemiec wschodnich i wsch. Berlina: 55 proc.

Mężczyźni okazują się większymi realistami, niż kobiety: 51 proc. uważa te ziemię za stracone, a 41 proc. kobiet.

TRZEŻWA MŁODZIEŻ

Im kto jest młodszy, tym trzeźwiej patrzy na sytuację. W grupie 16—29 lat liczba tych którzy uważają te ziemię za stracone wynosi 50 proc., z górą dwa razy więcej niż tych, którzy mają nadzieję na ich odzyskanie (23 proc.). Z wiekiem ta proporcja maleje i wśród ludzi powyżej 60 wynosi 38:31.

Można z tego wyciągnąć wniosek, że z każdym rokiem złudzenia na temat odzyskania utraconych ziem będą się coraz bardziej rozwiewać.

Interesujący jest także fakt, iż im kto jest bardziej wykształcony, tym mniej ma złudzeń. Wśród tych, którzy skończyli szkołę powszechną uważa zie-

mie za utracone — 44 proc., wśród tych którzy mają maturę — 55 proc. Jeśli chodzi o zawody, najmniej jest realistów wśród chłopów, najwięcej wśród inteligencji i samodzielnych kupców. Wśród chłopów ogromna jest natomiast ilość niezdecydowanych: aż 40 proc.

Polityczne nastawienie też gra rolę: najwięcej ludzi uznających ziemię na wschodzie za utracone jest wśród zwolenników socjal-demokracji (52 proc.), najmniej wśród zwolenników chrześcijańskiej demokracji (42 proc.).

Wreszcie, fakt mniej istotny, więcej jest realistów na zachodzie i południowym zachodzie NRF, niż w północnej części kraju lub w Bawarii.

I L E L A T ?

Tym, którzy wierzą w powrót utraconych ziem do Niemiec, zadano dodatkowe pytanie, jak długo to potrwa.

	1953	1965
	%	%
W najbliższych latach (1—3 lata)	14	1
Mniej więcej 5 lat (4—7 lat)	11	2
Mniej więcej 10 lat (8—14 lat)	13	5
Mniej więcej 20 lat (15—24 lata)	4	5
25 lat i dłużej	3	5
Niezdecydowani	21	10
Niezapytani (ci, którzy uważają ziemię za utracone, lub którzy nie mają zdania)	34	72

Tak więc nawet ci, którzy jeszcze nie wyzbyli się złudzeń, liczą raczej na jakiś cud w dalekiej przyszłości, a nie opierają swych nadziei na konkretnych przewidywaniach. Kto bowiem realnie myślący próbuje przewidzieć, co będzie w końcu naszego stulecia?

I znowu zmiana z rokiem 1953 jest ogromna. Oto odpowiednią tabelą:

Dalsza seria pytań, dotyczących powrotu na utracone ziemię, postawiona była tylko uchodźcom z tych ziem. Pierwsze pytanie brzmiało:

„Zakładając, że dzisiejsza Polska i Rosja zaprosiłyby dawnych niemieckich

(Dokończenie na stronie 44-ej)

„NIGDY JESZCZE

W HISTORII KOŚCIOŁA“

SUMMARIUSZ III SESJI SOBORU WATYKAŃSKIEGO

Napisał

Jan Tokarski

W przeddzień zakończenia III sesji soboru powiedział dziennikarzom języka angielskiego msgr. L. Mc Reavy w rzymskim ośrodku informacyjnym episkopatu Anglii i Walii: „Śmiało można rzec, iż nigdy jeszcze w historii Kościoła tak liczne grono biskupów nie przedyskutowało i zdecydowało tyłu spraw tak wielkiej wagi w tak krótkim czasie“.

Ile jest prawdy w tak ujętym podsumowaniu III sesji?

Trwała ona od 14 września do 21 listopada, a więc 10 tygodni bez jednego dnia. W tym czasie ponad 2.000 ojców uchwaliło trzy kanony, żeby użyć dawniejszego języka kościelnego, i przedyskutowało 13 krótszych lub dłuższych schematów.

Z uchwalonych kanonów dekret o ekumenizmie nie był owocem trzeciej sesji. Został przedyskutowany na II sesji, a w okresie międzysesyjnym wprowadzono postulowane poprawki. Dekret o katolickich Kościołach wschodnich był wprawdzie dyskutowany również i w III sesji; jednak uchwalenie go jest tylko w części jej wynikiem: schemat ten bowiem ciągnie się już od sesji pierwszej. Jeszcze mniej w ciągu tych 10 tygodni napracowali się ojcowie nad schematem o Kościele. Jego 6 najważniejszych rozdziałów jest rezultatem II sesji i okresu między obu sesjami. Sesja III zajęła się tylko dwoma rozdziałami, siódmym i ósmym. Zabrało to ojców trzy i pół kongregacji, jakich 9 do 10 godzin dyskusyj, która nie obfitowała w wypowiedzi większej wagi lub choćby ciekawsze. Jedyny wyjątek stanowiło może przemówienie kard. Suenensa, prymasa Belgii, o konieczności zreformowania procedury beatyfikacji i kanonizacji.

Jeśli więc chodzi o wyniki konkretne, o własny dorobek faktyczny, to trzecia sesja po swoich 10 tygodniach trwania poszczycić się może kawałkiem konstytucji o Kościele i kawałkiem dekretu o Kościołach wschodnich. Przypomnijmy, dla porównania, że czwarty sobór laterański, którego 750-lecie przypada tego listopada, w ciągu niespełna czterech tygodni przedyskutował i uchwalił 70 — słownie: siedemdziesiąt — kanonów, to jest konstytucyj i dekretów. Obejmowały zaś one szeroki wachlarz spraw od stosunku Kościoła do świata współczesnego, wyjaśnienia nauki Kościoła w punktach zaciemnionych przez herezje, poprzez postanowienia dyscyplinarne, obejmujące wiernych, lecz zwłaszcza kler i hierarchię, do próby zreformowania życia całej społeczności chrześcijańskiej w nadziei na pojednanie Kościołów.

Dodajmy, że w soborze brało udział nie tylko więcej niż 1.200 biskupów i opatów, lecz także przedstawiciele ka-

pitul katedralnych i kolegiackich; reprezentanci wszelakiego rodzaju władców świeckich, republik oraz wolnych gmin miejskich. Był to zatem sobór nie tylko licznie większy od obecnego — a w każdym razie nie mniejszy; nie tylko najbardziej reprezentacyjny ze wszystkich dotąd dla całej społeczności wiernych: ale też najbardziej wydajny, najlepiej pomyślany, przygotowany, zorganizowany i przeprowadzony...

Tak więc przytoczone na wstępie twierdzenie monsignora Mc Reavy — zresztą typowe — z powołaniem się na historię Kościoła właśnie w świetle tej historii bynajmniej nie wypada na korzyść obecnego soboru, ani jego trzeciej sesji, jeśli byśmy chcieli nie wiadomo po co wprowadzać do oceny ducha czy miarę rekordu. Lecz jeśli dać pokój aż „historii Kościoła“, lecz zestawić tę

sesję z dwiema poprzednimi możemy powiedzieć, że dzięki próbie wprowadzenia pewnej procedury obrad, dzięki trzymaniu się jakiegoś planu, sesja toczyła się wartko i ojcowie choć nie wiele uchwaliли, to jednak wiele spraw rzeczywiście ważnych przedyskutowali i przemyśleli. W porównaniu z poprzednimi III sesja nabrała takiego rytmu i tempa, że nawet człowiek tak porywisty jak słynny arcybiskup Bostonu, kardynał Cushing, który podczas pierwszej sesji znużony i znudzony przewlekającą się bezładnie i niekarnie dyskusją, uciekł z Rzymu do swej diecezji już przy dyskutowaniu pierwszego schematu, tym razem nie mógłby powiedzieć tego, co wtedy powiedział dziennikarzom, że sobór potrwa conajmniej dwieście lat: „I give to the Council another 200 years“...

WOKÓŁ KULTU MARYJNEGO

Oto summariusz spraw dyskutowanych w czasie ostatniej sesji, bez próby wchodzenia w szczegółową ocenę schematów i uchwalonych kanonów; summariusz w celu przypomnienia sobie o czym była mowa i jako przygotowanie do nadchodzącej sesji czwartej.

Właściwe obrady zaczęły się 15 września od dyskusji nad 7 rozdziałem schematu o Kościele; tytuł rozdziału — „cel eschatologiczny Kościoła pielgrzymującego i jego związek z Kościołem w niebie“. Już następnego dnia w drugiej części kongregacji rozpoczęła się dyskusja nad ostatnim, ósmym rozdziałem tego schematu, o Matce Bożej w tajemnicy Chrystusa i Kościoła, zakończonej 18 września. W tej debacie niektórzy ojcowie dali wyraz obawom aby teologia maryjna nie przekraczała umiarkowanych granic. Toteż ich zda-

niem nie należy Matce Bożej nadawać tytułów, które są stosunkowo nowe i przeto mogą wprowadzać zamieszanie w umysłach — jak np. Matka Kościoła; lub takich jak Wszechpośredniczka łask, które mogłyby zasłaniać jedyne, wyłączone i rzeczywiste pośrednictwo Chrystusa Pana. Należy poprzestać na tytułach mających za sobą tradycję wieków i powszechną zgodę teologów, co nie jest minimalizmem maryjnym ani próbą ograniczenia pobożności maryjnej, choć jest chęcią nie mnożenia różnic w stosunku do chrześcijan nie katolickich. Z resztą pobożność ku Matce Boga tylko zyska, jeśli będzie karniej pogłębiała swój związek z myślą teologiczną.

Komisja wypracowała tekst, który stanowił kompromis pomiędzy dwoma stanowiskami, zarysowanymi w czasie soboru, które prasa ochrzciła minimali-

zmem i maksymalizmem maryjnym, zresztą takie określenia padały z ust ojców na auli. Tekst został przyjęty. Jednak w ostatnim dniu sesji, to jest na kongregacji publicznej, Ojciec św. obdarzył Maryję tytułem Matki Kościoła, o co prosił polski episkopat, a czego wspomniany tekst kompromisowy nie uwzględniał. Pewna ilość ojców soborowych przyjęła interwencję papieską z przykrością nie tylko jako umniejszenie praw i powagi soboru, ale jako tworzenie nowej przeszkody na drodze porozumienia z protestantami, choć oczywiście — jak dodawali — papież miał pełne prawo tak postąpić nie tylko z natury swej władzy, ale dając wyraz wierze w Kościele łacińskim, raczej powszechnej. Inni podkreślali, że Paweł VI postąpił tak świadomie i słusznie, gdyż jego obowiązkiem jest przede wszystkim czuwać nad równowagą w Kościele. A sprawa czci Matki Bożej począwszy od II sesji soboru wprowadziła wielkie zaniepokojenie wśród wielkiej części ojców soborowych i wśród większości wiernych Kościoła zachodniego. Papież musiał dokonać aktu, który wyraźnie mówił, że cześć maryjna nie doznaje w Kościele łacińskim umniejszenia; że Kościół ten nie chowa wstydliwie ani swej miłości do Bogarodzicy, ani swej tradycyjnej wiary w nią nie uważa za pomyłkę czy niewłaściwą wybujałość.

Ciekawa rzecz, że wschodni ojcowie, którzy w dyskusji nad tym rozdziałem nie brali udziału, byli zdziwieni aktem papieża. Jak wiemy, w Kościołach wschodnich tak katolickich jak i niekatolickich, Maryja jest wynoszona niezwykle wysoko i najszczodrzej obsypywana pochwałami. Ale wszystkie te pochwały, cały podziw, najgłębsza miłość, fakt, że Maryja jest nawet obecna przy wschodniej Konsekracji, nigdy nie przesłania rzeczywistości, że jest ona Stworzeniem: — Najdoskonalszym, lecz tylko Stworzeniem. Ze więc jest w całości dziełem Łaski Bożej, wysłużonej przez Jej Syna, najdoskonalej odkupionym człowiekiem. Nie potrzebne są tam obawy o minimalizm czy maksymalizm maryjny, o robienie różnicy pomiędzy pobożnością a teologią maryjną czy wzywaniem pobożności, by nie traciła związku z myślą teologiczną. Tam bowiem Maryja najobficiej znajduje się w samym centrum rzeczywistości eklezjalnej, w istotnym akcie Kościoła jakim jest Liturgia, w dramacie Odkupienia, przeto najwyraźniej występuje jej rola wyjątkowa i jedyna, a zarazem jej uwarunkowania i granice.

„TYS JEST OPOKA“ — TO NIE FORMUŁA PRAWNA

Umysłowość wschodnia na ogół wolna jest od tendencji do unieruchomień i

zesztywnień jurysdycznych, które cechują mentalność łacinników. Mentalność zachodnia, łacińska — żeby tak powiedzieć — nawet tęczę gotowa była uważać za most do przewożenia ciężarów. Innymi słowy nie umiała czynić naturalnego rozróżnienia pomiędzy rzutami poety, a twierdzeniami teologa. Modlitewne porywy albo poetyckie przenośnie traktowała jak formalne klauzule prawne. Podobnie stało się też ze słowami Chrystusa Pana do Piotra: „tys jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój“.

Dla chrześcijan wschodnich, u których teologia nie rozstawała się z modlitwą i Pismem i nie przemieniała się na racjonalistyczne prestidigitatorstwo, bo nie podległa talmudyzmowi metody scholastycznej, te słowa Chrystusa jako pokarm dla myśli teologicznej nie przestały jednak nigdy być tym czym były: oryginalnie obrazowym powiedzeniem; przenośnią sugerującą pewną rzeczywistość, ale którą trzeba zawsze ujmować łącznie z innymi przenośniami i obrazami, np.: „kto jest większy spośród was, niech będzie jako mniejszy, a położony jako usługujący“ (Łuk. 22, 26), czyli w intencji Chrystusa, w Jego Kościele im wyższa władza, tym większa ma być jej funkcja służebna, i to nie w przenośni, ale rzeczywistości, nawet psychologicznie, jako odtrutka przeciw niebezpieczeństwu każdej władzy; „... ja wam przekazuję królestwo, jako mi przekazał Ojciec mój, abyście jedli i pili u stołu mego w królestwie moim i zasiadali na tronach, sądząc dwanaście pokoleń izraelskich“ (Łuk. 22, 29-30); „a mur miasta miał dwanaście fundamentów, a na nich dwanaście imion, dwunastu apostołów Baranka“ (Obj. 21, 14), itd.

Te i inne teksty razem mówiły, że Kościół spoczywa na wszystkich apostołach. Wszyscy przeto stanowią jedno ciało, jedno kolegium. W tym ciele i kolegium specjalną funkcję i rolę spełnia Piotr. W myśl woli Chrystusa Pana ta funkcja i rola wtedy występuje czyściej i jaśniej, im bardziej Piotr-opoka ustawia się w funkcji służby diakonii, a nie rządzenia i władzy.

PRZEZWYCIEŻANIE PAPOCEZARYZMU I KEFALIZACJI

Tymczasem mentalność łacińska zainteresowała się tylko jednym powiedzeniem Jezusa coraz bardziej wyrywające je z kontekstu innych Jego obrazów. Potraktowała to powiedzenie nie jako formę mówienia Semity, lecz tak, jakby to było wygłoszenie ścisłej, zimno wykalculowanej formuły prawnej przez rektora, otoczonego liktorami, cytat z prawa Dwunastu Tablic. Już u św. Leona

Wielkiego, typowego Rzymianina, którego protestanci uszczypliwie nazwali „pierwszym papieżem“ lub „tym, który wynalazł papieństwo“, mamy przejawy niezdrowej kefalizacji i imperializacji Kościoła. Jednak na dobre od św. Grzegorza VII, który tak nieszczęśliwie zaciążył nad eklezjologią zachodnią, widzimy zdecydowane zwycięstwo jednostronnego pojmowania roli papieża i przez to stopniowe zacienienie rzeczywistości Kościoła. Następuje nie tylko łacynizacja Kościoła: Kościół staje się jakby imperium i wprowadza imperialne, świeckie metody do swej działalności — skutek to braku łączności z Kościołami Wschodu; i teutonizacja roli papieża, co Bizantyńczycy zauważyli już w wieku X, podkreślając, że papież „to nie biskup, ale Cezar“. Rzeczą charakterystyczną jest, że przez całe średniowiecze na Zachodzie, właściwie aż do wybuchu reformacji, rzeczywistość Kościoła łacińskiego kształtują nie biskupi (jako pasterze), ani teologowie, lecz kanoniści, prawnicy. W ciągu stuleci z tego jednego powiedzenia Chrystusa Pana, oderwanego od słów Pisma św. i potraktowanego jak ścisła, ciasna formuła, zbudowano jednostronną, racjonalistyczny kodeks, jednostronną teologię kefalizacji, która doprowadziła do zwężenia układu elementów eklezjalnych Kościoła: zniknął z perspektywy nie tylko episkopat, ale prawdę mówiąc zmieniła się także sama natura Kościoła.

Otóż największą niespodzianką soboru jest, choć to nie powstało w głowie Jana XXIII, a już ani trochę w intencjach komisji przedsoborowych, że cała ta sztuczna struktura papocezaryzmu, metakefalizmu została zachwiana, w części obalona: i znowu w obrazie historycznym Kościoła zaczyna prześwytawać idea i zamiar jego twórcy i Głowy jedynej, rzeczywistej, Jezusa Chrystusa. — Wszystko inne co się na tym soborze mówi i uchwała, ważne jest tylko, i o tyle, o ile posiada związek, lub jest skutkiem tego odnowienia i odsłonięcia ewangelicznego obrazu Kościoła.

Przejawiło się to w dyskusji nad kolejnym schematem „O pasterskich zadaniach biskupów“, od 18 do 23 września, kiedy ojcowie podkreślali zwłaszcza te elementy, które posiadały związek z 3 rozdziałem schematu o Kościele, mówiącym o kolegialności. Tutaj też wyrażono raz jeszcze przekonanie, że Ojciec św. będzie miał u swego boku senat doradczy, złożony z biskupów diecezjalnych z różnych części świata, którzy będą mogli rzeczywistości być jego faktycznymi doradcami. Wówczas kuria rzymska automatycznie ograniczy się do tej roli, która winna być jej właściwą, to jest do roli wykonawczego organu, podporządkowanego papieżowi i

biskupom, a nie wznoszącego się ponad biskupów. Nawiasem mówiąc, choć może dyskutanci o tym nie pamiętała, te

KOMUNIZMY CZYLI ANTYWOLNOŚĆ

Od 23 do 28 września ojcowie dyskutowali nad deklaracją o wolności religijnej, w sensie prawa — a nawet obowiązku — każdego człowieka do postępowania za głosem sumienia. Tutaj w dniu 24 września arcybiskup Wiednia kard. König wygłosił przemówienie, w którym przedstawił komunizm jako najbardziej przesładowcze systemy jakie zna historia. Odbierając bowiem wszelką wolność myśli i sumienia, tworząc obywateli drugiej klasy z niekomunistów, każdy komunizm „jest obrazą tolerancji, obrazą nauki, obrazą postępu społecznego, a przede wszystkim godzi w godność człowieka“. Kardynał wzywał, aby sobór rozbudził w takim stopniu świadomość świata, by musiała zniknąć ta anomalia, jaką komunizm narzucają, że „ateizm cieszy się każdym prawem, podczas gdy religia nie ma żadnych praw“. A przecież „wolność religijna jest podstawą wolności sumienia, ponieważ spoczywa na całkowicie dobrowolnym przyzwoleniu i przeświadczeniu (in libero assensu consistit). Wolność religijna jest podstawą praw naturalnych człowieka. Wolność religijna przeszkadza zagnieżdżeniu się totalitaryzmu państwowego, albowiem wolność religii zakłada uznanie, że władza cywilna posiada granice. W tym więc stopniu, w jakim rośnie wolność religii, zmniejsza się totalizm państwa i jego władz“.

Od 28 do 30 września dyskutowano nad zmienionym tekstem deklaracji o Żydach i innych niechrześcijanach. Zmiany, wprowadzone do tekstu o Żydach wzbudziły niezadowolenie wielu ojców, którzy dali temu wyraz zarówno w wywiadach prasowych jak i na auli. W nowej, trzeciej redakcji podobno tekst ten nie przedstawia nic do życzenia. Żydzi jako naród zostają w nim uwolnieni od fantastycznego zarzutu bogobójstwa i te argumenty, jakie antysemityzm mógł jeszcze czerpać z niektórych oświeśleń religijnych, zostały ostatecznie uniemożliwione. Alarmistyczne pogłoski, szerzone przez pisma w rodzaju londyńskiego „Observer“a, zdają się być pozabawione podstaw. Rzecz charakterystyczna, że „Observer“ nie podał autorytatywnego wyjaśnienia rzecznika watykańskiego.

Od 30 września do 6 października dyskutowano drugi co do znaczenia i ważności schemat soboru: „o Objawieniu“, który na I sesji doprowadził do charakterystycznego kryzysu i impasu. Dyskusja obnażyła wtedy słabość pewnego typu teologii katolickiej, która się za-

postulaty liczą już sobie... 660 lat. Widzimy, że powoli realizują się reformy w Kościele łacińskim ...

gnieździła tryumfalnie od XIX zwłszcza wieku, doprowadziła do stagnacji myśli katolickiej i przeszkadzała wewnętrznej żywotności Kościoła zachodniego. Jednak głosowanie nad odesłaniem schematu do gruntownej przeróbki nie dało zwolennikom odnowy Kościoła potrzebnej ilości dwu trzecich głosów. Dopiero interwencja Jana XXIII umożliwiła przerwanie bezpłodnej dyskusji. Był to zapewne najbardziej przełomowy moment soboru. Od tego czasu schemat dyskutowany przez komisję teologiczną, powiększoną o członków wyłonionych przez sekretariat jedności chrześcijańskiej usiłuje wypracować tekst możliwy do przyjęcia przez wszystkich ojców, będący nie echem takiej czy innej partykularnej teologii, ale odbiciem powrotu do tego arcyźródła, jakim jest Chrystus Pan, który przyniósł ludziom pełnię Objawienia Boga. Wymownym symbolem zmiany nastawień, myśli i dążności jest zmiana tytułu. Nie mówi się już „o DWU ŹRÓDŁACH Objawienia“, lecz po prostu „o Objawieniu“.

I tym razem tekst poddano dość surowej krytyce oraz przerobiono znacznie. Jednak łącznie z wniesionymi poprawkami schemat wzbudził zainteresowanie, a nawet uznanie, protestantów również jako duży krok naprzód na drodze do porozumienia chrześcijańskiego.

TEOLOGIA LAIKATU CZYLI KONIEC AKCJI KATOLICKIEJ?

Od 7 października zaczęto dyskutować nad schematem „o apostołstwie świeckich“. Krytyk chwilami bardzo ostrych nie brakowało. Jeden z biskupów kanadyjskich np. powiedział, że schemat „został poczęty w grzechu pierworodnym klerykałizmu“. Hindus, biskup Eugeniusz D'Souza, zakwestionował to miejsce schematu, gdzie mówi się, że w diecezji „nie nie można czynić bez zgody biskupa“. Zdaniem hinduskiego hierarchy byłoby to otwarciem drzwi do nieskończonych nadużyć. A przecież „Kościół nie jest totalitarnym państwem, gdzie wszystkim zarządza się od góry“. Wiele biskupów podkreślało, że właściwa, eklezjalnie czynna rola świeckich w Kościele nie polega na tym, że są oni tak zwanym „przedłużonym ramieniem hierarchii“, a więc członkami „Akcji Katolickiej“, to jest wikarymi w świeckim ubraniu. Przeciwnie! Istotną rolą świeckich jest właśnie być świeckimi! Jest uprawiać poszczególne zawody, przez to brać udział w podtry-

mywaniu, budowie i rozwoju świata, a żyjąc jednocześnie według wymogów ewangelii, tym samym otwierając drogę Chrystusowi we wszystkich dziedzinach życia i kultury i brać udział w uświęceniu świata. — Rozwijająca się już od 25 lat, lecz szczególnie od czasu ogłoszenia soboru, teologia laikatu prawdopodobnie kładzie kres tak zwanej Akcji Katolickiej w sensie jaki usiłowano wydedukować z wypowiedzi Piusa XI. Ten „papież Akcji Katolickiej“ zresztą wikał się w sprzecznościach i nie dał jasnej odpowiedzi, czy Akcja Katolicka jest ruchem elitarnym czy masowym. A raczej w zależności od chwili raz mówił to, drugi raz tamto. Gdyby jednak Akcja Katolicka miała być ruchem elitarnym, wtedy wobec zadań jej postawionych byłaby m. in. jakby ukanonizowaniem faryzeizmu, bo zaszerogowaniem tych, którzy „musieliby“ być oficjalnie uważani za „najlepszych“. Gdyby zaś miała być ruchem masowym, koekstensywnym z zasięgiem Kościoła, przynajmniej łacińskiego, wtedy jest zbyt techniczna, bo jej obowiązki są praktycznie obowiązkami nie tylko wszystkich katolików, ale wszystkich ludzi ochrzczonych.

DRUGI SOBÓR WATYKAŃSKI NIE JEST JESZCZE SOBOREM SPOŁECZNOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

W dyskusji nad tym schematem zabrał głos po raz pierwszy człowiek świecki. (Poprzednie dwa wystąpienia laików były zwykłymi grzesnościowo-dewocyjnymi aktami i nie miały łączności z programem dnia). Mówcą był Anglik, Pat Keegan. Jak zwykle Francuzi, a za nimi ci wszyscy, którzy nie mogą nie wygłosić przy łada okazji grzmiącego sloganu, z tego powodu patetycznie dodali do różnych „końców“ jakich ten sobór ma być świadkiem (np. „koniec kontr-reformacji“, „koniec epoki Konstantyna“, „koniec feudalizmu eklezjastycznego“, etc.), także „koniec klerykałizmu“.

Mój Boże! Podczas soboru trydenckiego świecki człowiek wygłosił nie jakieś tam kilkuminutowe przemówienie, lecz z ambony, w drugie święto Bożego Narodzenia, 26.XII.1546 roku, kazanie dla ojców soborowych: i klerykałizm nie tylko się nie „skończył“, ale podobno dopiero na dobre zaczął się od owego czasu. Od listopada roku minionego aż po rok 1968 obchodzimy 450-lecie soboru w Konstancji. Przypomnijmy sobie nie kilka komunałów, wygłoszonych przez jednego czy dwóch mówców na III sesji obecnego soboru, ale faktyczną, czynną, olbrzymią rolę, jaką dla soboru i na soborze w Konstancji odegrali ludzie świeccy z C. Malatestą z Rimini i cesarzem Zygmun-

tem Luksemburskim na czele: i jaką jeszcze wciąż odgrywali w Kościele: Lecz czy samo w sobie ma to jakieś zagwarantowane znaczenie? czy to automatycznie zabezpiecza trwanie pewnego stanu? czy samo z siebie rodzi zawsze owoce?

Toć wspomniany przeze mnie na wstępie IV sobór laterański był w pełnym tego słowa znaczeniu rzeczywistą reprezentacją całego Kościoła, nie zaś tylko sprawą duchownych, jaką pomimo wszystkich sloganów jest ten sobór. Bo wbrew frazesom francuskich i północno-europejskich teologów nie można za autentyczną reprezentację „ludu bożego“ uważać garstki najzacniejszych i pewno zasłużonych biurokratów, którzy znaleźli się w roli audytorów so-

NIE TKNIĘTO PROBLEMU CELIBATU KSIĘŻY

Patrick Keegan przemówił w ostatni dzień dyskusji nad schematem o apostołstwie świeckich, tj. 13 października i tego samego dnia zaczęto omawiać 12 propozycji o kapłanach. Po miażdżącej krytyce propozycje odesłano do całkowitej przeróbki. Wspaniałe rzeczy należy i można mówić o tym soborze i z jego powodu. A jednak nie sposobu nie stwierdzić — z całym uszanowaniem należnym ciału, które według kodeksu prawa kanonicznego „ma najwyższą władzę w całym Kościele“ (kanon 228 § 1: concilium oecumenicum suprema potest in universum Ecclesiam potestate) — że zabrakło ojcom odwagi, by spojrzeć wreszcie w oczy sprawie przymusowego celibatu kapłańskiego przynajmniej jako problemowi.

W samych tylko Włoszech przez 15 lat po ostatniej wojnie blisko 5.000 księży rzuciło kapłaństwo z tego powodu. Z wysokich miejsc można poufnie usłyszeć wyznania, że w takiej Austrii czy Niemczech zachodnich celibat praktycznie nie istnieje. W Afryce, gdzie nawet jednożeństwo może czasem wydawać się stanem heroicznym, tam przymusowy celibat zakrawa na okrucieństwo. Misjologowie piszą jasno, że jeśli w tej sprawie nie nastąpi powrót do zwyczajów Kościoła pierwotnego (gdzie przecież istniało małżeństwo prezbiterów i biskupów), w ciągu jednego pokolenia może Kościół spaść liczebnie do egzotycznej garstki, gdyż zabraknie kapłanów. Z wysuwanych najtypowszych argumentów za celibatem ani jeden nie wytrzymuje krytyki. Tymczasem, jak małoduszne milczenie panuje w tej ważnej sprawie, wykazała dyskusja nad sprawą przywrócenia instytucji stałego diakonatu. Jak na razie, można mieć nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy w łacińskim Kościele odwa-

borowych dlatego tylko, że są funkcjonariuszami szacownych organizacji międzynarodowych. Tylko Jean Guittou, zaproszony przez Jana XXIII, jako, powiedzmy, „prima creatura laicorum“; i Stefan Świeżawski, wybrany przez kard. Wyszyńskiego, lecz mimo jego starań zaproszony dopiero na III sesję, reprezentują realnie katolików świeckich jako uczeni i humaniści. I kiedy na ławach świeckich zobaczymy wreszcie przedstawicieli nauk ścisłych i przyrodniczych, świata literatury i sztuki a także reprezentantów przynajmniej kilkunastu typowych zawodów ludzkich, a nie tylko biurokratów, dopiero wtedy powiemy, że laicy mają swoją reprezentację na soborze, jak ją mieli — uczciwszy różnice — na soborach łacińskiego średniowiecza.

żnie nazwie się problem po imieniu i będzie się usiłowało znaleźć godne chrześcijańskie rozwiązanie.

KOŚCIÓŁ I KOŚCIOŁY

Dnia 15 października wszedł pod obrady schemat „o katolickich Kościołach wschodnich“, do którego stosunek ojców był nieco podobny jak w czasie I i II sesji do kiegońskiego schematu „o społecznych środkach przekazywania myśli“. Ostatecznie schemat o Kościołach wschodnich przyjęto, ale bez przeświadczenia, że w tej formie jest w ogóle potrzebny. Chwilami schemat ten, ostatecznie uchwalony jako dekret, brzmi tak, jakby konstytucja o Kościele nie tylko nie była uchwalona, ale nawet przedyskutowana. Pomimo to może dobrze się stało, że sprawy te w ogóle omawiano. Sobór obecny niestety rzadko wznosi się do wyżyn prawdziwej uniwersalności katolickiej; jest to bowiem raczej synod Kościoła łacińskiego i najczęściej ojcowie mówią „Kościół“, bynajmniej nie mają na myśli Kościoła Powszechnego — powszechnego nawet w jego egzystencjalnej i historycznej postaci (nie mówiąc już o jego obrazie w intencji Chrystusa) — lecz tylko Kościół zachodni, łaciński. O części Kościoła mówią tak, jakby to był Kościół cały i jedyny. Tymczasem dyskusja nad Kościołami wschodnimi mogła łacińskim biskupom uprzytomnić, że Kościół Powszechny, to Kościoły wszystkie, a nie tylko sam Kościół zachodni. Że Kościół zachodni jest tylko jednym z Kościoła Powszechnego; że ma te same, ale nie większe, prawa, co najskromniejszy Kościół wschodni. To, że na razie Kościół zachodni, łaciński, jest liczebnie największy, nie ma istotnościowo znaczenia.

SCHEMAT XIII — NIE JEST „ZIEMIĄ OBIECANĄ“ SOBORU

Nad tym schematem dyskusja zakończyła się 19.10. i następnego dnia wszedł pod obrady sławny a dzięki bładzie i sloganom zwłaszcza Francuzów bardziej jeszcze osławiony niż sławny, schemat 13 „O Kościele w świecie współczesnym“. Tym samym Francuzi mieli okazję ogłosić jeszcze jeden „koniec“ — „koniec rozdziału Kościoła i świata“. Ojciec J. M. Yves Congar O. P. nazwał ten schemat „ziemią obiecaną“ soboru. „Ziemią obiecaną“ schemat trzynasty się nie okazał. Jego namaszczony i kaznodziejski język, jego niewyraźny adres (nie wiadomo do kogo zwrócony: do katolików? do chrześcijan? do wierzących w Boga? do niewierzących? do ateistów czynnych? do niektórych z tych możliwych grup? do wszystkich?) wzbudziły dużo krytyk. W sumie jednak dyskusja choć nie rewelacyjna, okazała się dość ciekawa, zwłaszcza przy rozdziale IV paragraf 21, kiedy była mowa o małżeństwie. Można powiedzieć, że wtedy uwagę świata wzbudziły trzy przemówienia — kanadyjskiego kard. Leger, prymasa Belgii kard. Suenensa i 86 lat liczącego melchickiego patriarchy Antiochii, kardynała Maximiosa IV Saïgha. W międzyczasie cały schemat przepracowano, zmieniono jego patetyczno-sentymentalny język i wyraźnie został w swej treści zaadresowany do wszystkich ludzi dobrej woli.

Od 31 października do 3 listopada nastąpiła przerwa świąteczna w obradach, które podjęto 4. XI. dyskusją nad paragrafem 22, o kulturze. Tu znów wygłosił godną pamięci mowę kardynał Lercaro, arcybiskup Bolonii, wskazując na konieczność oczyszczenia przez Kościół własnych koncepcji o kulturze chrześcijańskiej i oderwania się od tego, co wciąż jeszcze traktuje się jako bogaństwo, a co naprawdę jest zubożeniem: to jest to wszystko, co czyni z Kościoła Powszechnego jakby tylko instytucję europejską i zachodnią. Poszczególne Kościoły mają i powinny mieć własne kultury, Kościół jednak winien się ogołocić z tego wszystkiego, co stanowiłoby przeszkodę w podawaniu ewangelii poza Europę. Bo Kościół Powszechny nie jest europejski ani zachodni, ani łaciński, lecz katolicki, więc w Chinach chiński, w Indiach hinduski, w Afryce afrykański, w Polsce polski, na Ukrainie ukraiński. Jeden i ten sam wszędzie jest tylko przez Chrystusa, którego głosi przez jedną prawdę Jego ewangelii, lecz głoszoną w dostosowaniu do różnych kultur i mentalności; przez jedne i te same sakramenta i przez jedną i tę samą Najśw. Ofiarę.

która może być rozmaicie sprawowana.

Dnia 5.X. dyskutowano paragrafy 23 i 24, o problemach demograficznych i o solidarności rodzaju ludzkiego. Tu przemówił jeszcze jeden laik, Amerykanin James Norris.

ISTNIEJE TYLKO KOŚCIÓŁ MISYJNY

Od 6 do 9 listopada nastąpiła przerwa w dyskusji nad schematem 13 dla przedyskutowania propozycji o misjach, które zalecił gorąco ojców soborowym jako dobrze opracowane Paweł VI. Tymczasem ojcowie surowo skrytykowali tekst jako zupełnie nie odpowiadający potrzebom czasów, kiedy cały Kościół jest Kościołem misyjnym, także w Europie; i kiedy nikt nie może uważać misyj za jakiś dodatek do „właściwego“ Kościoła, rozgrywający się na jego peryferiach. Propozycje zostały odesłane do całkowitego opracowania, podobnie jak propozycje o kapłanach. Dnia 9 i 10 listopada powrócono do dyskusji nad schematem XIII, paragraf 25, o wojnie i pokoju. Chyba najślabsze przemówienie tej sesji (oprócz dyskusji nad schematem o apostołstwie świeckich) zostały wtedy wygłoszone. Nawet patriarcha kardynał Maximios IV, niewątpliwie najciekawsza osobistość soboru, zdobył się tylko na sentymentalne ogólniki.

O ZAKONACH

Od 10 do 12 listopada radzono nad propozycjami o zakonach i tutaj ponieśli porażkę kardynałowie Döpfner (arcybiskup Freisinga i Monachium) i Suenens, należący do czołowej grupy reformistycznej. Obaj ojcowie usiłowali doprowadzić do odrzucenia całego tekstu nie tylko przez swę wypowiedzi na auli, ale też przez pewne machinacje poza salą soborową. (Kardynał Suenens, który prowadził akcję propagandową w Europie i USA za reformą zakonów żeńskich i napisał osobną rzecz na ten temat, uchodzi za znawcę zagadnienia). Jednak dzięki umiejętnej kontrakcji przełożonych zakonnych, obecnych na soborze nie udało się kardynałom sprawić, aby ojcowie odrzucili wspomniane propozycje jako podstawę dyskusji. Obu też kardynałom wykazano dość ostro w prasie, że myślą instytucje zakonne z przedsiębiorstwami biznesu lub przemysłu, gdzie najważniejszym kryterium jest wydajność w duchu anglosaskiej „efficiency“. Tymczasem pierwszym celem zakonów jest i musi być życie wewnętrzne i uświęcanie członków przez posłuszeństwo dobrowolnie przyjętej regule, a dopiero na drugim miejscu różne akcje specjalne.

Wbrew stanowisku kardynałów można nawet powiedzieć, że problem z wielu zakonami, przeważnie żeńskimi, które nie pracują „na misjach“ lub nie są surowszej reguły ascetycznej i kontemplacyjnej, jest wręcz przeciwny: Jak sprawić, aby przestały to być wydajne przedsiębiorstwa np. przemysłowo-handlowo-hotelarskie i byznesowe (— szkoły i szpitale); aby przestały robić niewłaściwą konkurencję w tych różnych dziedzinach instytucjom świeckim: a stały się tym czym być powinny przede wszystkim: to jest zgromadzeniami religijnego wyrobienia. Co za sens religijny jest zakładać szpitale czy szkoły w krajach, gdzie przecież czynią to państwa lub samorządy, żeby w ten sposób finansować zakon? Prowadzić szpital lub szkołę w tzw. warunkach misyjnych dopóki miejscowe władze świeckie nie będą zdolne same akcji tej się podjąć, to jest inna sprawa.

„BEZMYŚLNA SKRZĘTNOŚĆ“ I SNOBIZM ZAKONNY

Jest właściwie coś aż przerażającego w tej — nie mam innego określenia — bezmyślnej skrzętności, z jaką tyle zgromadzeń żeńskich gromadzi majątek; buduje imponujące gmachy i zwłaszcza pełne przepychu domy generalne w modnych punktach Rzymu; rozrzucą pieniądze na beatyfikacje i kanonizacje założycielek, niewiast na pewno pobożnych, ale które w niczym nigdy nie przemówią do wyobraźni świata: jeśli sobie uprzytomnić jaki jest cel życia zakonnego, jaka nęcza panuje nie gdzieś „w świecie“, ale często bardzo blisko ozdobionego marmurami domu generalnego „duszyczek“, które ślubowały ubóstwo; i gdy poprzez sobór i ustami tyłu księży i biskupów poza soborem woła się o „Kościół ubogich“. Jest coś inhereńnie niedobrego w strukturze żeńskich zakonów, co czasem wychodzi na jaw z okazji procesów kanonizacyjnych (chorobliwa żądza władzy, intrygi, bezwzględność nie do wiary w stosunkach między przełożonymi a zwykłymi zakonnicami, nieraz proste okrucieństwo — przypomnijmy sobie np. sprawę św. Bernadety Soubirous, św. Teresy z Lisieux, Matki Dudzik, etc.). Jeszcze łatwiej o zesłizg przy duchu dzisiejszego niezdrowego aktywizmu dla aktywizmu w zakonach poświęcających się różnym formom działalności zewnętrznej. Widzimy też, że zakony te często bez skrupułów odchodzą od trudniejszych założeń, które przyświecały przy ich powstawaniu. Weźmy np. tak zasłużone, miłe zgromadzenie jak nasze polskie nazaretanki (przynajmniej do niedawna „polskie“, gdyż obecna matka generalna, Amerykanka, ku rozgoryczeniu siostr starszych usuwa ślady

polskości zakonu). — W intencji założycielki, Franciszki Siedliskiej, zakon ten miał się zajmować nauczaniem ubogich dzieci. Tymczasem już dobrze przed wojnami, jak to pamiętamy z Polski, nazaretanki ani myślały przestrzegać życzeń założycielki i prowadziły snobistyczne szkoły dla tak zwanych „panienek z „lepszych“ domów“. Niemal urasta do znaczenia symbolu fakt, że zmieniając charakter zgromadzenia, usuwając język polski z modlitw, etc., przełożona generalna wyzbyła się też ośrodka, który nabyła jeszcze założycielka, matka Siedliska i gdzie spoczywały jej szczątki (oraz sprzedawała Niemkom przepięknie położony dom nowicjatu w Ariccia), żeby zbudować imponujący nowy dom generalny w Rzymie, oczywiście na Monte Mario, bo zakon, który chce „to keep up with the religious Joneses“ powinien, ba! musi mieć dom generalny właśnie w tym modnym punkcie. A wśród zakonnic moda bywa czasem jeszcze bardziej bezwzględna, niż wśród ich siostr laickich, żyjących „in saeculo“...

WYCHOWANIE KLERU

Od 12 do 17 listopada dyskutowano nad sprawami kultury, wykształcenia i formowania kleru w seminariach. Niejedną wypowiedź warto by było powtórzyć. Padły wtedy głębokie uwagi przeciw jednostronnemu opieraniu formacji kleru na teologii i filozofii tomistycznej i w ogóle scholastycznej. Albowiem — jak wyraził się m. in. kardynał Léger — ludzie tak informowani mogą prowadzić dialog ze średniowieczem, ale nie ze światem dzisiejszym. Od 17 do 19 omawiano sprawę wychowania chrześcijańskiego, a 19 i 20 votum o małżeństwie, którego tekst wraz z poprawkami przesłano papieżowi z prośbą o szybkie wcielenie w praktykę Kościoła.

ZAKOŃCZENIE SESJI

W dniu 21 listopada odbyła się kongregacja publiczna, na której uchwalono, przyjęto ostatecznie i proklamowano konstytucję o Kościele, dekret o ekumenizmie: dwa teksty wielkiej wagi, o znaczeniu przełomowym i pozostawiający niejedno do życzenia dekret o katolickich Kościołach wschodnich, który jeszcze w tym uroczystym ostatnim głosowaniu, w obecności Pawła VI, spotkał się z dość licznym sprzeciwem głosów „non placet“.

Jak wiadomo, deklaracje o wolności religijnej oraz o Żydach i wyznawcach innych religii przesunięto na sesję IV. Na pewno sposób, w jaki zawiadomiono o tym ojców oraz rola kard. Tisserant tu odegrana, nie mogły wzbudzić zachwyty. Lecż i druga strona nie zachowała się z godnością. Duża część zwo-

lenników ogłoszenia tych deklaracji — może to rzecz zrozumiała ze względu na okoliczności, stworzone przez prezydium soboru, choć nie przez moderatorów — dała się ponieść demagogii. Uległ jej nawet tak zasłużony i inteligentny ojciec, jak biskup Brugii, de Smedt, który jako relator deklaracji „na ambonie” zachował się — co tu owijać w bawełnę — teatralnie, po aktorów używał dramatycznego pauzowania, zmiany głosu, przesadnych akcentów. W ówczesnym nastroju część prasy i część ojców potraktowała sprawę nieuchwalenia tych deklaracji jak kłeskę całej sesji, a nawet całego soboru. Tymczasem sam biskup de Smedt przy innej okazji przyznał (mówili to też teologowie nawet bardzo radykalni), że nie zdarzyło się jeszcze, aby jakiś tekst, odesłany do poprawek, nie skorzastał na tym. Po co więc było robić taki dramat?

„ODWAGA” BISKUPÓW NIEMIECKICH

Mówiono i pisano wówczas, że biskupi niemieccy wzywali inne episkopaty do buntu na auli soborowej przeciw decyzji papieskiej: papież bowiem widziany chęcią, by tak ważna sprawa spotkała się z jednomyślnością, odmówił interwencji na rzecz zwolenników ogłoszenia deklaracji podczas III sesji, lecz przyrzekł za to, że IV sesja rozpocznie się od przedyskutowania i uchwalenia obu tekstów. Okazuje się, że biskupów niemieckich stać na wzywaniu. Inicjatywa właśnie ze strony biskupów niemieckich do czegoś w rodzaju buntu na auli soborowej przeciw interwencji papieża budzić musiała w niejednym człowieku niewesołe myśli. Boć od razu kontrastowała się ta łatwa „odwaga” względem nieśmiałości, pokornego, dobrego człowieka, który nikomu nie tylko nie zrobi, ale nawet nie powie nic „złego”, z uległym, posłusznym, całkowitym milczeniem niemieckich biskupów przez tyle lat na widok wszystkich potworności własnego rządu. W czasie wojny tylko biskup von Gallen podniósł głos w sprawie uśmiercania nieuleczalnie chorych i obłąkanych... Niemców. Ale i on milczał wobec zbrodni bezprzykładnych, spełnianych przez Niemców na innych, także wobec eksterminacji Żydów. Kilka miesięcy temu Ojciec Leiber T. J. przypomniał, że ewentualną interwencję Piusa XII w tej sprawie storpedowali biskupi niemieccy, którzy, że z goryczą napiszę, w czasach hitlerowskich woleli praktycznie wyznawać zasadę, iż bardziej niż Boga trzeba słuchać ludzi.

OWOC SOBORU

Jeden z najbardziej dziś znanych teologów, Ojciec Edward Schillebeeck

O. P., mówiąc o III sesji, jako jeden z głównych jej owoców — jak też całego soboru — uznał rzecz następującą: Oto sobór uswiadomił sobie, iż chrześcijaństwo nie jest ideologią, czy wypracowaną doktryną, ale wydarzeniem, w którym dokonywa się historia Zbawienia. To samo wielu teologów mówiło i pisało 20 lat temu bez soboru, kiedy to rozlewała się pierwsza większa fala tak zwanej „nowej teologii”. A jednak to nieprawda; to błąd. Z całą pewnością chrześcijaństwo nie jest ideologią, ani gotową doktryną; nie jest także — jak można dodać — kodeksem właściwego postępowania, zespołem środków i przepisów „dobrego” życia (choć w pewien sposób jest i tym wszystkim). Ale też nie można o nim powiedzieć, że jest wydarzeniem. Bo gdyby było wydarzeniem, wtedy jak wszelkie inne wydarzenia, nawet takie, których skutki niektóre trwają jeszcze po dziś dzień (np. rozpad republiki rzymskiej i wyłonienie się pryncypatu z Cezarem i Oktawianem, a stopniowo cesarstwa), byłoby tylko tyłu i tyłu stronami w podręczniku historii starożytnej.

Natomiast chrześcijaństwo jest zespołem pewnych specyficznych wydarzeń, pewnych faktów — jeśli mamy na myśli głównie chęć podkreślenia, oderwanych spekulacji, jest ono olbrzymim procesem ciągłego historycznego stawania się, ruchem, dążnością, życiem. Lecz te fakty i wydarzenia również nie wyczerpują istoty chrześcijaństwa dlatego tylko, że się — jak wierzymy — rzeczywiście zdarzyły. Gdyby wartość ich wyczerpywała się w fakcie ich historycznego dokonania się — wtedy i wtedy tam i tam — wówczas czymże by się różniły od innych wydarzeń sobie współczesnych, wcześniejszych czy późniejszych? Jeśli jednak te fakty będąc historycznymi wydarzeniami, różnią się od wszelkich innych wydarzeń historycznych; jeśli chrześcijaństwo jest zespołem tych wydarzeń i jeśli w tym zespole dokonywa się proces zbawienia, to dlatego tylko, że te wydarzenia łączą się z Osobą Chrystusa. Osoba Chrystusa sprawia, że stawia się raz, dzieją się zawsze. Przeto nie Wydarzenie ani Zespół wydarzeń, ale przede wszystkim Chrystus Pan jest istotą chrześcijaństwa. I to przyleganie znów we wszystkim do Jego nieskończonej żywej Osoby; ta próba odczytania wszystkiego: czym chrześcijaństwo, Kościół, świat, życie człowieka w jego wszelkich powiązaniach ma być: w Osobie Chrystusa, stanowi o dynamizmie chrześcijaństwa, o jego egzystencjalnej autentyczności i konkretności, jest jedynym warunkiem odnowy, a tym samym stanowi najważniejszy owoc soboru.

Jan Tokarski

GŁOS

POLSKIEJ FILOZOFKI

W skomplikowanym życiu współczesnym zakusy na wolność człowieka grożą ze wszech stron. Nie tylko w dziedzinie społecznego działania, ale i w zakresie myśli filozoficznej. Tak kwitnąca do niedawna szkoła filozoficzna, zwana analityczną lub lingwistyczną, wręcz zamykała myśl ludzką w kraty słów czy form językowych. Po takim oddzieleniu umysłu ludzkiego od rzeczywistości, pozostało tylko milczenie, jako wyraz najwyższej mądrości, w zakresie poznania. Do takiego wniosku doszedł jej najwybitniejszy przedstawiciel Ludwig Wittgenstein (1889-1951).

Nie mniej nie brak umysłów, które umięę podporządkować sobie te ograniczenia i czynią te kraty słowne przezroczytymi, aby spoza nich uchwycić coś z rzeczywistości. Do nich należy Anna-Teresa Tymieniecka-Houthakkerowa, profesor filozofii w Radcliffe Institute of Independent Studies w Cambridge, Mass. (U.S.A.). Świadczy o tym jej książka pt. „Fenomenologia i nauka we współczesnej myśli europejskiej”*. Osiadła ona przed kilku laty w Stanach Zjednoczonych i z punktu stała się ambasadorką jednego z głównych współczesnych kierunków filozofii europejskiej, jakim jest fenomenologia. A zwłaszcza najmocniejszego jego odgałęzienia reprezentowanego w Niemczech, Szwajcarii i... w Polsce przez Romana Ingardena, mistrza Tymienieckiej.

Fenomenologia jest metodą analityczną i postawą filozoficzną, która broniąc się sama przed założeniami metafizycznymi, tropi jej pierwiastki w niemal każdym współczesnym kierunku filozoficznym, jak i w każdej dziedzinie badań naukowych. Aby tytuł książki nie zmylił czytelnika, należy od razu powiedzieć, że autorka w tej książce ogranicza się do rozpatrywania nauk humanistycznych, nie wnikając w nauki przyrodnicze, które zwykło się określać anglosaskim terminem „Science”. Z innych postaw filozoficznych uwzględnia szczególnie tzw. egzystencjalizm w różnych jego odmianach: niemieckiej czyli centralno-europejskiej (M. Heideggera i K. Jaspersa) i francuskiej (J. P. Sartre'a i M. Merleau-Ponty) (1908-1961).

* Anna-Teresa Tymieniecka „Phenomenology and Science in Contemporary European Thought” with a foreword by I. M. Bocheński. New York, The Noonday Press, 1962 and Toronto, Ambassador Books Ltd., pp. XXII + 198.

I w tym zwięzonym zakresie książka polskiej autorki jest szczególnie pożyteczna, gdyż wprowadza w świat naogół hermetycznie zamknięty dla umysłów ukształconych na metodach opartych o nowoczesną analizę logiczną, do których wypracowania polska szkoła filozoficzna wydatnie się przyczyniła. Jak uczciwy makler, autorka stara się przedstawić omawiane osiągnięcia w ich istotnej wartości myślowej. Jest to tym trudniejsze, że w tym celu trzeba przebić się przez gęstwinę barokowej terminologii, dotychczas bodaj przez polskie słownictwo filozoficzne nie przyswojonej i wytyczyć niejako perspektywiczne aleje, otwierające nowe horyzonty.

Praca Tymienieckiej rozwija nie tylko aktywistyczną postawę filozoficzną, w której podnosi się czynny udział umysłu ludzkiego w kształtowaniu obrazu rzeczywistości, ale również odkrywa twórcze pierwiastki istniejące w każdym rzetelnym i głębokim badaniu naukowym. Urzędowe czyli akademickie metody uważa tylko za jeden z wariantów takiego badania. O. Bocheński, choć sam nie fenomenolog, ale analityk o podłożu tomistycznym. Podnosi to we wstępie do książki, pisząc: „Uszy mam pełne warkotu tej potężnej wiertaczki, jaką jest współczesna logika matematyczna, ale sądzę, że nie mamy prawa być bigotami i dogmatykami w sprawie nauki...”. A dalej: „...z powodu niewiarygodnej złożoności przyrody i ludzkiej wiedzy... wszelki prosty schemat, który sprowadza rzeczywistość lub nasze sposoby poznawania jej, do jednej zasady lub metody, musi być a priori fałszywy. Z tego nie wynika, że każde inne podejście różne od naszego jest poprawne. Ale może nim być. I aby poznać czy jest poprawne, trzeba je znać. Istnieje tylko jeden sposób rozstrzygnięcia naukowego, a zaczyna się on od poważnej próby zrozumienia, o co chodzi...” (Str. XI, przekład J. O.).

Waga książki Tymienieckiej polega m. in. na tym, iż przesuwając nieco główne zainteresowanie z poznania natury, na poznanie tego, co się składa na ludzką kulturę. Wskazuje na fakt, że poza dziedziną tzw. nauk ścisłych istnieje obszerne pole badań również, choć odmiennie „naukowych”. Otwiera ono szerokie perspektywy na poznanie świata, w którym człowiek żyje i którego jest on ośrodkiem. Aktywnej postawie człowieka i jego czynom przypisuje się coraz większe znaczenie i poświęca coraz więcej uwagi. Ale w zestawieniu z tą postawą podzielaną przez fenomenologów, pozytywistycznie nastrojony wykład głośny w Anglii i poza nią prof. A. J. Ayera, pt. „Człowiek jako przedmiot badania nau-

kowego” wydaje się nie tylko oschły, ale i filozoficznie przebrzmiały.

Tymieniecka prace swe ogłasza ostatnio niemal wyłącznie w językach obcych. Przejście od francuskiego do angielskiego przydało jej stylowi więcej przejrzystej prostoty, mimo, że uporać się musiała przy tym z tematyką bardziej zawiłą i ciemną materią filozoficzną. W jej pracy twórczej należy również podkreślić atakowanie zagadnień zasadniczych i o wielkiej abstrakcyjności. W tym przejawia nie tylko dużą odwagę myślową, ale również i moc nie na miarę tradycyjnych pojęć o umysłowości kobiecej.

Jan Ostrowski

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom XCIX

Wincenty Witos

MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S.W.11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

Wzmocnijcie nerwy i oczyszczajcie
krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem
i wzmoczoną wydajnością w
pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów
zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Czytaj polską książkę

W MIEJSCOWOŚCI Bled w Jugosławii — ta prowincja czy ziemia Federacji Jugosłowiańskiej zowie się Słowenią a jej stolicą jest Ljubliana — odbył się na początku lipca br. XXXIII kongres międzynarodowej organizacji zwanej PEN CLUBEM. Organizacja ta powstała po pierwszej wojnie głównie z inicjatywy angielskiej, przy czym pisarze tej miary co John Galsworthy i H. G. Wells byli najgorętszymi jej orędownikami. Organizacja ta narodziła się w atmosferze wielkich nadziei na międzynarodową współpracę autorów z całego świata, ale ograniczała się zrazu do „rasy białej”. Dopiero ostatnio PEN Club zaczyna skupiać coraz więcej pisarzy Azji i Afryki, w czym naśladuje czy idzie w ślady ONZ.

PEN — znaczy po angielsku „pióro” i jest dobrym zawołaniem dla międzynarodowej organizacji pisarzy. Ale w rzeczywistości PEN — to literowy skrót angielski trzech słów: *playwrights* — dramaturdzy — *essayists* — autorzy piszący eseje czyli eseści — oraz *novelists*, a zatem powieściopisarze.

Zjazdy doroczne PEN Clubów, rozsianych po całym świecie odbywają się w coraz to innym kraju. W latach ostatnich doroczne zjazdy PEN CLUBu odbyły się w Oslo i w Tokio, w tym roku w Bled, w r. 1966 w Nowym Jorku. W tym roku w zjeździe w Bled brali udział delegaci krajów spoza żelaznej kurtyny — PEN Club polski należał do jednych z najwcześniejszych ukonstytuowanych, obecnie po wojnie kieruje jego losami w Warszawie Jan Parandowski i Michał Rusinek — jak również po raz pierwszy obserwatorzy ze Związku Sowieckiego. W Moskwie nie ma jeszcze sowieckiego ośrodka PEN’u.

Na każdy kongres PEN Clubu ustala się pewne tematy, które są przedmiotem dyskusji ogólnej. Na kongresie w Oslo np. omawiano problem semantyki i znaczenia słów, w tym roku w Bled mówiono o roli pisarza w nowoczesnym społeczeństwie. Postawiono szereg pytań, które były przedmiotem debat przy okrągłym stole: metodę takiego *table ronde* czy *round table* przyjęto dopiero w tym roku; a zatem obok narad*plenarnych równocześnie i równoległe odbywają się dyskusje nad poszczególnymi tematami jakie przedstawiono Kongresowi. Czy rola pisarza w spo-

ROLA PISARZA W SPOŁECZEŃSTWIE

leczeństwie dzisiejszym wzrosła czy zmalała w zestawieniu z latami ubiegłymi? Jak pisarz powinien patrzeć na swoją rolę w społeczeństwie? Czy może się on oderwać od wypadków, czy może przejść w stan całkowitego odosobnienia? Te i podobne pytania rzucano w tym roku na zjeździe Bled a wszystkie one godne są zastanowienia.

Pierwsze pytanie wydaje mi się najważniejsze: a zatem czy pisarz dzisiejszy ma większe wpływy w społeczeństwie niż dawniej, czy też rola jego została zredukowana? Czy jest on dzisiaj równie wpływowy jak kiedyś? A jeżeli nie jest już tak wpływowym jak lat temu 100 czy 50, to dlaczego? Jakie są przyczyny spadku wpływów literatury? Czy chodzi tu tylko o wpływ konkurencji takiej jak tzw. *mass media*, środki masowego oddziaływania czyli radio, prasa czy telewizja? Czy jest to tylko winą innego nastawienia naszych czasów, na tle coraz to bardziej rosnących wpływów techniki i nauki, wypierania wiedzy humanistycznej, wypierania zaciekawień sztuką? Jak wytłumaczyć to cofanie się wpływów literatury?

SPADEK WPŁYWU LITERATURY

Wydaje się faktem niezbitym, że wpływy literatury — a zatem i roli pisarza — spadają. Jeżeli bowiem przypomnimy sobie jak olbrzymie były te wpływy w dobie np. encyklopedystów, Diderota, Voltaire'a i potem aż bodaj do 1914 r. czyli do czasu pierwszej wojny światowej, to dojdziemy do wniosku, że istotnie, potęga słowa wyraźnie spadła. Francja w dużej mierze była ośrodkiem tej potęgi literatury i działała przez pisarzy takich jak Voltaire czy Rousseau. Potęga słowa i literatury — to jednak także i epoka Marksa. To także i epoka Nietzschego. I rozkwit wielkiej powieści a zatem i Dumas i Balzac i Flaubert a potem Zola i jego walka o Dreyfussa — jego słynne, historyczne „J'accuse“. Rola Francji w tych przewagach pióra jest na pewno olbrzymia, ale nie zapominajmy o wielkiej famie Dickensa i rozgłosie powieści angiel-

skiej, o Carlyle'u, o pisarzach i filozofach typu Spencera, potem wpływach Bergsona, dalej o triumfach Freuda. Wszystko to dowodzi, że literatura — i powieść i essay i filozofia nie-akademickiego i bardziej „swobodnego“ typu jak Nietzschego właśnie — święciła triumfy aż po pierwszą wojnę. Przypomnijmy tu jeszcze teatr Ibsena i sukcesy powieści rosyjskiej — Tolstoja, Turgeniewa, Dostojewskiego, w Skandynawii w prozie wymienić należy nazwisko Knuta Hamsuna. Z Włoch w sukurs tym sukcesom przychodzi Gabriel D'Annunzio.

Możnaby tę epokę nazwać w dużej mierze epoką literatury: natomiast od r. 1914 ta potęga słowa wyraźnie słabnie — ostatni może jej masowy wydzźwięk to sukces na całym świecie Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian“. Kto wie czy nie był to łabędzi śpiew literatury jako środka masowego działania. Podobnie jak w teatrze przedstawienia pierwszych sztuk Brechta z „Operą za trzy grosze“ na czele. To były wielkie wstrząsy literatury i teatru, które już chyba nie zostały powtórzone — chociaż mamy do zanotowania potem jeszcze światowe powodzenie „Przeminęło z wiatrem“, a nie tak dawno powieści rosyjskiej Pasternaka „Dr. Żiwago“ — w o wiele mniejszym wymiarze „Il Gattopardo“ włoskiego Lampedusy.

Ale wielkie triumfy powieści kończą się: ferment stworzony takimi powieściami jak „Quo Vadis“ Sienkiewicza, jedyna dotychczas może rzecz polska o rozgłosie naprawdę międzynarodowym, już się nie powtarzają. Gorączka wywołana przedstawieniami Reinhardta także należy już do przeszłości. Literatura przestaje być tym ewenementem jak za czasów D'Annunzia, Zoli, a potem w dobie Mallarmé'go, Gide'a i Prousta. Gdzieś przez lata 20-te biegnie linia podziału, pozostawiając po jednej stronie erę kończącą się Kafką, Rilke'm i dołą powojenną — a po drugiej otwierając erę kiedy literatura, mimo wysiłków rozmaitych ruchów jak dada, expresjonizm i inne, starała się dobić na nowo znaczenia. Ale

eksperymenty znaczyły właściwie kres wpływów literatury: poza wielkimi próbami takimi jak „Ulysses“ Joyce'a, jak „W poszukiwaniu czasu utraconego“ Prousta, jak „Człowiek małego kalibru“ Roberta Musila. Wszelkie dziwactwa futurystów, imażynistów i innych nie przyniosły literaturze tej sławy i tej siły wpływów co dawne — o wiele prostsze — słowa i metody literatury.

Czym wytłumaczyć ten niewątpliwy spadek literatury? Czym wyjaśnić spadek wpływów pisarza? Dodajmy od razu, że autor uzyskał nowe stanowiska: a zatem przybyło krajów piszących — od Afryki Płd. aż po Islandię, skąd wyszła powieść Marty Ostensio „Krzyk dzikich gęsi“. Że na rynek wkroczyła Ameryka, która dzisiaj dostarcza najwięcej sukcesów światowych — od czasów Sinclaira Lewisa i Dreisera aż po Hemingway'a i Mailera czy Bellowsa.

ODMIENNOŚĆ RYTMU PODZIELONEJ EUROPY

Na pewno powiększył się teren — ale nie zmienia to zasadniczego faktu, a zatem upadku wpływów autora. Nie zmienia tej sytuacji także i to, że Europa wschodnia żyje innym rytmem aniżeli zachodnia: że pisarz liczy się tam dalej o wiele więcej, że jest nie tylko autorem, ale często nauczycielem, jest moralistą, jest nieraz czynnikiem politycznym. Tak stało się po wojnie w krajach Europy wschodniej — nastąpił powrót do okresu kiedy pisarz w dobie niewoli 19-wiecznej spełniał rolę jaka przypadała w udziale w szczęśliwszych społeczeństwach politykom, społecznikom. I dzisiaj autor w Rosji, poeta sowiecki zaczyna znowu zyskiwać na znaczeniu, jest on elementem wielkiej wagi w kształtowaniu się nowego oblicza społeczeństwa, wypowiada on to, co od lat nurtowało nieme społeczeństwo, nieme, czy oniemiałe na skutek wieloletniego terroru. Rola pisarzy polskich w tworzeniu się buntu październikowego była już nieraz przedmiotem analizy a „Poemat dla dorosłych“ Ważyka stanowił rodzaj punktu krystalizacyjnego tego odwrotu od narzuconych wzorów my-

ślenia, od całego naniesionego obciążenia doktrynerstwa, od wszystkiego co naród brzydziło, co było przez niego potajemnie odtrącanie. Literatura w Polsce podobnie jak i na Węgrzech w dobie powstania była zatem ogniskiem myśli — i działania. Była rachunkiem sumienia.

Mówiąc o literaturze europejskiej stale musimy mieć na uwadze tę właśnie podstawową różnicę: Europa wschodnia i Rosja nie żyją rytmem Zachodu w tej dziedzinie także. Mają swoje własne prawa, czytelność masowe w tych krajach stwarza o wiele lepsze możliwości działania dla literatury. Jeżeli jednak weźmiemy literaturę jako całość i jeżeli potraktujemy świat jako całość, to dojdziemy do wniosku, że mimo korzystnej dla literatury sytuacji na wschodzie Europy, ogólnie biorąc wpływ literatury na świecie spada.

MATERIALIZACJA MYŚLI I RAK PROPAGANDY

Na pewno jest to także wynikiem zmiany atmosfery: wiedza ścisła, technika, cały kierunek „terrestryzacji“ życia, jak to określili doskonale na długo przed wojną niedoceniony polski krytyk Paweł Hulka-Laskowski — a zatem „pryziemność“ celów ludzkich, sprawienie że cele ziemskie, nie-duchowe zyskały dzisiaj supremację — to wszystko odgrywa na pewno swoją rolę. Walka o coraz to wyższy *standard of life*, o wyższą stopę życiową, materializacja, jaka dokonała się w naszych społeczeństwach pod wpływem zarówno marksizmu jak i kapitalizmu — które tutaj są w pełnej zgodzie — to niewątpliwie jest prawdą. Literatura, sztuka, wszystko to co należy do sfery ducha, spadło w cenie. Jest to truizm i nie trzeba nawet zbytnio się wysilać, ażeby tę tezę udowodnić.

Nie wszędzie jeszcze postępy tej materializacji są tak znaczne: a więc w Europie widzimy, że Francja dalej jeszcze ceni sobie wysoko literaturę, dalej jeszcze potrafi się tam „przyżywać“ pisarzy, dalej jeszcze książka może być wydarzeniem dnia. Na pewno narody łacińskie mniej poddały się działaniu *mass media* aniżeli germańskie. Południe mniej aniżeli Północ Europy. Ale gra w tym wszystkim rolę także i chyba inny czynnik, który należy uwypuklić. O tym czynniku nie pisze się tyle ileby należało.

Zapominamy może zbyt często, że od r. 1917, a zatem od czasów rewolucji bolszewickiej wkroczyła na widownię propagandę, że po Rosji przejęła jej hasła i jej użyteczność Trzecia Rzesza a przedtem jeszcze Włochy faszystowskie. Powstała nowa gałąź wiedzy — czy nowa gałąź literatury. Propaganda święciła niebywale triumfy w trzech państwach totalnych, największe jednak w Rosji i Niemczech. Dzisiaj leży ona w ruinie, albowiem Trzecia Rzesza zapadła się w nicłość, Włochy Mussoliniego zostały przekreślone — istnieje tylko Rosja i jej satelici i Chiny i ich satelici jako wyznawcy propagandy. Ale w samej Rosji propaganda uległa wpływowi tzw. *law of diminishing returns*, a zatem prawu coraz to malejących zysków na skutek nadmiernego akcentowania ciągle tego samego motywu. Propaganda w rasie białej przeżyła się. Męczy ludzi. Drażni. Jej era sukcesów jest już daleko poza nami. Będzie się wyżywać jeszcze w Azji i Afryce.

Zanim jednak propaganda wśród rasy białej poniosła klęskę, wyrządziła ona olbrzymie szkody. Dokonała bowiem nie tylko znieprawienia języka. Nie tylko wypaczyła słowo. Sprawiała, że słowa przestały znaczyć to co znaczyć powinny. Dawniej wiedzieliśmy co znaczy dane słowo*) — po przejściu wichury propagandy wszystkie słowa zostały właściwie wypaczone. Jeżeli wytracenie Żydów nosiło niewinne miano *Endlösung* czyli ostatecznego rozwiązania, jeżeli nad wejściem do komór gazowych widniał napis „Tusze“ (Brause), jeżeli w okresie głodu na Ukrainie gazety sowieckie pisały w Kijowie, że sytuacja jest doskonała a Arthur Koestler opowiada, że będąc wtedy w Rosji nie można się było domyślić z lektury gazet i słuchania radia co się dzieje — to na pewno w tych przejawach dochodzimy niewątpliwie do samego dna poniżenia słowa, przeinaczenia go, wypaczenia jego sensu. Rosjanie prześcigali się z Niemcami w tworzeniu tych sztucznych fasad, tych, jeśli powiedzieć tak można, wsi potemkinowskich w dziedzinie pojęć i słowa.

To przeinaczenie słowa sprawiło, że przestano wierzyć w jego sens i znaczenie. Słowo zdewaluowało się na

*) Takie jak wolność, demokracja itd.

skutek niebywale inflacji słów w maszynie propagandowej państw totalnych. Nic dziwnego, że po wojnie poczęły się rodzić próby takie jak tzw. anty-powieści, w której słowo sprowadzono do najbardziej skromnej roli opisywacza samych faktów, gdzie powieść przypominała jakieś wskazówki dla teatralnego inspicjenta. Nie można się także dziwić, że powstał tzw. teatr absurdu, w którym mówi się językiem pozornie normalnym, ale który nic nie znaczy, albowiem kryje w sobie drugie znaczenia, jest to słowo o podwójnym niejako dnie. Całe to pozornie proste i jasne słownictwo jest, jakże często, słownictwem wariatów, a pojawianie się wariata, czy człowieka niespełna zmysłów, jest ulubionym chwyttem teatru absurdu jak w ogóle nowoczesnego teatru i filmu: człowiek bowiem gubi się i wariuje w świecie, w którym słowo nic nie znaczy.

To jest jedna strona działania maszyny totalnej, maszyny propagandy. Ale na tym nie kończy się rola państwa jako znieprawiacza mowy, jako tego, który odebrał słowu jego godność i sens. Idzie się dalej: albowiem państwo uzurpuje sobie prawo do tzw. *fiction*, do fantazji, do wymysłów wyobraźni. Państwo staje się największym opowiadaczem bajek, największym bajaczem, który opowiada bajeczki swojemu społeczeństwu. Jest ono zatem twórcą nowej *fiction*, jest powieściopisarzem dla mas, który wprowadza słuchacza w nowy i nieznan świat zmyślenia, imaginacji.

I jakże konkurencję z tego rodzaju potęgą może wytrzymać pisarz współczesny? Czy może prześcignąć państwo jako twórca *fiction*? Jako gawędziarz? Jako ten co operuje twórcami wyobraźni? Na pewno nie. I dlatego dopiero dzisiaj wraca on do swojej roli w takim kraju jak Rosja, kiedy już maszyna propagandy przestała przynosić odpowiednie „dywidendy“.

Państwo totalne zburzyło zatem cały stosunek pisarza do społeczeństwa, wdało się w ten dialog prowadzony od wieków, uzurpowało sobie rolę super-jednostki z wyobraźnią, starało się zwieść na manowce miliony swoimi obietnicami, swoimi opowiadkami. Dzisiaj trzeba mozołnie odbudowywać ten stosunek.

I tu nawiązujemy do innego pytania jakie przyswiecało naradom Kongresu PEN-u w Bled. Czy pisarz może tworzyć w osamotnieniu, czy też

raczej musi lub powinien nawiązać kontakt z otoczeniem? Czy pisze dla siebie, dla szuflady czy dla przyszłości, czy pisze dla teraz, do otoczenia, dla uzyskania echa?

Wydaje się, że jeżeli pisarz jest szczery z sobą samym, to nawet jeżeli chciałby pisać dla siebie, nawet jeżeli pisze na pustyni, to przed sobą, przed „oczyrnia swoją duszę“ ma zawsze obraz idealnego czytelnika, który odbierze kiedyś jego orędzie, zrozumie to co pisarz chciał powiedzieć. Czyli dla pisarza rzeczą konieczną jest komunikacja, porozumienie, komunikatywność. Musi być rozumiany. Chce być rozumiany. Chce być słuchany. Chce budzić echo. Albowiem autor, to *auctor* od słowa *agere*, działać — a poezja w języku greckim znaczy także „działanie“. Literatura jest po prostu innym sposobem działania na ludzi, jest ożywiona wolą działania, zmienia człowieka: aż do takich górnych zapowiedzi jak Słowackiego „aż was zjadaczy chleba w aniołów przerobi...“

Pisarz płynący zrazu pod żaglem wyrażenia siebie (self-expression) samego musi się zrealizować czyli przejść do fazy tzw. self-realization, przez nawiązanie kontaktu z czytelnikami, przez znalezienie echa. Wtedy dopiero wypełnia się jego rola, jego pragnienie.

PISARZ MUSI SZANOWAĆ SWE RZEMIOSŁO

A zatem pisarz, chociażby nawet żyjący na odludziu, w „wieży z kości słoniowej“, ulega stale pokusom zejścia z niej, wyjścia w świat. Jego rola to działanie, to wpływanie na ludzi, to kształtowanie ich wyobraźni na własną modłę, to przemawianie do ich fantazji. I dzisiaj rola ta nie uległa zmianie. Pisarz musi być w społeczeństwie, żyć w nim, przemawiać do ludzi.

Stało się to jeszcze większą koniecznością na tle katastrofy słowa, które zostało sprostytuowane przez propagandę totalną, które musi być odbudowane *in capite et in membris*, we wszystkich swoich członkach i elementach. Pisarz musi zdobyć na nowo zaufanie dla tego co pisze, szacunek dla swojego rzemiosła. Ta odbudowa potrwa wiele, wiele lat, albowiem spustoszenia dokonane przez państwo

totalne, tego kłamiwego poetę, który oszukiwał swoim „fiction“, swoimi powieściami i *short stories*, były olbrzymie.

Wielka era literatury nie wróci już zapewne. Nie widać bowiem odnowienia się czy powstania warunków, któreby służyły literaturze i teatrowi i sprawiły, że książka i teatr stałyby się na nowo wydarzeniem, przeżyciem. Ale literatura może uzyskać sobie prawa rzetelnego i prawdziwego rzemiosła, prawa nie wyjątkowe — jak kiedyś — ale zwykle prawa jako ta dziedzina życia ludzkiego, która stanowi wytchnienie z gniotącego materializmu dnia, która otwiera przed nami perspektywy myśli, odprężenia, medytacji. Nie może ona spełniać roli takiej jak dawniej. Ot, weźmy rolę powieści: w kilku dziedzinach literatura była ongiś przewodnikiem po polach, które nie były dostępne dla przeciętnego śmiertelnika. Tzw. wyższe sfery istniały, istniały pałace i zamki. Pisarz ery Stendhala czy Romain Rollanda mógł opisywać te sprawy — dzisiaj sfery te nie istnieją już. Pisarz nie pokazuje zatem tzw. wyższych sfer towarzyskich. Jego rolę przejął może film, wywołujący jakieś wytworne widmo przeszłości. Podobnie jeżeli chodzi o zjawisko wojny: było ono do r. 1914 zjawiskiem dla „wybranych“, wojna szła bocznymi szlakami, nie trawiała państw i społeczeństw. Po drugiej wojnie zjawisko wojny się upowszechniło. Dawniej Tolstoj wprowadzał swoich oczarowanych czytelników w mało znane tajniki „Wojny i Pokoju“, — ale już Remarque mówił o przeżyciach znanych milionom. Dzisiaj pisanie o wojnie staje się „wywalaniem drzwi otwartych“ — nie trzeba nam już przewodnika — autora.

Pisarz zatem nie będzie już przewodnikiem po wielu dziedzinach dawniej hermetycznie dla tysięcy zamkniętych. Ale powinien pozostać przewodnikiem po świecie piękna, harmonijnego rozwoju człowieka, po zaulkach ludzkiej psyche, a także — rodzajem sumienia ludzkiego i wyrazem tego niepokoju, bez którego nie można mówić o żadnym postępie wewnątrz człowieka. Jest to niepokój, którego nie zaspokoi wyższa stopa życiowa, albowiem królestwo jego nie jest pewno z tego świata.

Zbigniew Grabowski

Wystawy międzynarodowe

GIACOMETTI

W „Tate Gallery“ pokazano wystawę prac sławnego rzeźbiarza, Alberto Giacometti'ego, Szwajcara z włoskiej części tego kraju. (Ticino lub Tessin).

Jeśli ktoś choć trochę zajmuje się sztuką, nie może nie wiedzieć o tym rzeźbiarzu. On jeden robi takie niesamowicie cienkie rzeźby. Przeważnie jest nimi rzeźba kobiety.

Znać jedną czy kilka rzeźb a zobaczyć ich zbiór, to nie to samo. Giacometti mnie dziwił, po oglądnięciu wystawy poznałem jego filozofię. Rzeźby są małe, nie większe niż wysokość dłoni, zaledwie kilka o wysokości ponad dwa metry, z metalu, przeważnie brązowe. Obrazy pozwalają dodatkowo zrozumieć artystę. Są to pokoje jednobarwne o tle stalowo-popielatym, a raczej ołowianym. W ich centrum człowiek wydłużony identycznie jak rzeźby; zaznaczony szkieletowo białą farbą. Czasem nie ma i człowieka, tylko kilka przedmiotów kreskami wydobytych z niebytu, stół, kilka paczek. Najbardziej smutny z tych obrazów to szary pokój, stół, a na nim zielone jabłko. W takim świecie jedynym człowiekiem jest sam artysta (nie widzimy go na obrazie, ale jest, bo go przecież namalował) i przedmioty martwe (stół) oraz jabłko, które jest symbolem życia drugiej klasy, roślinnego, a myślę, że i symbolem świata, przez swój kształt.

Samotny więc artysta, ze światem poza ludzkim. Świat jaki pokazuje nam Giacometti jest smutny, ale nie jest to smutek rozpacz. Czujemy, że artysta nie płacze nad sobą, że jest twardy, a od świata niewiele żąda poza unaniem prawa do własnej ascezy artysty, do głoszenia przez swe dzieła filozofii kruchości życia, wiecznego życia wszechświata, przy chwilowym, ograniczonym w czasie, istnieniu jednostek. Ta myśl filozoficzna poczucia się człowieka z kropli, a odejścia jak oddech, znajduje środkowy człon w rzeźbach Giacometti'ego. To zwięźlenie się postaci ludzkiej w nieomal linię, to, tak mi się przynajmniej zdaje, faza zaniku, etap między dziś a wiecznością. Wsysanie nas przez śmierć. Ten los jednostki chce zaznaczyć sztuka.

Giacometti jest przeciwnieństwem w rzeźbie figuratywnej, nieomal wszystkich rzeźbiarzy, od Egiptu począwszy, którzy dawali rzeźbionym postaciom nieśmiertelność jaką sztuka posiada. Rzeźby greckie wyrażają siłę i radość ciała. Rzeźbiarze wieków ostatnich też pokazywali nam ciała, na które patrząc mogliśmy myśleć o wszystkim, tylko nie o kruchości życia. Nawet kościotrupy tak popularne w średniowieczu, miały

siłę materii, były przez przeciwieństwo afirmacją życia.

Giacometti choć nie boi się śmierci, mówi nam o niej każdą niemal, rzeźbą. Jeszcze niedawno, powiedzmy 25 lat temu, Giacometti byłby oderwany od społeczeństwa dziś przylega, jak może mało kto inny, do epoki. Żyjemy w cieniu bomby atomowej, wodorowej i szeregu innych środków masowej zagłady. Może nawet nie bojąc się śmierci, niechętnie myślimy o tym, że możemy pozostać przy życiu z wypalonymi oczami, uszkodzeni promieniowaniem itp. Ten kto przewiduje (na szczęście są i tacy, którzy nie przewidując są w pełni zadowoleni) lęka się. Żyjemy w świecie przestraszonym, przygnębionym. Takiemu światu nie mogą wystarczać rzeźby Rodina ani tym mniej Maillola'a.

W Stanach Zjednoczonych zaznacza się, od kilku lat, wzmożony kult śmierci, szczególnie w literaturze. Podejście do tego zagadnienia jest raczej laickie, nie religijne. Zgon jest powodem smutku i początkiem zagadki. Wśród wielu pytań, na które nie szukaliśmy odpowiedzi, ze względu na ich drażliwość, wróciło zagadnienie śmierci. Giacometti odpowiada na poziomie naukowym, zanikanie tej formy do której się przyzwyczailiśmy, ciała.

Sztuka jest nieodłączna od filozofii, od sztuki a raczej naszej wiedzy o świecie jako zjawiska przyrodniczego, od stanu materialnego społeczeństwa itp. Tylko na tle ocenić można jakąś rzecz. Giacometti na tle prądów jakie przechodzą w tej chwili przez ludzkość, jest wielkim artystą. Wyraża, nie posługując się słowem, a więc w sposób domysłny, to co przeżywa świat. W tym jego wielkość.

Nie były by te uwagi pełne, gdyby nie wspomnieć o rzeczy zasadniczej, bez której nie istnieje rzeźbiarz, o świetle. Zajmuje rzeźba przestrzeń, i z tą przestrzenią musi się zjednoczyć przez światło. Rzeźby Giacometti'ego, mimo swej ascezy, swej małej powierzchni, pełne są światła. Przeważnie chropowata powierzchnia, daje różne odbicie światła w każdym miejscu. Części wygładzone intensywnie, świecą. Jeśli pod tym względem rozpatrzmy prace wielkiego artysty, to zostaniemy ukojeni. Światło wydobywa je z nicości, w którą chcą zapaść. Daje im nieśmiertelność dzieł sztuki.

Świat sztuki pełen jest szarlatanów, swą bezczelnością wysuwają się często, choć nie na długo, przed prawdziwych artystów. Ale brylant nawet wśród śmieci załśni, gdy padnie nań promień słońca. Giacometti długo czekał na uznanie, ma lat 64, ale należy mu się w pełni jako autentycznemu artyście.

Stefan Legeżyński

MAŁO któremu zjawisku społecznemu towarzyszy tak wielki chaos pojęciowy jak zjawisku „inteligencji“. W społeczeństwach zachodnich, zwłaszcza w anglosaskich, słowo „inteligencja“ w tym znaczeniu w jakim używa się go w języku polskim, rosyjskim lub nawet niemieckim, było czymś niemal egzotycznym. Wiedziano, że jest to zjawisko typowe dla Europy Środkowej i Wschodniej, że jest czymś pośrednim między fenomenem kulturowym i klasą społeczną, która monopolizuje w swym ręku jeśli nie władzę polityczną to na pewno wpływ decydujący na rozwój kulturalny ciesząc się jednocześnie szczególnymi przywilejami. Dziś wyobrażenia te uległy zmianie. Po pierwsze dlatego, że Zachód wie więcej o strukturze społecznej i o życiu swych sąsiadów mieszkających ku wschodowi. Po wtóre dlatego, że na Zachodzie, także w krajach anglosaskich, wytwarzać się zaczyna namiastka „inteligencji“ w postaci grupy planistów, menadżerów, technologów lub wszelkiego rodzaju specjalistów o podłożu intelektualnym, którzy nie mieszczą się w tradycyjnych ramach „stanu trzeciego“, czy klasy średniej. Lecz przynależność do tej grupy regulują zupełnie inne kryteria niż przynależność do „inteligencji“ w Europie Środkowej i Wschodniej. Uprzywilejowanie zaś, jeśli w ogóle istnieje, ogranicza się do poważania należnego prawdziwej wiedzy i fachowości. Nie łączy się natomiast z niczym co by można nazwać uprzywilejowaniem społecznym lub towarzyskim. I chociaż w każdym kraju europejskim, a więc i w zachodniej i we wschodniej części kontynentu, deklamuje się niekiedy o istnieniu „dwóch narodów w łonie jednego narodu“ to i pod tym względem co innego ma się na myśli w Anglii a co innego w Polsce. W Polsce bowiem, a także i w innych krajach środkowo-wschodniej Europy, linia podziału przebiega między grupą określaną jako „inteligencja“ a resztą społeczeństwa. Linia podziału nie ma nic wspólnego z zamożnością, coraz mniej ma wspólnego z pochodzeniem, ledwo dotyka spraw zawodowych a sprowadza się w gruncie do dziedziny obyczajowej. Inaczej się rozmawia, inaczej się traktuje tak zwanego inteligenta, a inaczej kogoś komu tej etykiety przylepić nie sposób.

PAWEŁ ZAREMBA

KRYTERIUM

Niejedno zmieniło się w tym względy także w Polsce, względnie niejedno się zmienia. Wartość przywileju towarzyskiego zmalała a monopol na mądrość zamienił się w monopol błyskotliwości w rozmowie, co na pewno nie jest jednym i tym samym. Lecz z drugiej strony przebudowa społeczeństwa pod dyktando panującej doktryny politycznej nie zdobyła się na żadne naprawdę radykalne pociągnięcia. Przeciwnie, w sposób doktrynalny podmurowano istnienie „inteligencji“, awansując ją do rangi oficjalnie uznawanej klasy społecznej. Nazwano ją „inteligencją pracującą“ w odróżnieniu od jakiejś innej „niepracującej“. Tym samym stworzono obraz nowej, dobrej, pozytywnej „inteligencji“ w przeciwstawieniu do tej dawnej, pasorzytniczej, „burżuazyjnej“.

Jest w tym sporo nieporozumień. Już połączenie pojęciowe „dawnej inteligencji“ z „burżuazją“ brzmi zabawnie. Bo inteligencja jako klasa powstawała tylko w tych społeczeństwach, gdzie „burżuazja“, ów „stan trzeci“ myśląc po francusku, lub „klasa średnia“ myśląc po angielsku, albo nie zdążyła w ogóle powstać albo też powstałszy tak była nieliczna i o tak małym wpływie na życie narodu, że jej istnieniem nie warto było sobie głowy zaprzątać. Gdyż w samym założeniu „burżuazja“ istnienie swoje opierała na samodzielnie wypracowanym dobrobycie, większym lub mniejszym, korzystnym lub niekorzystnym dla całokształtu gospodarki kraju, lecz zawsze i nieodmiennie opierającym się na konkretnej własności. Do „burżuazji“ można zaliczyć i bogatego przemysłowca i sklepikarza. Można z biedą zaliczyć lekarza z dużą praktyką prywatną lub adwokata z dochodową kancelarią. Nic jednak burżuazyjnego nie ma w urzędniku pocztowym, w nauczycielu szkoły średniej, w wikarym na wiejskiej parafii lub prowizorze w powiatowej aptece. Bo inteligencja jako klasa społeczna, ani nie dążyła ani nie posiadała samodzielności gospodarczej. Była i jest zależna materialnie. Od kogo? Przede wszystkim od państwa, obójtęnie jaki państwo posiada ustrój.

„INTELIGENCJI“

Im kraj był biedniejszy tym wyraźniejsze były warunki powstawania klasy inteligenckiej, w ogromnej swej większości urzędniczej. Kraje zamożne, kraje o mocnej strukturze gospodarczej inteligencji albo nie znały w ogóle, albo też ograniczały jej zasięg do tak zwanych wolnych zawodów.

Przynależność do wolnego zawodu wynikała przede wszystkim z wykształcenia. I trzeba było ukończyć określonego rodzaju studia by móc uprawiać wolny zawód. Wolne zawody mieścić się mogły na pograniczu burżuazji i inteligencji. Burżuazyjną była ich podstawa materialna, „inteligentkim“ było przygotowanie zawodowe. „Inteligentkim“ — to znaczy w rdzeniu pojęciowym — „intelektualnym“. „Intelektualista“ i „inteligent“ kiedyś, w którymś momencie, oznaczało to samo. Lecz pojęcia się rozeszły i to bardzo szybko. Pozostał tylko ślad podobieństwa w przeświadczeniu, że inteligentem zostaje się na podstawie świadectwa ukończenia szkoły średniej. Lub „równorzędnej“. Owe „świadectwo dojrzałości“ owa „matura“, dawała patent na inteligenta.

Nie było by w tym nic zdrożonego ani społecznie niebezpiecznego, gdyby słowo „inteligent“ oznaczało to tylko co miało oznaczać: wyższy od przeciętnego poziom umysłowy zdobyty w szkole i tym samym przydatność w wykonywaniu zawodu wymagającego większego wysiłku umysłowego niż wysiłek potrzebny przy wykonywaniu zawodu, w którym ważniejszą od gimnastyki umysłowej jest siła mięśni lub mechaniczna umiejętność rzemieślnicza. Lecz w Europie Środkowej i Wschodniej stało się inaczej. Powstała klasa inteligencka, klasa społeczna o ogromnych pretensjach i ambicjach, pozbawiona podstawy materialnej, która by pretensje te i ambicje pomogła realizować. Nie wszędzie tak się stało.

ZE SPOSTRZEŻEN

O POLSKIM

CHARAKTERZE NARODOWYM

Przykładem Czechy, przykładem także zabór pruski, poznańskie zwłaszcza, które doskonale sobie radziło bez klasowego zjawiska inteligencji, zadawałając się istnieniem fachowców. Fachowiec, nim fachowcem został, musiał zdobyć wykształcenie. Zdobyl je, stawał się fachowcem, lecz nie zapisywał się automatycznie do ogromnego klubu czy kasty społecznej, w której mieścić się musiał i profesor uniwersytetu i agronom, inżynier i nauczyciel, oficer i duchowny, literat i urzędnik przybijający stemple na kartkach meldunkowych, choć nie mieścił się w tym klubie jego własny brat jeśli nie chciał czy nie mógł zdobyć owej „matury“ i gospodarował spokojnie na pięciu morgach albo stawał przy tokarce.

Fachowość, z biegiem czasu nabrała innej barwy i rozeszła się z kryterium szkoły średniej czy wyższej. Co gorzej, szkoła średnia stała się w wielu wypadkach świątynią „wykształcenia ogólnego“. Powinno ono przygotowywać do zdobywania fachowości w szkole wyższej. Nie zawsze tak się działo. A w sensie społecznym „wykształcenie ogólne“ stało się paszportem do klasy inteligenckiej coraz mniej z konkretną fachowością mające wspólne.

Połączenie kryterium wykształcenia z kryterium zaszerogowania do klasy społecznej jest w wysokim stopniu niebezpieczne. Jego spetryfikowanie czy uświęcenie przez ustrój, który twierdzi że dąży do pełnego zrównania ludzi i do socjalizmu jest jeszcze niebezpieczniejszym paradoksem. Uświęca bowiem pretensje pozbawiając jednocześnie możliwości ich spełnienia. Pretensje czy ambicje wyzute z inicjatywy ich spełnienia stają się jałowymi.

Historycznie rzecz biorąc nie były jałowymi, względnie nie zawsze były jałowymi. Bo nie cały obraz zjawiska „inteligencji“ malowany jest czar-

nymi barwami. W Polsce rozrastanie się ilościowe klasy inteligenckiej było wyrazem upowszechniania się kultury. Było też jedynym sposobem zdobywania awansu społecznego i awansu intelektualnego dla mas chłopskich tak niedawno wydobytych z nocy pańszczyźnianej. Przy ubóstwie kraju, zwłaszcza w Galicji, było także sposobem zużytkowania ludzkiej nadwyżki produkcyjnej. Wreszcie, z narodowego punktu widzenia, klasa inteligencka nie dokonawszy zbyt wiele pod względem podźwignięcia gospodarczego kraju była z nielicznymi wyjątkami ostoją patriotyzmu, gotową do ofiarności i przede wszystkim w pełni świadomą celów narodowych. Propagowanie tych celów, bez względu na zabarwienie ideologiczno-polityczne, bez względu na przynależność do takiego czy innego stronnictwa, było naturalną ambicją i było obowiązkiem, z którego inteligencja polska wywiązała się dobrze.

Czy na tym stwierdzeniu zakończyć można analizę specyfiki polskiej inteligencji? Na pewno nie. Myśląc o niej nie sposób zapomnieć o tradycji szlacheckiej, która w jej łonie przetrwała. Myśląc o genezie polskiej inteligencji, niesposób zapomnieć o jej załączku w przedrozbiorowej warstwie szlachty-gołoty. Ważniejszym wydaje się inne zjawisko: fakt uznania za „inteligenta“, stał się dobrem oderwanym od rzeczywistości gospodarczej i intelektualnej. Zastąpił chęć dorobku i dążenie do postępu kulturalnego. Dążenie do postępu intelektualnego istniało dalej; przejawiali ją członkowie klasy inteligenckiej. Ale nie wszyscy. I co istotniejsze: przejawiali je nie tylko członkowie tej klasy. Niemniej pokusa zaliczania się do inteligencji stała się motorem działania społecznego, absorbującym zbyt wiele energii i pogłębiającym różnice klasowe. Jako produkt uboczny, powstawała tolerancja dyletantyzmu, rozgrzeszanie jałowości umysłowej i lekceważący stosunek do osiągnięć gospodarczych w imię kultu błyskotliwości i względnej oglądy towarzyskiej.

W tym położeniu nieuniknionym było powolne rozdzielanie się pojęcia „inteligent“ i pojęcia „intelektualista“. A także pojęcia „inteligent“ i pojęcia „fachowiec“.

NIE POŻYCZAJ... NUMERU „ORŁA“, RACZEJ PRZYŚLIJ ADRES ZNAJOMEGO (a my mu dostarczymy każdy numer)

STAŁ przed straganem i ważył w ręku pomarańcz. Była ciężka od soku, pod porowatą skórą przelewało się życie owocu, dojrzałe słońcem południa. Poczul szarpnięcie za poję marynarki. Mały, kilkuletni brudas trzącał go teraz w łokieć: „Niech pan tu nie kupuje, signore, najlepsze owoce są na straganie wdowy Marchese, tam — za rogiem“.

Z czeluści budy za straganem wybiegła kupcowa. Chłopak umknął jej karzącej ręki, odskoczył w bok na wróblích nóżkach i przystanął wyczekując.

— Wdowa Marchese? Cóż to za jedna? Przysyła cię abyś odciągał ludzi od tego straganu? Zbiją cię kiedyś za to i będą mieli rację...

— Wdowa Marchese ma lepsze owoce — powiedział chłopak. Ona ma dużo dzieci, które muszą jeść. A signora Falla wystawiła ładne na front, ale pakuje zgniłe.

Signora Falla nadciągała ku nim wymachując kolkiem, wyrwanym z dachu straganu. Chłopiec pokazał jej język i znów uskoczył parę kroków.

Poszedł za nim. „Czy wdowa Marchese płaci ci za to?“ spytał. Zauważył przejrzystą szarość oczu chłopca. Nie pasowały do ciemnej cery i czarnej, z amerykańską ostrzyżonej czupryny.

— Nie. Wdowa Marchese to moja matka. Piękna wdowa Marchese — dodał po chwili namysłu.

Była piękna. Stała przed swoim straganem rozłożysta i smukła zarazem, opalona na kolor miedzi. Włosy też miała miedziane, splątane, upięte w niedbały splot na wyniosłym karku. Uśmiechnęła się ku nim życzliwie, podsunęła na wyciągniętej dłoni brzoskwinie.

— Najlepsze we Florencji, signore — i tanie. Wspaniałe gatunek z sadów Fiesole, proszę popatrzeć — skóra jak na policzku dziecka.

Jak na policzku dziecka.

Anna-Maria wybiegła tego dnia na słońce. Wskoczyła za próg domu, wołała: „słońce, słońce przyszło“.

Za chwilę leżała na jezdni, rozpostarta jak czarno-czerwony gil w ciemnym, alpagowym fartuszk. Na wysokim siedzeniu ciężarówki szofer nawpół zwisając przez kierownicę patrzył na krwawą smużkę, sączącą się z pod maski samochodu i powtarzał

bez przerwy: „o Boże, o Boże mój, o Boże“.

Maria-Anna wybiegła przed dom. Świat wyekspłodował przed chwilą zgrzytem hamulców, a potem ściętnił się do jednego punktu na źrenicy — do tej niewielkiej, ciemnej plamy, nawpół osłoniętej przednim kołem samochodu. Świat wyekspłodował i zaraz zgasł, aby nie obudzić się więcej dla Marii-Anny. Świat przestał istnieć.

PAN tu na długo, signore? — spytała wdowa Marchese gdy następnego dnia powrócił do straganu za rogiem.

— Nie wiem — odpowiedział. Spojrzał na nią nieśmiało, wyczekując chłopca.

— Ten mały, pani synek... jak ma na imię? Ma piękne oczy.

— Washington — odpowiedziała wdowa Marchese. To ładne imię, prawda? Jego ojciec był sierżantem armii amerykańskiej.

— Pani ma dużo dzieci — powiedział i skurczył się wewnętrznie ze wstydu. Dzieci, dzieci, kobiety, zwyczajne życie.

Wdowa Marchese nie odpowiedziała. Zmrużyła oczy i przeciągnęła dłonią po karku. Spoglądał na nią czekając na coś co się musiało zaraz stać. Jakże była piękna ta rudowłosa Demeter, mimo ciężkich od rodzenia bioder, rozprutej spódnicy i spracowanych rąk. Siedziała na skrzynce od pomarańczy, swobodna i nieco senna, zmęczona upałem.

— Czego pan szuka tu, signore? Przecież nie owoców. Gdzieindziej mają lepsze. Ja też pakuję zgniłe, jak mi się uda. Trzeba żyć.

— Czego szukam? — powtórzył. — Nie wiem, ja — ja chciałbym wziąć na ręce pani synka Washingtona.

Wstała ze skrzynki i pochyliła się ku niemu przez stragan.

— Pan jest nieszczęśliwy, signore, pan pewnie stracił dziecko.

— Tak — odpowiedział — straciłem dziecko i —

— Cicho. Wdowa dotknęła jego ręki — za parę tygodni będzie lepiej, w pogodzie naszego miasta, za parę tygodni, signore. Trzeba żyć...

W parę tygodni po tamtym dniu, w którym na chmurne niebo wybiegło niespodziewanie słońce by zabić Annę-Marię — cisza w domu stała się naraz mniej przejmująca, a kroki na schodach budziły już tylko krótki

wstrząs nasłuchiwania. Coraz rzadziej wyrwał się ze snu, w którym przed tym słucał uparcie, czy Anna-Maria nie woła ze swego pokoju, trapiąca dziecięcymi zmorami. Tej pierwszej nocy pokory, uciszenia serca przeszedł próg sypialni Marii-Anny w nieprzewyciężonym pragnieniu bliskości drugiego ciała, któreby go ogrzać mogło z powrotem, otulić miękkością, spełnieniem i ciszą, któreby pomogło — tak, pomogło — to silne i nieugięte ciało kobiece w jego straszliwej, zagubionej bezdomności.

Kochali ją oboje — odbicie ich dwojga zmieszane w najczarowniejszym uśmiechu, w ciemnych zarysach jego brwi nad jej, Marii-Anny, niebieskimi oczami. Kochali ją upartą i szczerbiotliwą, zdrową i kokieterijną, małą kobietkę, dziecko ich tęsknoty i porozumienia. Które z nich kochało silniej to rozpostarte pod chłodnicą ciało, ten łachmanek bez życia w czerwonej sukience?

Czyż Marii-Annie nie było łatwiej? Nosila w sobie załączek tego cudu, który nazywał się poczęciem. Była kobietą, a więc była także instynktem, dążącym do naprawienia straty; do naprawienia straty, do wymazania w geście przyzwolenia twarzyczki ich umarłego dziecka i nałożenia na wspomnienie o niej innych zarysów rozśmianych ust i oczu otwartych znowu na życie, a nie na śmierć. Była to jego koncepcja kobiety, instynktowna i niewyrozumowana: odrodzicielka. Dlatego jego rozpacz, wczepiona w nurt ducha, a nie ciała była chyba rozpaczą cięższego gatunku niż rozpacz Marii-Anny. Prawda, że bał się o tym myśleć za wiele. Oboje przecież grzyli nocami zwinęte w kułak ręce,

WDOWA

MARCHESE

oboje wciąż odtwarzali na nowo niezawiniony moment ich zdrady, ich niedołętności. Mogli dopilnować, ustrzec, przewidzieć, kupić nową furtkę, zakazać, mogli, mogli, mogli.

Do świtu nieraz nad słuchiwał czy Maria-Anna nie płacze w swoim pokoju. Nie płakała. Z ich dawnej sypialni dochodziła cisza, cisza śmierci. A rano Maria-Anna wstawała z suchymi oczami.

Kazała mu odejść od siebie od razu. Ustąpiła mu legowisko w innym pokoju, spójrzała w oczy niebieskim spojrzeniem ich dziecka, a potem nieśmiało, być może nieświadomie przesunęła dłoń po jego rękę. Zrozumiał: chciała być sama ze swym obrazem i ze swym wyrzutem, dezercerowała go. Byli jednakowo w ten wieczór słabi i samotni.

Ale nocy minęło już wiele. Z nocykrzyków rodziły się noce-płaczki, a potem noce innej już, uciszszej jakby żalości. Aż w końcu, niespodziewana i nie przeczuta nadeszła noc, na której dnie zabrakło wszelkiej rozpaczki. Została tylko tkliwość i pamięć — pamięć, która zamiast palić i uderzać stała spokojnie w kącie pokoju, uśmiechała się doleczkami w policzkach Anne-Marie i mówiła jej głosem: „słońce, słońce wyszło“...

PROSZE się schować przed słońcem tu, pod płachtę straganu. Signore nie przyzwyczajony do takiego żaru. Tak, mam sześcioro dzieci...

Przyszedł tu po raz trzeci. Przysiadł jak mu kazała, na skrzynce od pomarańcz i słuchał odległego głosu dzwonów z campanili.

— To katedralne dzwony tak biją — powiedziała wdowa Marchese. —

Dzisiaj jest wielkie święto. Concetta niesie w procesji wstążkę od feretronu, Violetta będzie sypać kwiaty, a z rana Giuseppe służył do mszy. Szkoda, że nie ma dwojga najstarszych. Pracują w Fiesole przy winnicach.

— A mąż, czy umarł dawno? — spytał. Obejmował chude ramiona Waszyngtona, który się tulił do niego tak dobrze znanym mu gestem.

— O, dawno — westchnęła wdowa Marchese. Obciągnęła spódnicę na kolanach. Ciemny materiał opinał jej uda i łydki. W wyświechtanej, fałdowanej spódniczce podobna była rzeźbom, czy rysunkom na archaicznych wazach z watykańskiego muzeum. — Dawno — powtórzyła, pod koniec wojny. Nie chciał wyjechać do Niemiec na roboty. Umarł w więzieniu. I wie pan, signore, on umarł tego samego dnia co nasza mała. Proszę pomyśleć — to tak jakby nasza Angelina chciała mu drogę do nieba utorować — aniołek niewinny... Dziś miałaby dwadzieścia lat...

Spojrzał na Waszyngtona, bawiącego się jego Kodakiem.

— Pan się dziwi — spytała i uśmiech znikł z jej ust. Mam ich sześcioro, signore. Noce są u nas długie i gorące, nasze florenckie noce...

OWEJ pierwszej nocy bez rozpaczy podszedł do drzwi Marii-Anny. Oparł głowę o framugę i wsłuchał się w bicie własnego serca. Potem zawrócił na palcach aby nie spłoszyć tego co być może na nowo zamieszkało między nimi.

Nad zaimprovizowanym tapczanem wisiała reprodukcja młodziutkiej pre-rafaelickiej madonny. Odwrócona profilem patrzyła w przestrzeń oczami pełnymi miłości. Kupując niegdyś tę reprodukcję za czasów ich pierwszej florenckiej wyprawy powiedział wówczas do Marii-Anny: „patrz, jaka dziwna i jaka piękna jest ta Madonna. Madonna bez Bambino. Rzadko się zdarza, aby w tej epoce malarstwa znaleźć Madonnę bez Dzieciątka. Tu jednak — wskazał na uśmiech i oczy Madonny, malarz daje nam odczuć, że Bambino bawi się obok. A ona, młodziutka i czuła patrzy w Jego stronę uważnym spojrzeniem. Nie ma Bambino na obrazie, ale jest w oczach matki. Kupmy odbitkę tego cudownego czuwania...“

Kupili. Teraz wisiał nad jego głową, wciąż śledząc po przekątnej obrazu miejsce poza płótnem, gdzie bawił się jej syn.

Podszedł do obrazu. Serce spęczniało mu dawną, młodzieńczą miłością do tego symbolu wiary, który przez ból własnej utraty przynosił ukojenie innym. Dawna prosta wiara, którą wraz z Marią-Anną wnieśli niegdyś w swe wspólne życie odżyła w nim na nowo.

— Jesteście o tyle silniejsze od nas — powiedział do obrazu — wy, kobiety. To wy tworzyście ciało i uśmiech, krzyk i zabawę naszych dzieci. Czym my jesteśmy przy was — z naszym dumnym nasieniem, rzucanym nieraz byle jak, bezmyślnie, w pośpiechu. Wy umiecie czekać, tworzyć ciało: tłuściutkie rączki, które się wyciągają ku nam i długie rzęsy nad niewinnymi oczami — takie jak miała Anne-Marie, takie jak Anne-Marie... Odwrócił głowę od obrazu, bo znowu pamięć uderzyła go krótkim smagnięciem, ale to trwało tylko chwilę. Słowo stawało się ciałem w Madonnie i w Marii-Annie — jednakowo. Przez cud tworzenia ciała z własnego ciała były o tyle od niego silniejsze. Pociaszycielki, mądre jak ziemia i jak ziemia wieczne.

Wydało mu się, że florencka Madonna uśmiechnęła się głębiej na tle obrazu, dając milczące przyzwolenie na podjęcie życia na nowo.

ŻYCIE trzeba było zacząć na nowo, signore. U nas Kościół jest blisko i Pan Bóg. On wie co robi. Gdy mi odebrał Angelinę, kiedy Giacomo umarł w więzieniu na płuca — wydało mi się wtedy tak jak teraz panu, signore, że Bóg odwrócił się ode mnie, że może przeklął mnie i moich. Ale On wie co robi. On zawsze jest przy nas i w kościele...

Stado białych gołębi, spłoszonych uroczystym biciem dzwonów campanili, przeleciało rozłożone słońcem nad ich głowami.

— Jestem jak te gołębie — powiedziała wdowa Marchese — na boskiej opiece i jak te gołębie żyję z dnia na dzień pod dobrą opieką Madonny i Bambina. Opowiem panu, signore, jak to było. Pan ma oczy, podobne do oczu ojca Waszyngtona, a to był dobry człowiek. Widzi pan, signore, po wielkim nieszczęściu trzeba życie podejmować zaraz na nowo.

CHCIAŁ podjąć je zaraz, tej samej nocy. Zaczęła w nim narastać chęć odegrania się na życiu, pokazania, że jest od niego silniejszy. Bo czyż nie wszystko było jeszcze przed nimi? Nawet cień dziecka rozplaszczanego plamą krwi na asfalcie w jakiś przedziwny sposób wtopił mu się teraz w ich przyszłe życie nie tylko jako przestroga, lecz jak i doznanie, którego by już nie oddał za nic.

Ukląkł u łóżka śpiącej Marii-Anny, dotknął jej z nowo odnalezionym zachwytem. „Marie-Anne, powiedział, Marie-Anne, obudź się moja miła, już dosyć... wróćmy do siebie”. Obudziła się natychmiast, ale w oczach jej było ciemne przerażenie. Wyciągnął rękę ku jej włosom, chciał się otulić w jej ciało, jak w ciepło matki, chciał ją zagarnąć ku sobie, stęskniony wędrowiec, który nareszcie powrócił.

„Nie“ powiedziała Maria-Anna „Nie“.

Nie rozumiał. Zaczął tłumaczyć coś gorączkowo o wyczekiwaniu i tęsknocie i o tym, że wszystko mija. I o tym, że życie jest bardzo ważne.

„Nie“ powtórzyła Marie-Anne. Skurczyła się pod kołdrą, odsunęła do ściany, cień jej załamał się groteskowo, cień Marii-Anny wystrzelił pod sufit w skąpych świetle lampki i zawisł na nim, wydłużony jak szkielet.

— Nie będę więcej rodzić, rozumiesz. Nie chcę rodzić na śmierć... Na śmierć.

— Rodzi się na życie, Marie-Anne — powiedział.

— Żyła, była ufna, wybiegła ufna po śmierć, a ja jej nie ustrzegłam.

— Marie-Anne, powiedział łagodnie — zdarzyło się nam straszliwe nieszczęście, ale nie możemy w nim żyć na zawsze. Czy nie chcesz, czy nie czujesz potrzeby dotknięcia mnie, zgubienia się we mnie — zapomnienia? — Tak jak ja w tobie, dodał i opuścił głowę przed jej wzrokiem, w którym była pełna wstydka.

— A później — a kiedyś? — dodał nieśmiało... Czy nie chcesz, czy nie uczujesz potrzeby dotknięcia ciepłego ciała dziecka? Naszego dziecka? Czy nie należy się ono nam obojgu właśnie dlatego, że tak się stało? Marie-Anne, ja cię kocham.

— Ja też, ja także. I dlatego nie — już nigdy więcej. Dziecko. Spocne czołko. Ciepła kąpiel, a nie różowe ciało. Niespanie nocą, czuwanie,

karmienie, szycie batystowych koszulek, haftowanie niezapominajek na śliniaczkach — a potem — zerwała się z łóżka, oparła o ścianę, jakby broniąc się przed swoim własnym cieniem, który ogarniał ich teraz oboje. — A potem to moje ciało, to moje serce, bijące we mnie przez tyle miesięcy — martwe, kawał mięsa — nic, rozumiesz? Nic. Chwila. Ani krzyku nie wydała. Nic. — A była we mnie tak długo, była — mną.

— I ty to mówisz? — zapytał. — Ty, którą wychowały dobre siostry z Nazaretu, ty która kochasz Boga, która wierzysz? Przyszedłem do ciebie w pokorze, chciałem od ciebie pocieszenia. O Marie-Anne — przecież to ty trzymasz w swoim ciele wieczystą tajemnicę odnowy — boską tajemnicę.

Bóg? Kocham Go dalej. Może w akcie odebrania mi Anny-Marii chciał mi pokazać znikomość naszej ludzkiej miłości i całą nieważność naszych namiętności. O tym mnie także uczyły siostry. Może to one wiedziały lepiej? Były bliższe Niemu? Może Bóg chciał mi zadać próbę najwyższej miary, może chciał się przekonać czy potrafię Go potem kochać. Przekonał się. Kocham Go dalej. Przyjęłam w pokorze to na co mnie skazał. Nie grzeszę rozpaczą, już nie grzeszę. Spałam spokojnie nim przyszedłeś, śniła mi się Anna-Maria — tam na szosie. Kocham cię, ale nie będę rodziła na śmierć. W naszym zbliżeniu czai się tylko śmierć, rozumiesz — śmierć.

— Wszyscy umrzemy — powiedział. — Grzeszysz.

— Nie. Nie jesteśmy tylko ciałem. Pamiętasz nasze seminaria studenckie, nasze rozmowy o duszy? Czy pamiętasz legendę o Psyche? Często myślę o tej paraboli. Gdyby nie spojrziała miłości w twarz — ziemskiej miłości — nie byłaby potępiona...

— Psyche, — powtórzył i spojrzął na jej ukochaną twarz bielejącą ku niemu spod ściany. Psyche? Dopiero teraz zauważył kruchość jej kości pod delikatnym zarysem czaszki. Dopiero teraz zdziwił się, że ta liliowa, wątła, delikatna dziewczyna, która była jego żoną mogła w ogóle urodzić. W oczach jej czał się nieprześniony sen, który nie należał do codziennego rytmu życia — Psyche? powtórzył raz jeszcze.

Marie-Anne mówiła dalej.

— Wózek. Wózek na strychu. Byłam tam nie dalej jak wczoraj. Chciałam przymusić się do powrotu do ciebie, tak bardzo chciałam. Patrzyłam. Nigdybym już nie mogła pchać tego wózka przed sobą. W nim nigdyby już nie jechało nasze dziecko. W nim zawsze i tylko jechałaby różowa, płacząca czy roześmiana, zdradliwa, straszna — śmierć. Ten wózek, ten wózek Anne-Marie...

W MIASTECZKU, w którym zostałam na południu, bo my pochodzimy spod Salerno, Signore — nie ostał się ani jeden dom. Giuseppe umarł, umarła i Angelina, została sama we wsi, w której poza mną nie było żywej duszy. Przez trzy dni leżałam w stodole, nade mną latały pociski, szrapnele, palił się dach. Nie mogłam nawet wyjść, aby pochować Angelinę. Trzy dni tak leżałam z nią martwą w ramionach. Ona zapewne umarła z głodu, signore, tak jak ja z głodu straciłam pokarm. A kiedy nareszcie wywlekłam się na słońce z tej rozbitej stodoły, i pokropiłam wodą święconą ciało Angeliny — zawsze mam przy sobie wodę święconą, nawet wtedy miałam i kiedy pochowałam ją koło spalonej chaty moich rodziców — znalazłam ten wózek. Madonna mi go chyba zesłała.

Wskazała w tył za siebie. Za straganem, w cieniu drzewa wyrastającego wstydliwie ze szpary w trotuarze stał stary wózek na wysokich kołach.

— Wzięłam ten wózek — mówiła dalej wdowa Marchese — i poszłam z nim przed siebie. Zerwałam z krzaków resztkę pomidorów pozostawionych na zagonkach we wsi, na strychu jakiejś chaty znalazłam nieco cebuli i — poszłam. Ten wózek to był mój pierwszy stragan — roześmiała się.

— A potem? — spytał. — Co stało się potem?

— Potem już było zwyczajne życie, signore. Jak tak się leży na sianie, kiedy straciło się wszystko prócz wiary w dobrego Boga i kościół nasz święty, — to człowiek uczy się myśleć. Więc i ja myślałam wtedy więcej niż kiedykolwiek przed tym. Myślałam o życiu i o Giuseppe i o Angelinie. A czułam się, signore, jak wilczyca, której odebrali małe. Nawet nie płakałam. Chciałam żyć, chciałam jeść, chciałam, signore, od-

robić moje życie, tak właśnie — odrobić. Nie umiem tego powiedzieć inaczej. Takie miałam puste ręce bez Angeliny, takie puste ciało bez Giuseppe.

— Po drodze spotkałam żołnierza, wracającego do swojej wsi. Nie wiem jak się nazywał. Był wystraszony i głodny, tak samo jak ja. Jedliśmy pomidory z wózka, spaliśmy w lesie. Antonino, mój najstarszy, który teraz pracuje w Fiesole przy winnicy, to jego syn.

— Druga urodziła się Gina. W Neapolu. Jest bardzo piękna. Ma skośne oczy swego kolorowego ojca, ale moją figurę. Po niej przyszła Concetta, później Violetta, ostatni Waszyngton.

Gdy doszłam narazcie tu do Florencji z moimi dziećmi, założyłam ten stragan. Nie miałam wtedy nawet kilkuset lirów, żeby kupić desek na straganiarski stół. Więc sprzedawałam z wózka. Pod jarzynami zawsze siedziało w wózku któreś z moich dzieci, bawiło się marchwią czy pomidorami i ludzie jakoś chętniej kupowali ode mnie niż od innych. A czasami wtedy signore, były bardzo ciężkie we Włoszech...

— Pani jest taka piękna — powiedział — więc dlaczego tak właśnie, ci wszyscy przypadkowi mężczyźni — mogła pani znaleźć jednego, znowu założyć dom?

— Ach, roześmiała się i przebiegła palcami po rozburzonych włosach. — Mężczyzna nie jest ważny. Pije, czasami bije, trzeba go oprać, nakarmić, obsłużyć. Tylko dzieci są ważne — ich ciałka, gdy się je dotyka w kąpielni. Małństwo, co chłopie w balii, nóżkami fika, nic nie rozumie, ale już cieszy się, że żyje. Po co mi mężczyźni? Mam stragan, mam moje dzieci. Antonino pomaga mi już od zeszłego lata. W zimie Gina jest kelnerką w jednej z kawiarni przy Signorii, kochają mnie. Życie jest teraz łaskawe, signore. A ten ostatni — ojciec Waszyngtona — przysłała mi nieraz dolara czy dwa w liście. Dobry człowiek. Chciał nawet tu wrócić jak się dowiedział o Waszyngtonie...

— Przecież byłoby łatwiej...

— Nie. Ja jestem wolna jak te gołębie nad campanilą. To ważna rzecz, signore, gdy się wiele przecierpiało.

— A Bóg, a kościół?

— Są blisko. Gdy na spowiedzi załuje się szczerze, padre zawsze wyba-

czy. Zresztą — jakżeby mógł nie wybaczyć? Czy to nie wiemy my, jego parafianie jak i jemu się ckną w nasze gorące noce? Więc jakżeby miał nie dać rozgrzeszenia na to co Bóg w nas stworzył?

GDZIEŚ w bezsłonecznym kraju, w domu jego tęsknoty przez szyby zamglone deszczem patrzyła na obojętny świat twarz o dziewczęcych rysach, a ręce — klasztorne, delikatne i puste rysowały na szybie bezustannie monogram jednego imienia. Dom jego tęsknoty, dom Psyche, która bała się życia, a może przeciwnie — gardziła nim; sądząc, że jest jedynie drobnym wycinkiem o wiele ważniejszych spraw. Może zapatrzona w śmierć pragnęła jej sama — tego otwarcia drzwi na inne ogrody, gdzie nie było odpowiedzialności za życie, a tylko wieczysty śmiech Anny-Marii, którego przerwać nic już nie mogło.

Wrócił do miasta po ich pierwszej wspólnej podróży po spokój. Nie znalazł go. Patrzył na wdowę Marchese upokorzony pragnieniem. Chciał przywołać na pamięć długie rzęsy Anny-Marii, leżące jak dwa wachlarze nad jej martwymi oczyma. Ale twarz Anny-Marii zmatowiała we wspomnieniu i już nie wiedział, czy kiedykolwiek istniała naprawdę. Tylko wdowa Marchese była prawdziwa. Tylko ona i jej dzieci i wózek na wysokich kołach.

— Signore — powiedziała wdowa Marchese, — signore...

Wstał ze skrzynki i podszedł ku niej jakby już nie miał własnej woli, jakby wypalił się do dna pod słońcem tego miasta. Ważne były tylko jej ręce wyciągnięte ku niemu i przyzywające. Żar południa uderzył go w plecy i rozlał się złotem po żyłach. Anna-Maria kochała słońce. Wybiegła wtedy z rękami wyciągniętymi ku słonecznym promieniom, jego dziecko poczęte tu, we Florencji.

— Signore — powtórzyła wdowa Marchese. — Signore...

Waszyngton zagwiżdżał przeciągle, przestał się bawić ciężarkiem od wagi, schwył za poręcz starego wózka i ciągle gwizdząc popędził przed siebie.

Końcem palców przyglądała mu włosy na skroniach. „Il poverello... Mój dom jest pusty w południe, signore, i niedaleko stąd...”

Była o tyle starsza, o tyle dojrza-

sza od młodziutkiej Madonny na obrazie w domu. Ale spojrzenie miały obie to samo. W oczach wdowy Marchese i w oczach Madonny bez Bambina czaiła się ta sama spokojna i pewna słodycz. Ich ręce i ramiona pod ciemną materią sukien były stworzone tylko do jednego gestu: macierzyńskiego gestu ochrony.

Z laurowego drzewa, które wydybywało się spod asfaltu chodnika ubogie, ale wspaniałe w swej woli życia, oderwał się jeden liść i spadł mu pod nogi. Takie same liście spadały niegdyś z wieńców okalających czoła greckich bóstw. W takie liście — liście lauru — przybrana była zapewna kiedyś Matka-Ziemia Rea.

Patrzył na wdowę Marchese, stał rozdarty na rozdrożu nie tylko swych lojalności, wstydu i potrzeby. Stał w nieodgadłym labiryncie dwóch wiar, dwóch żywiołów. Były sobie równe. Pojął, że siła ich była jednoznaczna i że może powrócić tu dlatego szlakiem swojej miłości do Psyche, aby to zrozumieć. Psyche i Rea. W rozterce swojej nie wiedział tylko jednego: przez którą z tych sił zostanie w końcu wchłonięty — on, dusza i ciało, on — proch przed Tym, który obie te siły stworzył, siostry bliźniacze, siostry nieodłącznie ze sobą związane w wieczystym, boskim konflikcie.

Klara Evans

31 grudnia 1965 — termin prekluzyjny

Francuskie ministerstwo spraw wojskowych postanowiło zakończyć wszelkie sprawy związane z wypłatą b. żołnierzom polskim pod dowództwem francuskim należności z tytułu pobytu w niewoli lub internowania.

W związku z tym powzięło decyzję, że *ostateczny termin wnoszenia podań przez zainteresowanych upływa z dniem 31 grudnia 1965.*

Podania wniesione po tym terminie nie będą rozpatrywane. Natomiast podania wniesione przed tym terminem zostaną rozpatrzone.

Przypominamy, że sprawy należy kierować na adres następujący:

DEPOT CENTRAL DES ISOLÉS
Caserne Guynemer
Rueil-Malmaison (S. & O.)
France

Prosimy pisma polskie o przedrukowanie tej wiadomości.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Claude z Claudine buszują po Pogórze berneńskim, czyli po szwajcarskim Oberlandzie. Słusznie i sprawiedliwie, jako że każdemu się urlop należy. Choć nie każdy na urlop pojedzie. Do tych „niekażdyh“

należę i ja. Przynajmniej w tym roku. A więc gdybym w tym roku rozpiął się tak jak w latach poprzednich o tym jak bardzo piękna jest buganwilla i jak potrzebne kulturze w ogólności a mnie w szczególności jest śródziemnomorskie słońce, to byłoby to powtarzaniem rzeczy minionych czyli byłych. Lub zapowiedzią rzeczy przyszłych.

I oto ja „piewca słońca“ (naprawdę tak mnie nazwał jakiś bardzo przychylny eutuzjasta „plotek“) z najświeższych wrażeń mam do zanotowania tylko pobyt w angielskim New Forest, gdzie dzieliłem czas między whisky w barze hotelowym i piwo w wioskowym pubie...

Na to mi przyszło. I nie tylko na to.

Ż powodu braku Claude'a i Claudine przydzielono mi „do wykorzystania“ zdjęcia z paryskich pokazów mód jesiennych. I powiedziano mi: wtrąć coś o nich między plotkę i anegdotę.

CO WIEM O MODACH DAMSKICH?

Raczej nie wiele. Nie znaczy to bynajmniej bym nie dostrzegł co kobieta ma na sobie. Przeciwnie. Dostrzegam i przyglądam się pilnie. I kobiecie i temu co ma na sobie. Przyglądam się i o zgrozo, z reguły mi się podoba. Tak jak temu, co to o nim śpiewają w „Pięknej Galatei“, że mu się „każda kobieta, każda, każda kobieta podoba“. Dodając w następnym wierszu: „Co to jest, bo ja wiem, co to jest bo ja wiem, jakaś erotyczna choroba“.

Jeśli choroba, to bardzo przyjemna.

Co innego wszakże patrzeć i widzieć, a co innego wyrażać zdanie. Odczyłem się wypowiedzianego zdania o stroju kobiecym. Ilekroć mi się zdarzyło powiedzieć „Kochana, dawno Cię nie widziałem, wyglądasz świetnie w tym nowym wdzianku“, nieodmiennie słyszałem w odpowiedzi: „Widzieliśmy się wczoraj a ta suknia ma już trzy lata“... Więc zachwycać się w milczeniu.

Ale dziennikarz, który milczy nie zarobi na chleb powszedni. Dziennikarz może nie myśleć — nie może nie pisać. Napiszę zatem jak umiem o tych modach jesiennych.

JESZCZE KILKA UWAG WSTĘPNYCH

Wstyd się przyznać. Podoba mi się każda nowa moda. Patrzę z entuzjazmem na każdy nowy sposób przyodziania kształtu dziewczęcego. Podziwiam umiejętność wyupuklania to tego to owego. Raz akcent na górne części ciała, które rozrastają się do imponujących rozmiarów, by za rok zeszczipać, zwiosennić i zwiotczeć na korzyść, na przykład, części środkowych. Potem na odmianną znowu rozrasta się część górna a części środkowe i dolne znikają w zakładkach. Niby ciągle to samo a przecież ciągle coś innego. Albo raczej inaczej.

Rok bieżący, rok 1965, rok paskudnego lata, inflacji, Wietnamu i astronautów trwał na odcinku mody pod znakiem skracania od dołu i odsłaniania od góry. Dobry rok — wspomni sobie każdy mężczyzna zdrowy na ciele i umyśle, choć rzadko się do tego rodzaju wspomnienia przyzna.

Niejedyn będzie ganił. Taki Claude na przykład nie pominie żadnej okazji by nie napisać coś krytycznego o krótkich sukienkach. Że to niby nie każdej w takiej sukieneczynie „dobrze“, bo nie każda ma ładne kolana. Tak twierdzą fachowcy, a Claude jest fachowcem. Odpowiadam na to, że nie widziałem nigdy brzydkich kolan. Boś pewno nie patrzył — mruknął pesymista. Słusznie. Nie patrzyłem nigdy na brzydkie kobiety. Po co? Jest tyle ładnych. Więc nie patrząc na brzydkie kobiety widziałem tylko ładne. Kolana? Pars pro toto. Fragment. Nie bez znaczenia, ale dawno już przestał budzić sensację. Współcześnie nie tylko można zobaczyć dużo ładnych kobiet, ale i z każdej ładnej dużo można ładnego zobaczyć. Kolano to jak bariera dźwięku w lotach supersonicznych. Dawno przekroczona.

KREACJE JACQUES ESTERELA

„Orzeł“ wszakże nie jest amerykańskim „Playboyem“, ani francuską „Elle“, ani nawet purytańsko-obnażonym angielskim „family magazine“. A zatem zdjęcia, które wybieram ze stosu i które ukazują się na tych plotkowych stronicach, przedsta-





wiają kobiety ubrane od stóp do głów. Aż nazbyt dokładnie.

Zyskują na tym twarzyczki, czyli po staropolsku buzie, które w naszym nowoczesnym świecie udostępniają miejsca w fotografiach bardziej frapującym krzywiznom, tak brzydko dla polskiego ucha nazywanym w języku angielskim i we wszystkich językach romańskich.

Wybór mój nie szkodzi ani interesom ani sławie Jacques Esterela. Przyjaciel Claude'a i Claudine, awansował z małych początków do rangi jednego z czołowych „kreatorów” mody paryskiej. Na swych pierwszych nieśmiały rewiach mody, jedna odbyła się bodaj w lokalu kombatanckim na paryskim Legendre, umiłał czas publice i recenzentom, przygrywaniem na gitarze i opowiadaniem kawałów. Nie wróżyło mu powodzenia. To znaczy nie wróżyli mu fachowi recenzenci. Pomylili się jak to się często fachowcom przydarza. Esterel zdobył sobie wzięcie, zdobył też (mam nadzieję) sporo forsy. Co ważniejsze nie sprzeniewierzył się własnemu stylowi. Tworzy tualety wesole, często zabawne, lecz nigdy nie śmieszne a zawsze szczerze.

Popatrzmy na te dwie. Dziewuszka z prawej ma w sobie coś z arlekina. Tak jest w swym ensemble lekka, że stać ją na ciężkie buciory. I na spodnie, co niczego nie „podkreślają” ani nie „uwytłaczają”. Stroik ciepły. I w przenośni i dosłownie. Kropką nad „i” jest trójgraniasty kapelusz. Koronuje mały, wdzięczny, żywy pomniczek radości życia, uszyty z prostoty i figlarności.

A osóбка z prawej? O, to co innego. Wysoce „sophisticated” jak by powiedzieli Anglosasi. Strój na sto procent niepraktyczny. Sądzę, że ze skóry... Przekonamy się zresztą za chwilę, gdy się zabierzemy do mozolnego tłumaczenia francuskiego opisu na język polski. I ten krawat-niekrawat założony wręcz odwrotnie, niż nakazuje sens krawatu. O ile oczywiście krawat ma w ogóle sens.

Któż by się tak ubrał jak ta panienczka w białej peruce? Pewno nikt. Kto by chciał się tak ubrać? Pewno każda kobieta... Choćby raz w życiu. Miała by co wspominać w żalonych chwilach wysiadania nad maszyną do pisania, wystawania nad deską do prasowania męzowych koszul i dreptania z torbą od rzeźnika do salaciarza.

TŁUMACZYMY OPISY KREACJI

Biała peruka? Ta modelka ma perukę? Tak. „Perruque blanche pour favoriser la



persuasion du regard et du maquillage”. „Dla podkreślenia wymowy spojrzenia i doskonałości makijażu”. Koślawe tłumaczenie? Być może. Ale spróbujcie inaczej.

Tłumacząc dalej. Chodzi ciagle o model z lewej. Komplet koktajlowy, „en matelassé-glace”. Hm. Co z tym począć? Zamrożony materac? Doprawdy nie wiem. Łapię za telefon i obdzwaniam znajome

panie, zwłaszcza te, co znają się na szybciu i mówią po francusku. Otrzymuję różne wyjaśnienia. Sprzeczne między sobą, sprzeczne z tym co widzę na fotografii, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Rezygnuję i jadę dalej. „Płaszcz przypominający frak markiza”. Niech będzie. „W odcieniu zielonym dla daltonistów... i czerwonym dla niedaltonistów”. Dowcip? Oczywiście.

Nie bardzo mi się udało to tłumaczenie opisu. Tłumaczenie to trudna sprawa.

DYGRESJA O TŁUMACZENIACH I O TŁUMACZACH

Zwłaszcza, gdy się tłumaczy piosenki i dowcipy. Kiedyś, dawno już, ale były to dobre czasy (dla mnie), nie tyle dla chleba ile dla dodatkowej butelki wina z przyległościami, tłumaczyłem teksty piosenek. Z polskiego i na polski. Był taki tekst o „bluzeczce zamszowej” pachnącej mocno Soir de Paris”. Janek Markowski to śpiewał. Wszystko poszło dobrze. I „pęd powietrza”, i to że „niebo było w oczach a słońce było w nas”. Tylko ten zamsz, ten zamsz... W dodatku pachnący Soir de Paris.

Nie zarobiłem wtedy na tę butelkę wina. Lepiej mi trochę poszło z francuskim tekstem piosenki, którą tak ładnie śpiewała po polsku Ordonka. Pamiętacie, starci panowie? „Na pierwszy znak, gdy serce drgnie”? „Le coeur bat, c'est le signal...” wydzierała się przeciągle Annette a ja byłem zachwycony i pilem zarobione wino. O Annette warto by dużo napisać, lecz odłożmy to na inną okazję.

Są tłumacze i tłumacze. I są tłumaczenia różne. Tłumaczyłem w życiu dużo, od rozpraw o strategii do podręczników uprawiania ogródków działkowych. Te subtelności, te półtony, te odcienia! Cholera. Jeszcze z tą literaturą to pół biedy. Przeczytasz raz, drugi. Pomyślisz, lykniez wina, zagryziesz kawalkiem sera. I piszesz tę samą treść własnymi słowami w innym języku. Ale nauki ścisłe, poezja? O, gorzej. A najgorzej suche instrukcje lub teksty reklamowe. Com się napocił tłumacząc katalog huty szkła w Antoninku na język angielski. Tysiąc sześćset kieliszków, a co drugi był „conical” czyli stożkowy, ale trochę inaczej niż poprzedni i następny.

Było sporo dobrych tłumaczy. Lecz natchnionych tylko niewielu. Józef Łobodowski i Kenneth Mackenzie zaliczają się do tych niewielu, z którymi los mnie zetknął. Łatwiej po stokroć tłumaczyć „żywe słowo”. Na gadanego. Potrzebne są tylko

dwie rzeczy: doskonała znajomość języka i dużo taktu.

Annette mawiała... Stop! O Annette, kiedy indziej. Tymczasem wracamy do mody damskiej.

WZNOWIENIE OPISU KREACJI JESIENNEJ

A więc model z lewej. Najważniejsza informacja. Modelka nazywa się Bibelot. Bardzo ładnie. Ma na sobie komplet jesienno-zimowy, który jest kombinacją sukni ze spodniami. To nie trudno zgadnąć. Kolory kompletu: rdzawy i zielony, „prunelkowy“. Tego nikt by nie odgadł. Są też dalsze szczegóły. Bardzo fachowe, więc je pomijam.

Na tym kończę mój popis recenzencki i czekam na wymyślenia. Od Claude'a, Claudine i od Esterela. Aha. Nie wolno zapomnieć. Zdjęcia są: Copyright Jacques Esterel.

ANKIETA O SZCZĘŚCIU

Były pochwały i były rozczarowania. Jeden z zaproszonych do wzięcia udziału w ankiecie na temat szczęścia, obiecawszy odmówił. Twierdził, że wszystko co było do powiedzenia powiedzieli ci autorzy, którzy swe odpowiedzi nadesłali. Mówiąc ściślej doszedł do wniosku, że wszystko co warto było powiedzieć napisały autorki, nie autorzy.

To był jeden z nielicznych i jakże mądrych ludzi, którzy uznają przewagę kobiety w każdym zawodzie i w każdej okoliczności. Bo, gdy kobieta ma coś mądrego do powiedzenia, będzie to mądre na sto dwa i nie ma co dodawać. A gdy plecie głupstwa, można jej nie słuchać. W

przeciwieństwie do mężczyzny nie obrazi się.

W listach na temat ankiety było parę kosztownych uwag o doborze ilustracji. Chociaż dodaję szybko, że było sporo pochwał. Jak zawsze. Co się jednym bardzo podobało, innym wydawało się okropne. O reprodukcji obrazu Picasso doszedł nas głos (przez telefon), że gołe piersi kobiece to nieprzyzwoitość bez względu na to, kto i dlaczego je wymalował. Można by zestawić treść tego telefonu z treścią innego z którego dowiedzieliśmy się, że „popieramy komunistów“. Jako że Picasso, proszę Panów, namalował przecież gołąbka, a ten gołąbek, proszę państwa, jeśli państwo nie wiedzą... Itd.

Owszem, wiemy coś niecoś i o gołąbku picassowskim i o Picasso samym. Co ma piernik do armaty? Szkoda gadać.

Były też, a jakże, głosy oburzenia na temat okładki numeru lipcowego, wyrysowanej przez Danutę Laskowską. Pytano: dlaczego taki „wakacyjny“ obrazek w poważnym piśmie. Obrazek nie był „wakacyjny“. Zdaje mi się, że warto mu się przyjrzeć dokładniej by zrozumieć o co w nim chodziło. Dla ułatwienia reprodukcję go ponownie w zmniejszeniu.

Oczywiście, kto nie chce zrozumieć i tak nie zrozumie. Takimże żadne tłumaczenia nie pomogą. Na szczęście reprodukcję ponownie rysunek, staramy się oddać usługę mniejszości naszych czytelników. Gdy większość nie miała żadnych wątpliwości, że „szczęście wtedy tylko jest prawdziwe, gdy je dzielisz z kimś innym“.

W następnym numerze oddamy znowu głos autorom, rozpoczynając trzecią porcję wypowiedzi o szczęściu uwagami Jana Tokarskiego.

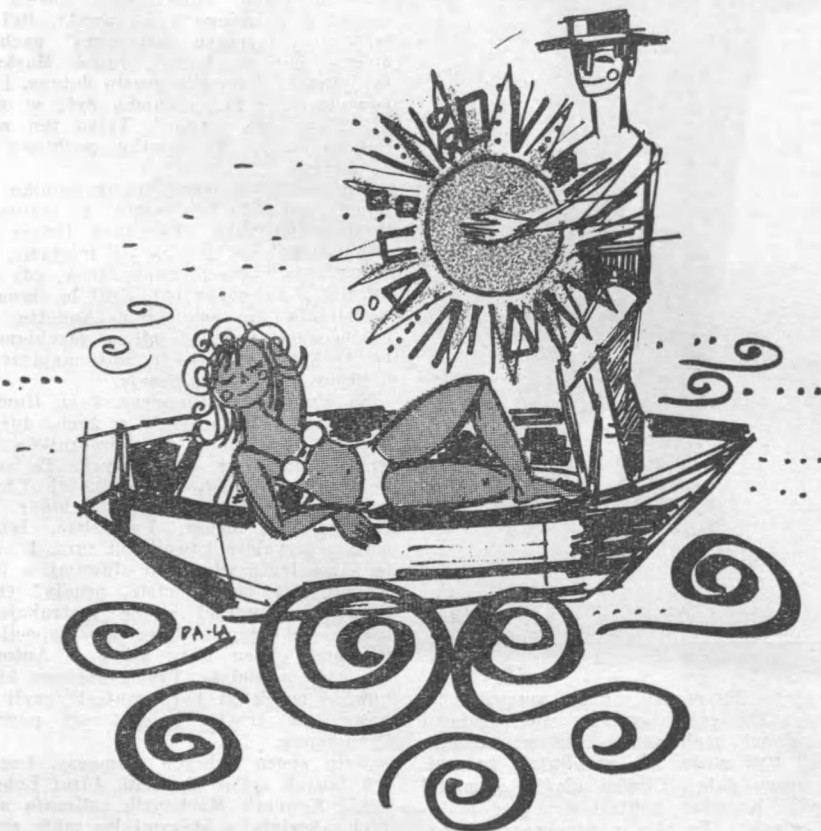
J. P. H.

PLASTYKA

Gdy w sierpniu w polskim Londynie nie się już nie działo, w innych dziedzinach, wciąż trwały w najlepsze odczyty i wycieczki po muzeach i okolicach miasta prowadzone z ramienia Polskiej YMCA przez Mariana Bohusza-Szyszkę. W ciągu ostatnich kilku miesięcy amatorzy sztuki, a zwłaszcza przyjezdni mogli w National Gallery oglądać „Nowe dzieła“ i „Malarstwo hiszpańskie“, „Leonarda i jego krąg“ czy „Malarstwo niemieckie XVI wieku“, w Wallace Collection, „Marynistów“, w British Museum nie tylko „Sztukę przedhistoryczną“, ale i „Marmury Elgina“, czy „Sztukę meksykańską“ lub „Portret“ w I w. po Chrystusie, nadto zrobić wycieczkę do wykopalisk rzymskich w St. Albans, do Kenwood Gallery lub Hampton Court. W Victoria and Albert Museum oglądało się nabytki ostatnich 5 lat, wśród których nie brakło dzieł polskich artystów, lub „Rzemiosło średniowiecza europejskiego“. Nie pominięte zostały przy tym wystawy w galerii Instytutu Wspólnoty Narodów lub letnia — w Royal Academy of Arts. Te podróże imaginacyjne w czas i przestrzeń można niemal bez pudła robić w każdą niedzielę stawiając się o godz. 3 na wyznaczone w zapowiedzi miejsce zbiórki. A na kolejnych odczytach z cyklu „Tysiąclecia sztuki polskiej“ usłyszeć o „Michałowskim i jego epoce“, „Okresie przedmiejskowskim“ i samym „Matejce“. Wszystko to na marginesie własnej twórczości Bohusza-Szyszki.

Ta systematyczna praca nie jest prowadzona w odosobnieniu czy pustce. Wystaw polskich artystów niesposób zliczyć, a co dopiero omówić. W galeriach angielskich wystawia m. in. Andrzej Dzierżyński, który zdobył sobie ostatnio patronat księżnej Lee Radziwiłłowej. Podobnie Feliks Topolski — który maluje wielki portret Księcia Filipa. W wystawie Royal Society of Portrait Painters brał udział Augustus Pac (Pacewicz), który wystawił portret ojca. Halina Korn pokazała obok obrazów swe terakoty w New Artist's Forum.

Echa w prasie angielskiej znalazły prace rzeźbiarskie Adama Kossowskiego dla klasztoru Karmelitów w Aylesford w Kent. Przypomniane zostały prace takich malarzy, jak Tadeusz Ilnickiego w Drian Gallery, Zygmunta Turkiewicza w Cassel Gallery, w otoczeniu dzieł kolegów po piędzu, jak Piotr Wieliczko, M. Bohusz-Szyszko i innych, a w Waddington Gallery dano nową wystawę prac polskiego malarza z Paryża, 82 letniego Henryka Haydena, należącego do przodujących malarzy szkoły paryskiej. Ostatnio odbyła



S Z C Z Ę Ś C I E ...

ŻYCIE

KULTURALNE

POLSKIEGO

LONDYNU

się w Galerii Grabowskiego ciekawa wystawa prac Stanisława Frenkla, będącego rzadką kombinacją artysty i krytyka, nawiązującego do pięknej tradycji Witkacego czy Chwistka. Sukcesy malarzy polskich z Londynu sięgają niekiedy daleko poza granice miasta i Kraju i docierają niekiedy do Polski, jak w wypadku Feliksa S. Kwarty, który w 70 roku życia wygrał konkurs na herb m. Warszawy. Należy on również do artystów, którzy malowali członków rodziny królewskiej. Ten galop po rejestrze galerii malarskich zastrzyżać należy na wzmiankę o udziale Bronisława Jarosza, mistrza kroju, w 10. międzynarodowej malarskiej wystawie amatorskiej, aby dać miejsce...

NOWYM GALERIOM POLSKIM:...

Wbrew przysłowiu „do trzech razy sztuka“ (Drian, Grabowski, Cassell) polskich galerii jest więcej i wciąż nowe powstają. Wspomnimy o dwóch. Jedną urządziła p. Irena Czarnowska w sercu Londynu pod sklepem z starożytnościami wschodnimi na Barrett Street, W. 1, w pięknie wybielonej i oświetlonej piwnicy. Zamiast zbójników, którzy by w niej tańczyli, dała uroczą wystawę prac Haliny Sukiennickiej, polskiej Judge Lane. Uroczę są rysunek i zwierząt robione grubą krechą, przekonywujące kompozycje abstrakcyjne lub raczej semi-abstrakcyjne, nieraz o dużym ładunku liryzmu. Od 1959 r. artystka brała już udział w dziesięciu wystawach rozrzuconych na przestrzeni od Londynu do Monachium, Hamburga i Los Angeles.

Do towarzystwa dodano kilka rzeźb w drzewie Tadeusza Zielińskiego wykorzystujących naturalną konfigurację tworzywa, wykazujących wiele fantazji, ale chyba najwięcej w oszacowaniu ich fantastycznymi cenami, które świadczą jak trudno bywa artyście rozstać się ze swym dziełem.

Druga niedawno otwarta galeria mieści się również w sercu, czy raczej żołądka Londynu, bo w Doctor's Restaurant na New Cavendish Street, W. 1. Jest ona dziełem przyjaźni właściciela

lokalu Tadeusza Lutostańskiego z lotnikiem rozmiłowanym w sztuce Jerzym T. Oziębło, który jest właściwym organizatorem wystaw i wydawcą monografii i programów o pracach artystów. W ostatnim sezonie przewinęły się na ścianach sali obrazy sporej garstki malarzy miejscowych i krajowych jak Lena Walicka, Gabriel Rehowicz, Anna Szulc-Zakrzewska, Mieczysław Lurczyński z Paryża, Józef Piwowar, Bogusław Gorgolewski, Stefan Stachowicz, Barbara Zielińska, Karol Osten i Sandra Pili-chowska z Londynu.

Ciekawym jest, że z początkiem otwierającego się sezonu galeria ta przechodzi od wystaw indywidualnych i zbiorowych do wystaw monograficznych pt. „Warszawa Wczoraj i Dzisiaj“, na którą złożą się obrazy olejne siedmiu malarzy z Polski o poważnym dorobku artystycznym. Znajdzie się tam lauretka „Zachęty“ Magdalena Spasowicz, (za jej „Kościół św. Anny“, który będzie pokazany), Maria Anto (Antoszkiewicz), lauretka Biennale w Sao Paulo, reprezenitująca prymityw m. in. w „Kościół Wizytek“, popularny malarz-illustrator Antoni Uniechowski, śp. Bogusław Koczyński reprezentowany jest tam przez trzy litografie ze Starego Miasta, Szczepan Skorupka, Edmund Burke — z różnymi fragmentami miasta i Bronisława Wilimowska — z 7 pracami olejnymi i akwarelami. Wszyscy wystawiali w Zachęcie lub Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Kraju. Otwarcie tej wystawy nastąpi w niedzielę 19 września między 6 i 8 popołudniu i organizatorzy zapraszają wszystkich, którym Warszawa jest bliska sercu, na inauguracyjną lampkę wina.

TEATR I REWIA:

O teatrze będzie dużo mniej do powiedzenia. Od dłuższego czasu dramata milczy. Luźniej go imprezy z kraju, jak występy jednoosobowego teatru rapso-dycznego Danuty Michałowskiej w „Pieśni nad pieśniami“ wg. Szolem Alejchema i „Pana Tadeusza“ Mickiewicza. Z tej okazji powstało podobno „Ekeperymentalne studio teatralne“.

Już nie upadek zwyczaju zapraszania stałych recenzentów, ale poprostu urlo-powy wyjazd sprawozdawcy uniemożli-wił omówienie w szczegółach nowej se-rii wieczorów autorskich Mariana He-mara pt. „Nic więcej“ z udziałem S. Horwat, H. Kitajewicz, J. Kropiwnic-kiego i W. Skoczylasa. W tym cza-sie gościem-obszernym teatru an-gielskiego była Beata Artemska, dy-rektorka Teatru Operetki Dolnośląskiej we Wrocławiu oraz aktorka i reżyserka teatrów i telewizji warszawskiej. Go-ściem z Nowego Jorku, który wystąpi wkrótce w „Ognisku“ będzie Dora Ka-

linówna, dawna artystka z „Qui-pro-Quo“, „Morskiego Oka“ i „Cyrylika“.

W Chicago odbył się jubileusz pracy 35-lecia pracy scenicznej i radiowej Jó-zefa Wieszcza, znanego z występów w „Lwowskiej Fali“ i jej czołwce tea-tralnej do czasu jej rozwiązania. W r. 1948 wyjechał on z Anglii do Amery-ki. Przyłączyć się wypada do licznych życzeń dla jubilata: ad multos annos.

Z miejscowych artystów należy wspo-mnieć dalsze triumfy sceniczne 78-let-niego mistrza-seniora Ludwika Lawiń-skiego, który nie tylko zabawiał pro-gramem swoim opisanym w felietonie pt. „Wilk wśród jagniąt“ całą szkołę w Pitsford, ale doczekał się wydania po angielsku swej książki pt. „Aczkolwiek“ (A foreigner about London). Jeśli do-dać do tego mnożenie się ośrodków tea-tru amatorskiego poza Londynem i wspomnieć o festiwalu teatru szkół so-botnich, omówionym już osobno, to po-zostają tylko dalsze zapowiedzi: nowej sztuki w teatrze „Syrena“ w reżyserii R. Kowalewskiej, święcenie przez teatr zawodowy dla dorosłych i młodzieży 200-rocznicy powstania polskiego teatru, wznowienie prac Warsztatu Teatralne-go Młodych, współpraca teatru dla do-rosłych z teatrem dla młodzieży za po-średnictwem referatu teatru „Syrena“ w ZASP i współpraca teatru zawodo-wego z amatorskim, na gruncie refera-tu teatrów amatorskich ZASP. Z zapo-wiedzi pozamiejscowych dodać można zamiar wystawienia w „Teatrze Bur-gundzkim“ sztuki W. Gomrowicza „Iwo-na, księżna Burgunda“ w przekładzie francuskim.

MUZYKA:

O poważnej muzyce miejscowych wir-tuozów nic nie słyhać. Natomiast nie brakowało występów koncertowych go-ści przyjezdnych. Jednym z pierwszych był przybyły z Ameryki pianista Jan Gor-baty, modernista o dźwięcznym uderze-niu i dramatycznej interpretacji klasy-ków. Grał Beethovena, Chopina, Liszta, Szymanowskiego i T. Z. Kasserna. Wi-told Małcużyński koncertował w progra-mie klasycznym i romantycznym w Ro-yal Albert Hallu. Następnym wybitnym gościem był skrzypek Henryk Szeryng, który w tej samej sali raz wystąpił z orkiestrą Królewskiej Filharmonii pod dyr. A. Wallensteina, a następnie wes-pół z znakomitym wiolonczelistą rosyjs-kim Rostropowiczem. Występ ich w Po-dwójnym Koncercie Brahmsa spotkał się z najlepszą oceną krytyki muzycznej.

Były dwa echa co najmniej tegorocz-nego Konkursu Szopenowskiego w War-szawie. Wystąpiła pianistka argentyń-ska Marta Argerich w programie szo-penowskim. Jak wiadomo, artystka zdo-byla pierwszą nagrodę na tym konkur-

się w r. 1965. Następnie odbył się odczyt członka jury tego konkursu Artura Hedleya w Polskiej YMCA. Skoro mowa o Hedleyu, warto dodać, iż jego studium o Chopinie znajdować się będzie w zbiorowej książce angielskiej o Chopinie wydanej pod red. Alana Walkera z BBC.

Polskie wokalistki odniosły kilka sukcesów. Teresa Zylis-Gara wystąpiła w „Rosenkavalier“ Ryszarda Straussa wystawionej w operze w Glyndbourne. Stanisława Horwat odtworzyła jedną z głównych ról w operze komicznej E. Wolf-Ferrariego „Szkoła dla ojców“ wystawionej przez klasę operową londyńskiej Guildhall School of Music and Drama.

Znana pieśniarka Veronika Bell (Ignatowicz) założyła w Paryżu Klub swego imienia, urządzający programy tzw. składankowe w sali Domu Kombatanta. Okres letni poświęciła ona wyjazdom, m. in. do Vaduz solicy księżstwa Lichtenstein w paryskim baletem „Krakus“, a wkrótce ma przybyć do Londynu na występy w „Pigalle“ i „Society“. Z Melbourne w Australii przybył do Londynu popularny piosenkarz i akordeonista Gwido Borucki, który wziął udział w wieczorach Klubu Piosenek u Lotników. Klub ten zresztą obchodził swoją setną audycję, nagraną dla RWE. Wzięli w niej udział weterani klubu w osobach L. Kitajewicz, I. Delmar, W. Skoczylas, Z. Pomorskiego. A nadto nadawano z taśmy piosenki w wykonaniu J. Czerwińskiej, J. Katelbach, K. Kaliszewskiej i K. Marka. W poprzedniej audycji wzięła udział — po powrocie z Ameryki — Renata Bogdańska, spotykając się z gorącym przyjęciem słuchaczy wypełniających salę. Nadto występowała Ina Sobieniewska, Artur Poznański, S. Błaszczuk. Muzyka miała wreszcie spory udział w konkursie młodych talentów zorganizowanym przez RWE. Wzięło w nim udział 18 uczestników indywidualnych i grupowych. Przyznano 4 nagrody za wykonanie piosenek i jedną pocieszenia, 4 nagrody za recytacje, 2 dla zespołów i jedną pocieszenia.

Inną imprezą z pogranicza reprodukcji sztuki dźwiękowej i żywego słowa był wieczór w „Ognisku Polskim“ poświęcony przedstawieniu nowej serii płyt, wydanej przez RWE. Pierwsza seria pt. „Kawalkada czasu“ wydana była pod koniec ub. roku. Obecna — pt. „Świadkowie historii“ zawiera kilkadziesiąt głosów głównie polityków, mężów stanu i dowódców polskich, których wypowiedzi dotyczą wydarzeń od początków I wojny światowej do lat ostatnich. Po zagajeniu przez dr L. Kielanowskiego, dyr. RWE, p. J. Nowak omówił tę akcję wydawniczą, pod-

nosząc powodzenie pierwszej serii. Następnie w uroczystej atmosferze wobec wypełnionej sali zaproszonych gości, wśród których nie brakło żywych „Świadków“, reprodukowano wybór dwudziestu kilku głosów, między którymi na pierwszym miejscu znajdowały się wypowiedzi marszałka Piłsudskiego, Paderewskiego, Hallera, Sikorskiego, Kukieła, Andersa i innych.

TANIEC I FILM:

Te dwie sztuki ruchowe ostatnio rzadko przejawiają swoje istnienie. Główne manifestacje zespołów tańca amatorskiego, jak im. Kolberga, Mazury, Syrenka, Tatry itd. skupiają się na „Tradycyjnych wiankach“ obchodzonych w tym roku w Fawley Court oraz w Fortes Airport Hotel w Londynie na Balu Rolników, jak również na zapowiadzianych Dożynkach w salach Derry and Toms. Poza tym są echa z prowincji, jak o udziale grup polskich w międzynarodowym festiwalu w Leeds, czy pokazie zespołu im. Kolberga w Northwood Hills lub z poza wysp, jak o występach zespołu „Krakus“ z Francji na festiwalu w Luksemburgu czy Księżstwie Lichtenstein. Przyczynek do dziejów zespołu „Mazury“ zawiera ostatni numer (Nr 9) „Ogniwa“, Biuletynu informacyjnego dla członków Polskiej YMCA.

Poważnym osiągnięciem polskiej choreografii jest wystawienie przez Wacława Orlikowskiego, choreografa opery w Bazylei, nowej wersji „Jeziora Łabędziego“ przez londyński „Festival Ballet“ w Sali teatru „New Victoria“. Jedną z wykonawczyń głównej roli Odette-Odile jest primabalerina Irena Borowska, z teatru Colon w Buenos Aires i Ballets Russes de Monte Carlo.

Dzięki Polskiej YMCA i Czołowce Filmowej Inwalidów znów można było obejrzeć w Londynie kilka filmów polskich. Były więc nie tylko wieczory filmów turystycznych, jak o Finlandii lub Francji, albo historycznych, ale również i długometrażowe filmy polskie, jak „Dwa żebra Adama“, „Zaczęło się w pociągu“ czy „Kamienne niebo“. Nadto zanotować należy udział Władysława Scheybala (jako Pierre Louys) w telewizyjnym filmie „Debusy“ oraz wyświetlanie w Londynie filmu Romana Polańskiego „Repulsion“ (Odraza), nakręconego w Anglii (South Kensington) z obsadą międzynarodową. Film ten wyświetlony mógł być w Cannes tylko poza konkursem, gdzie zdobył sobie duże uznanie za niewątpliwie walory artystyczne, choć temat jest istotnie odrażający. Film ten omawiany był na ostatnim obiedzie literackim „Kontynentów“.

I. O.

W SYLWETKACH emigrantów najczęściej przejawiają się dwie zasadnicze cechy: poświęcenie lub upór. Pierwsza dotyczy przeważnie społeczeństw, druga kupców i przemysłowców. Pierwsi traktują swoją działalność jako służbę idei czy sprawie. Drugi jako konieczność życiową, pozwalającą wyróżnić się wśród obcych. Czasem obie cechy zbiegną się w jakiejś jednostce, wyróżniając ją jeszcze bardziej z otoczenia.

Ludziom o tych dwóch cechach poświęcamy dzisiejsze uwagi.

PRZEZ ŻYCIE Z „KAGANKIEM OŚWIATY“

Pasja działalności społeczno-oświatowej przyswiecała p. Amalii Falkiewiczowej przez całe życie. Nie opuszcza jej i na emigracji. Zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego wzbudziła w niej matka. W atmosferze miast Małopolski przed pierwszą wojną światową było to jednocześnie głębokie powołanie. Po ukończeniu szkoły średniej w Wadowicach, w roku 1916, kończy seminarium nauczycielskie w Krakowie. Już w tym pierwszym okresie samodzielności czynna jest w radzie studentek i funduszu samopomocy. Pierwszą pracę dostaje w szkole w Zgorzeniu, skąd pochodzi Zegadłowicz. Wcześniej jednak przerywa działalność zawodową, bo wychodzi za mąż za oficera zawodowego i osiedla się na Kresach Wschodnich. Najdłuższy okres przebywa w Słonimie, czynna w miejscowej działalności społeczno-oświatowej. Udziela się również w kresowym życiu artystycznym, a w pewnym okresie występuje nawet w rozgłośni radiowej w Baranowiczach. Wiosną 1940 roku jest wywieziona do Kazachstanu i rozdzielona z dorastającymi dziećmi. Tam, przez 2 lata w ciężkich warunkach prowadzi przedszkole, przechodząc różne rosyjskie perypetie. Po „amnestii“ z grupą chłopców udaje się do Buzułuku.

Po ewakuacji na Środkowy Wschód w Teheranie, poświęca się znowu działalności oświatowej. W Palestynie jest świetliczarką, a następnie w Nazarecie pracuje jako nauczycielka w szkole młodszych junaków. Spośród wychowanków tego okresu ma dwóch księży. Pod koniec kampanii włoskiej, w roku 1945 zostaje przeniesiona do 2 Korpusu. Prowadzi kurs dla dziewcząt z Francji w San Basilio, a następnie jest oficerem oświatowym w Galatone, by na dłużej osiąść w Rzymie w Oddziale Kultury i Prasy, gdzie pracuje w referacie fotograficznym. Tam połączyła się z mężem.

Po przyjeździe do Anglii jest najpierw w Foxley Camp instruktorką języka angielskiego dla ochotniczek. Na stałe osiedla się z rodziną w Halifax

LUDZIE EMIGRACJI

W opracowaniu

Tadeusza Podgórskiego



Amalia Falkiewiczowa

w roku 1949. Początkowo udziela się pracy społecznej, a od roku 1952 ponownie szkolnictwu. W tym czasie jest czynna w przedszkolu polskim w Huddersfield i od roku 1953 w pracach szkoły polskiej w Halifax. Od r. 1956 zostaje kierowniczką dużej szkoły polskiej w Huddersfield. O szkolnictwie emigracyjnym można z p. Amalią rozmawiać całymi godzinami. Zna wszystkie jego problemy; trudności i osiągnięcia. Poświęca mu cały swój wolny czas. Wierzy, że działalność szkoły emigracyjnej uratuje dla Polski młode pokolenie emigrantów. Jest dumna z osiągnięć wychowawczych szkoły w Huddersfield i wypracowanych tam metod nauki.

W długiej rozmowie potwierdzam pierwsze spostrzeżenia. Pani Amalia ma głęboką pasję działalności oświatowej. Wierzy, że przez oświatę, której poświęca wszystkie siły, umacnia polski stan posiadania. Działalność tę traktuje jak misję życiową. Jak służbę sprawie, której się zaprzysięgła. Wypełnia ją z całym samozaparciem.

KOMBATANT DOSKONAŁY

Dawno już zrobiłem odkrycie, że terenowa działalność kombatancka opiera się przede wszystkim na pełnych poświęcenia podoficerach. Do takich należy Michał Brodowski z Rochdale. Pochodzi z Horodenki w Stanisławowskim. Już jako 15-letni chłopiec był czynny w P.O.W. podczas pierwszej wojny światowej.

W kampanii roku 1920 był ochotnikiem. Później pracował w sądownictwie by znowu wrócić do wojska, już ze zdecydowanego powołania. Po kampanii wrześniowej i drodze przez Rosję znalazł się jako st. sierżant w 11 Batalionie Łączności, z którym odbył kampanię włoską. Od r. 1949 osiedlił się w Rochdale, gdzie był organizatorem miejscowego Koła SPK. Różne pełnił w nim funkcje, ale jego prawdziwą chlubą jest miejscowy Dom Kombatanta. Uparł się, by go mieć i dopiął celu. Wysiłkiem miejscowego Koła, ofiarnością grupy działaczy i ich zapobiegliwością powstała placówka, która wzorowo prosperuje. Jest ostoją polskiej działalności w mieście. Pozwala na planowanie polskiej przyszłości dla gromady 300 Polaków. Nie jest to lokal wykwintny, lecz przecież schludny i miły. Nasycony atmosferą działalności społecznej pozwala oprócz rozrywki na realizowanie polskich celów emigracyjnych. Wszystko to jest stałą i żywą troską Michała Brodowskiego, obecnie honorowego kierownika domu. Poza pracą zarobkową w fabryce plastyku, cały wolny czas poświęca działalności kombatanckiej. Traktuje ją jako dalszy ciąg swojej służby wojskowej. Umiął zebrać wokół siebie grono wypróbowanych działaczy, przeważnie także podoficerów i wraz z nimi czuje się odpowiedzialny za wszystko co polskie w Rochdale. Słyszałem o nim kiedyś, że „zaprzedał

duzę kombatantom“. Być może, że to nawet prawda. W każdym razie swoją działalność społeczną traktuje jednocześnie jako obowiązek i powołanie. Konieczność i poświęcenie. Dlatego praca jego ma poważne wyniki.

UPÓR ŚWIĘCI SUKCESY

Gdy się los na człowieka uprze, jedynym skutecznym sposobem jest uprzeć się na los. Tak właśnie postąpił Bruno Bernard Farkus, niegdyś z Katowic a obecnie z Blackpool. Wychowanek warszawskiej Szkoły Nauk Politycznych, myślał o karierze dyplomatycznej i trochę o pisarstwie. Wojna pokrzyżowała te plany. W walkach inwazyjnych 1. Dywizji Pancerniej we Francji, w ramach akcji 24 Pułku Ułanów pod Soupe zostaje ciężko ranny. Leczy się aż do roku 1946 zagrożony inwalidztwem. Gdy wraca przynajmniej częściowo do sił kończy studia w Bailliol College w Oxford. Rozpoczyna praktykę adwokacką, ale nawrót choroby po obrażeniach wojennych znowu staje na przeszkodzie. Mówi: „Koleżdy uważali już, że to koniec. Że do niczego już w życiu nie dojdę. Uparłem się. Nie dałem się chorobie i raz jeszcze rozpocząłem życie na nowo“.

Z Lanark w Szkocji przenosi się do lepszego klimatycznie Blackpool. Jest rok 1949. Zaczyna od małego „boarding house“ i pracy jako agent ubezpieczeniowy. Stopniowo wyrabia sobie pozycję i niezależność. W roku 1958 nabywa stare biuro kupna i sprzedaży nieruchomości. Interes okazuje się szczęśliwy. Szybko się dorabia. Wkrótce zakłada drugą firmę budowy domów. Parę lat powodzenia i staje się jednym z zamożniejszych kupców w tym bogatym mieście. Dziś ma dużą pozycję wśród Polaków i wśród Anglików. Obroty przedsiębiorstwa idą już w setki tysięcy funtów rocznie.

Mimo młodego jeszcze wieku, bo zaledwie 46 lat myśli już o emeryturze. Oświadcza, że ma dość pieniędzy, aby przestać o nie się ubiegać. Resztę życia pragnie poświęcić osobistym zamiłowaniom.

Tak to dzięki uporowi i silnej woli z pokrzywdzonego przez los inwalidy stał się potentatem finansowym w dużym angielskim mieście. Zapewnił rodzinie dobrobyt a jako Polak dał początki miejscowej polskiej szkole, w której przez parę lat sam uczył dzieci polskiej mowy i piosenek. Teraz postanowił zorganizować tych Polaków, których nie obejmuje działalność popularnego w Blackpool Stowarzyszenia Lotników. W czerwcu br. stanął na czele komitetu organizacyjnego Koła SPK. Z góry można powiedzieć, że i to przedsięwzięcie na pewno uwieńczy sukces.

Jednym z największych niepokojów współczesnego człowieka jeżeli chodzi o jego zdrowie, w warunkach dzisiejszej pracy, połączonej przeważnie z pośpiechem — są choroby serca. Jedną z chorób serca, której najczęściej zdrowy człowiek „spodziewa się“ jest dusznica bolesna, czyli angina pectoris.

Jest to choroba, która przejawia się paroksyzmami bólu w klatce piersiowej. Ból ten jest powodowany przez impulsy elektryczne, które powstają w sercu i przeszkadzają w normalnym obiegu krwi w mięśniu sercowym. Impulsy te z kolei powodują niedobór tlenu w mięśniu. Spazm mięśnia sercowego powoduje zły obieg krwi, który znów zatrzymuje tak zwany „współczynnik bólu“ w obrębie mięśnia sercowego, czyli, ogniskuje cały ból, któryby inaczej się rozszedł.

Angina pectoris jest zjawiskiem częstszym u mężczyzn niż u kobiet i zdarza się raczej u ludzi powyżej lat 50-ciu. Ataki bólu zaczynają się oraz kończą raptownie. Są wywołane przez wysiłek, czasami nawet niewielki. Na przykład: w poważnych wypadkach

Gawędy lekarskie

ANGINA PECTORIS

— przez przejście kilku metrów, a nawet przez przekręcenie się z boku na bok w łóżku, przez ożywioną rozmowę, nagły hałas, lub obfity posiłek. Ból zaczyna się w samym środku klatki piersiowej i może promieniować do lewego ramienia, lewej ręki, lewej strony szczęki i lewej strony szyi, a czasami także może przejść i na prawą stronę. W niezwykle rzadkich wypadkach zdarzyć się może, że nie ujawnia się ból klatki piersiowej, a boli tylko szczęka, szyja lub ręka. Poza bólem chory na angina pectoris odczuwa coś w rodzaju zacisku w klatce piersiowej, który jest prawdopodobnie spowodowany przez skurcz małych mięśni międzyżebrowych. Ataki mogą trwać od kilku zaledwie sekund do kilku minut.

Przedstawiając symptomy prawdziwej anginy pectoris, chcę podkreślić, że nie każdy ból o wyżej opisanym symptomach musi koniecznie być symptomem najgorszego — czyli dusznicy bolesnej.

Często spotyka się pacjentów, którzy wchodzi do gabinetu lekarskiego i już od progu oznajmiają z ogromną pewnością siebie: panie doktorze, wiem, że cierpię na angina pectoris.

Na pociechę takim pewnym swej choroby pacjentom powiedzieć mogę, że najczęstszą przyczyną bólów w klatce piersiowej jest zwyczajna niestrawność. Anglikom zdarza się to przeważnie z powodu niestrawnych, niedogotowanych i niezdrowych potraw, Polakom zaś — przeciwnie — z umiłowania zbyt dobrej i za bogatej kuchni. Często spotykamy ból lewej połowy klatki piersiowej, który także nie ma nic wspólnego z dusznicą bolesną, a jest przejawem czysto nerwowym. Osobą cierpiącą na ów lewostronny ból będzie przeważnie kobieta, która od lat „choruje na nerwy“. W przeciwieństwie od prawdziwej dusznicy bolesnej, odczuwa ból (nawet siedząc bez ruchu), w miejscu gdzie sędzi, że powinno znajdować się jej serce, Twierdzi też, że jest wyczerpana, że ma trudności w oddychaniu, często się poci i odczuwa drżenie w całym ciele. Przy badaniu lekarz nie wykrywa żadnego schorzenia serca, czy naczyń krwionośnych, ale za to ma często trudności

ci w wyleczeniu jej z jej ulubionej choroby serca, gdyż taka pacjentka „wie lepiej“.

Często laicy zainteresowani chorobami serca u siebie samych czy u swoich bliźnich mieszają dwa pojęcia: dusznicy bolesnej i zawału serca. Są to dwie odmienne choroby. Zawałem serca zajmiemy się bliżej w specjalnej gawędzie.

Ból w mięśniach między żebrami, który tak łatwo niektórzy pacjenci uważają za poważne schorzenie serca, może mieć nieskończoną ilość innych jeszcze przyczyn, jak na przykład, by wymienić tylko kilka: artretyzm, neuralgia, zapalenie mięśni, zapalenie opłucnej, odma płuc, a często półpasiec, w stadium przedwysypkowym.

Przerażonemu pacjentowi bardzo jest czasem trudno wytłumaczyć, że te tak dokuczliwe i przerażające go „bole sercowe“ mogą być również spowodowane tak zwaną „kolką“ (Colic) w organach takich jak woreczek żółciowy lub kiszki a nawet stosunkowo częstym przypadkiem przepukliny przełyku (przez przeponę). Jeszcze jednym objawem, który może niepokoić pacjenta, że „to na pewno serce“ jest skurcz przełyku, który ustępuje pod wpływem wypicia szklanki jakiegokolwiek płynu.

Opisałem te wszystkie, nawet dość rzadkie wypadki dlatego, aby czytelnicy mogli się sami zorientować, że nie każdy ostry ból w klatce piersiowej jest tym, czego tak bardzo się boją, czyli angina pectoris. A na pocieszenie mogę tylko dodać, że nawet w wypadku istotnej anginy, człowiek nią dotknięty może żyć przez wiele lat i zakończyć swe życie na zupełnie innej dolegliwość.

Leczenie anginy pectoris można podzielić na dwie zasadnicze części: leczenie i zapobieganie.

1. LECZENIE ATAKU DUSZNICY BOLESNEJ

Najpopularniejsza i najskuteczniejsza jest pigułka „trinitrin“ rozpuszczalna pod językiem, lub też ampulka amyl nitrite, którą można rozgnieść w chusteczce i zawartość — w formie oparu wciągnąć przez nos. Przy użyciu jednego z tych dwóch leków następuje natychmiastowa ulga w

Po zgonie Adama Romera

W Marsden Hospital w Londynie zmarł 14 sierpnia Adam Romer, były dyrektor biura prezydialnego Rady Ministrów z okresu wojny.

A. Romer urodził się 5 stycznia 1892 w Inwałdzie koło Krakowa i kształcił się w Wiedniu. Był jeńcem w Rosji i po rewolucji bolszewickiej dołączył do Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego pod przewodnictwem Władysława Raczkiewicza, późniejszego Prezydenta. Jako rotmistrz brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1919—1920. Po wojnie był attaché wojskowym w Helsinkach i w Brukseli. Za rządów Władysława Grabskiego był szefem prasowym Rady Ministrów. W latach przedwojennych, jako dziennikarz, był wiceprezesem Syndykatu Dziennikarzy Polskich i sekretarzem generalnym Związku Pisarzy Katolickich.

W 1939 r. znalazł się w Angers. Gen. Sikorski mianował go dyrektorem biura prezydialnego Rady Ministrów. Na tym stanowisku pozostał do końca 1944 r. W roku 1945 zdecydował się pozostać na emigracji i walczyć piórem o sprawę polską. Pracował jako dziennikarz w redakcji „Intelligence Digest“ i „Weekly Review“. Ponadto współpracował z angielską prasą katolicką, pisywał wiele do prasy szwajcarskiej i zachodnio-niemieckiej. Znany był w kołach dziennikarzy zagranicznych jako aktywny uczestnik konferencji prasowych, organizowanych przez Foreign Press Association dla osobistości zagranicznych.

Pogrzeb jego odbył się 20 sierpnia na cmentarzu Gunnersbery pod Londynem, a wśród licznych grona przyjaciół m.in. wzięli w nim udział pani Helena Sikorska, gen. Marian Kukiel, prezes Tadeusz Bielecki, dyr. Józef Zdrański z Polskiej Sekcji BBC.

bólu. Jasnym więc jest, że ludzie cierpiący na prawdziwą angina pectoris powinni zawsze mieć jeden z tych dwóch środków przy sobie. Jeżeli jednak tych dwóch leków nie ma się przy sobie — to jedna do dwóch uncji koniaku lub whisky są bardzo pomocne.

2. ZAPOBIEGANIE ATAKOWI:

Na rynku farmaceutycznym mamy teraz środki, o długotrwałej skuteczności, za pomocą których można zapobiegać atakowi. Te lekarstwa winny być zżywane dwa lub trzy razy dziennie, w zależności od preparatu i oczywiście, tak jak i poprzednie, pod ścisłym nadzorem lekarskim. Ponieważ ludzie dotknięci anginą pectoris są nieraz w złym stanie nerwowym — środki uspakajające są też wskazane.

W ostatnich latach chirurgia zaczęła się interesować schorzeniem angina pectoris i badać czy byłoby możliwe zapobieżenie jej przez operację. Idąc po linii ulżenia pacjentowi w bólu — teoretycznie można zastosować dwie metody. Pierwsza z nich to teoria, że jeśli udałoby się przerwać unerwienie mięśnia sercowego — pacjent przestanie odczuwać ból. W niektórych, dość rzadkich wypadkach, gdy unerwienie serca zostało w jakimś punkcie przerwane — zabieg ten przynosi ulgę pacjentowi. Druga teoria — to zwiększenie obiegu krwi w mięśniu sercowym, gdyż jak na początku wspomniałem — jedną z przyczyn duszniczy bolesnej jest zły obieg krwi w mięśniu sercowym. Serce jest otoczone dwoma błonami niezrośniętymi z sobą — czyli osierdziem. Jest znanym faktem w chirurgii, że gdy dwie powierzchnie zostaną podrażnione, zrastają się razem po pewnym czasie wytwarzając w ten sposób nowe naczynia krwionośne. Ta teoria została zastosowana w przypadkach anginy kiedy sztucznie podrażniono obie powierzchnie osierdza. Po pewnym czasie, tak jak przewidywano, powierzchnie te zrosły się i wytworzyły nowe naczynia krwionośne. Zabieg ten jest stosowany w niektórych wypadkach bardzo ciężkiej anginy pectoris, to jest takiej, na którą żadne farmakologiczne leki nie pomagają. Te operacje jednak są niezmiernie rzadkie i trudne i raczej jeszcze należą do dziedziny doświadczalnej.

Dr Michał

KAZIMIERZ GLABISZ

POMOC „BUNDESWEHRY“ DLA KRAJÓW AFRYKAŃSKICH

AFRYKA, bogata w surowce i stopniowo się emancypująca, przypomina ponętą i posażną debutantkę, o której względu ubiega się coraz więcej rywali, w miarę możliwości sobie przeskadzających.

O tym, że próbują nią się „zaopiekować“ i Paryż i Londyn i Waszyngton, a z drugiej strony Pekin i Moskwa, wspierana przez Pragę i Warszawę, wiadomo powszechnie. Mało znany jest natomiast fakt, że od kilku lat także Bonn dołączył do owego grona głównych rywali, nie ograniczając się przy tym do współzawodnictwa w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej, lecz szukając zbliżenia także przy pomocy „prezentów“ militarnego typu.

Jak zapewnia prasa niemiecka, kierownicze czynniki NRF niechętnie i dopiero po długim wahaniu na to się zdecydowały, obawiając się, że świat zrozumie opacznie choćby skromne zaangażowanie „Bundeswehry“ poza Europą. Tym bardziej, że właśnie w Afryce Niemcy miały kiedyś swoje główne kolonie. Ostatecznie jednak rząd boński uległ rzekomej presji kilku państw afrykańskich i zachętom ze strony sojuszników.

Czy te naciski i namowy były istotnie silne i uporzeczywe, nie sposób stwierdzić. Faktem jest, że od kilku lat „Bundeswehr“ pomaga już kilku państwom i państewkom afrykańskim — wprawdzie nie w skali szerokiej, ale przeważnie rosnącej. Tak więc na rok 1964 przewidziano w budżecie „Bundeswehr“ na sprzętową i szkoleniową pomoc dla Afryki tylko 20 milionów marek, ale na rok 1965 już 160 milionów marek, przy czym zaznaczono, że wysokość kredytów na 1966 roku zależeć będzie od stopnia i szans realizacji prowadzonych obecnie akcji.

Pod koniec ub. roku zasięg i rezultaty tej wojskowej pomocy przedstawiały się następująco:

Pierwszą umowę tego typu zawarł rząd NRF z Sudanem i to w grudniu 1961. Umowa ta przewiduje pomoc w wystawieniu 6 baonów ochrony pogranicza, przy czym NRF dostarcza tylko broni obronne, jak granatniki, karabiny, pistolety maszynowe i karabiny maszynowe, amunicję do nich oraz samochody wojskowego typu. Broni ofensywnych i ciężkich nie dostarcza, natomiast pomaga w uruchomieniu wojskowych warsztatów naprawczych oraz fabryki amunicji. Niezależnie od tego ma u siebie przeszkolić co najmniej 130 sudańskich instruktorów i specja-

listów wojskowych. Plan ten ma być w ciągu 5 lat wykonany kosztem 120 milionów marek niemieckich, w 1/3 przez Sudan pokrytym.

Umowa zawarta nieco później z ongi francuską Guineą jest skromniejsza, obejmuje bowiem tylko pomoc w wystawieniu oddziału pionierskiego, dostarczenie sprzętu potrzebnego do budowy dróg, uruchomienie fabryki mundurów i skórzanego ekwipunku oraz przeszkolenie 75 żołnierzy w Niemczech, niezależnie od szkolenia przez małą niemiecką misję na miejscu. Na zrealizowanie tego planu przewidziano 30 milionów marek w dwu transzach.

Umową z Nigerią różni się od innych o tyle, że całość kosztów wzięt ten bogaty kraj na siebie. Dotyczy ona wprawdzie tylko pomocy w tworzeniu lotnictwa, ale za to w szerokiej skali. Nigeria otrzymała już 26 samolotów szkolnych, a niebawem ma otrzymać 30 samolotów łącznikowych i 10 samolotów transportowych. Czy otrzyma także odrzutowe myśliwce, jeszcze nie jest pewne. Grupa doradców i instruktorów niemieckich, wysłanych do Nigerii, liczy już 42 i ma być zwiększona. Niezależnie od tego szkoli się lub już wyszkolono 76 pilotów nigeryjskich oraz ponad 110 naziemnych specjalistów i techników lotniczych.

Z Somalią zawarto i realizuje się nadal umowę dotyczącą zorganizowania policji, natomiast zrezygnowano w ostatniej chwili z zawarcia umowy w sprawie pomocy w tworzeniu wojska, gdy Moskwa udzieliła Somalii na ten cel kredytu w wysokości 120 milionów marek, a więc przeszło trzykrotnie większego, niż chciała dać NRF. Nadal obowiązująca umowa w sprawie pomocy przy formowaniu policji jest stosunkowo skromna, przewiduje bowiem tylko dostarczenie broni ręcznej, sprzętu łączności i samochodów, wyszkolenie 40 policjantów w Niemczech i uruchomienie jednego warsztatu naprawczego — kosztem zaledwie 7.5 milionów marek.

Umowa z Madagaskarem spowodowała przeszkolenie 55 oficerów i podoficerów w Niemczech oraz dostarczenie 6 nadbrzeżnych motorówek patrolowych.

Z Libią wprawdzie dotychczas umowy nie zawarto, jednak wyszkolono już w Niemczech 10 pilotów oraz 10 speców łączności lotniczej.

Umowa z Tanzanią, zawarta w lipcu 1964 roku, została w lutym br. przez Bonn zerwana wobec uznania przez Tanzanię Niemieckiej Republiki Demo-

kratycznej i jej konsulatu generalnego w Dar es Salam. Umowa ta przewidywała dostarczenie na razie 20 samolotów łącznikowych, 12 do 16 samolotów transportowych i 6 łodzi patrolowych, pomoc w organizowaniu jednostek lotniczych oraz szkolenie lotniczego i marynarskiego personelu w Niemczech. Na wykonanie pierwszej transzy tej pomocy przewidziano 40 milionów marek. W jakim stopniu została ona przed jej zerwaniem wykonana, nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że Tanzania odrzuciła zaofiarowaną po wycofaniu się „Luftwaffe“ pomoc Izraela i powierzyła misję tworzenia jej lotnictwa Kanadzie.

Czy toczące się od dłuższego czasu rokovania w sprawie pomożenia Etiopii w reorganizacji jej korpusu ochrony pogranicza i policji doprowadziły wreszcie lub doprowadzą do zawarcia umowy, na razie nie wiadomo.

Na zakończenie tej już dość długiej litanii państw i państwów afrykańskich, otrzymujących wojskową pomoc Niemiec Zachodnich, trzeba jeszcze wspomnieć o Egipcie, choć udzielana mu pomoc nie miała oficjalnego charakteru i ostatnio była rzekomo przez rządowe czynniki NRF zwalczana i utrudniana. Pomoc ta, udzielana przez kilka lat przez bardzo licznych niemieckich speców lotniczych i raketowych została wprawdzie ostatecznie przez Namera niemal całkowicie zlikwidowana, była jednak tak doniosła dla uruchomienia egipskiego przemysłu lotniczego i raketowego, że nie można o niej nie wspomnieć. Była ona na pewno przejawem niemieckiej ekspansji i penetracji.

Że ekspansja ta nie ogranicza się tylko do odcinka wojskowego, lecz przejawia się jeszcze szerzej na odcinku gospodarczym, dodawać nie warto.

Opisana powyżej ekspansja natury wojskowej nie doprowadziła wprawdzie nigdzie do zdobycia przez „Bundeswehr“ jakiegoś monopolu wpływów i dostaw przy tworzeniu afrykańskich sił zbrojnych i nie przybrała niepokojących rozmiarów, niemniej świadczy o tym, że mimo kłeski prestiż niemieckiego oręża, lotnictwa i systemu wojskowego szkolenia nie bardzo ucierpiał i także w Afryce znów wzrasta.

Mimo to nie wydaje się, by „Bundeswehr“ gdziekolwiek i kiedykolwiek zdobyła w Afryce obsolutny monopol kształtowania lokalnych sił. Ma zbyt licznych rywali, nie mówiąc już o tym, że państwa afrykańskie wolą się nie angażować i biorą pomoc skąd się da, a ponadto chyba pamiętają o tym, że Niemcy bynajmniej nie dobrowolnie wyzbyły się swych byłych kolonii.

Kazimierz Głabisz



DRUGA

WŚRÓD wielu polskich pamiątek we Francji z czasów ostatniej wojny, na pierwszy plan wysuwają się dwa wojenne cmentarze — I Dywizji Grenadierów w Dieuze (Lotaryngia) i I Dywizji Pancerniej w Langannerie (Normandia). Pierwszy przypomina tragiczne załamanie się Francji w 1940 roku, drugi — zwycięską bitwę w 1944 o Normandię, a więc o Francję i o całą Europę zachodnią.

Położone na kresach wschodnich i zachodnich Francji, cmentarze te stały się po wojnie miejscem pielgrzymek i polskich manifestacji patriotycznych, odbywających się z reguły w rocznice walk. Tam padają słowa przypomnienia naszego wysiłku zbrojnego, naszych zawiedzionych nadziei, naszych ciągle jeszcze nie spełnionych zadań. Tam przede wszystkim uzewnętrznia się nie-

podległościowa postawa polskiego społeczeństwa we Francji.

I oto te święte dla każdego Polaka miejsca reżim uznał za ważne dlań punkty strategiczne, które postanowił opanować za wszelką cenę. Ich posiadanie bowiem uważa za niezbędne dla powodzenia swej akcji, zmierzającej do rozbicia polskiego obozu niepodległościowego we Francji i zneutralizowania istotnej jego siły — związków kombatanckich.

Ale zamysły reżimu spaliły na panewce — cmentarze nie opanował. Pierwszy z nich pozostaje pod opieką niepodległościowych związków kombatanckich, drugim opiekuje się rząd francuski. Nie jednak nie powstrzymało reżimu przed profanacją tych świętych miejsc. Wdarł się na nie brutalnie i wykorzystuje je jako trybunę komunis-

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



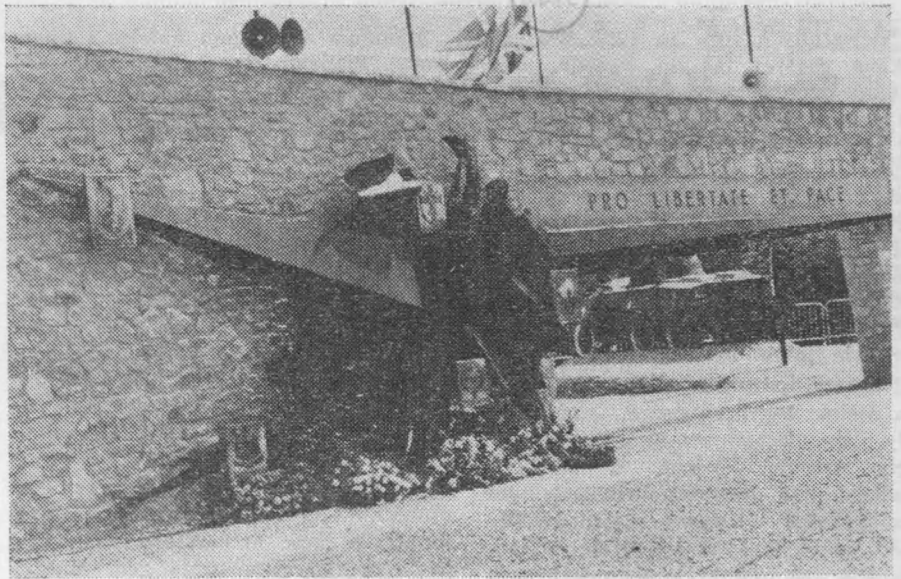
HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. — .

Tel. FRE 7888

Biurow Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.

OFENSYWA PIERWSZEJ PANCERNEJ



Fragment Pomnika 1 Dywizji Pancernej na „Maczudze“

tycznej propagandy i bazę wszelkiej dywersyjnej roboty wśród polskiej emigracji. Tak więc, cmentarze wojenne przekształciły się w pole politycznych zmagania komunistycznego reżimu i polskiego obozu niepodległościowego. Historia tych zmagania jest już długa i niezmiernie pouczająca.

W pierwszym rządzie reżim postanowił opanować cmentarz w Dieuze. Dążył bowiem do jak najszybszego zatarcia śladów sojuszu Moskwy i komunistów całego świata z Hitlerem. Chciał jak najprędzej wymazać z pamięci ludzkiej fakt, że w 1940 roku złożył i samoloty niemieckie siał śmierć w szeregach polskich grenadierów w oparciu o dostawę benzyny sowieckiej. Od razu więc po wojnie zaczął organizować na cmentarzu własne manifestacje, nie szczędząc przy tym ani wysiłków ani pieniędzy. Były lata, gdy wynajmował w Lotaryngii do stu autokarów i każdemu proponował bezpłatny przejazd na manifestację. Ale autokary były wypełnione wyłącznie Algierczykami i francuskimi komunistami; Polacy w tych ponurych widowiskach udziału nie brali.

To oczywiście kompromitowało całe przedsięwzięcie — zarówno w oczach Polaków, jak i ludności francuskiej. Mimo to przez dziesięć lat reżim z uporem stosował tę „próbę sił“, wciąż liczył na „zmiękczenie“ polskich emigrantów. W końcu jednak przyszedł do przekonania, że „próbę sił“ będzie stale przegrywał. Toteż radykalnie zmienił swą taktykę. Odtąd dążył do włączenia się do manifestacji niepodległościowych. W tym celu uciekał się do całego wachlarza niewybrednych środków — od szantażu i usiłowań przekupstwa aż do wywierania nacisku za pośrednictwem lokalnych władz francuskich. Ale i te metody zawiodły sromotnie.

Tak więc i w drugim powojennym dziesięcioleciu w dalszym ciągu na

cmentarzu odbywały się dwie manifestacje: zawsze imponująca manifestacja niepodległościowa, a tydzień później — widowisko reżimowe. To ostatnie z roku na rok coraz skromniejsze, coraz bardziej mikroskopijne. W Lotaryngii bowiem już od dawna Algierczyków nie ma, a francuskim komunistom już się ta zabawa nudziła.

W roku bieżącym, niepodległościowy obchód 25-ej rocznicy walk zapowiadał się wspaniale. Wiadomo było, że weźmie w nim udział b. dowódca Dywizji Grenadierów, gen. B. Duch i że nabożeństwo odprawi ks. infulat K. Kwaśny, rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Wiadomo też było, że w dniu 20 czerwca zjawią się w Dieuze delegacje i poczty sztandarowe niemal wszystkich organizacji niepodległościowych.

Jak zwykle, reżim zawczasu zapowiedział własną manifestację na następną niedzielę. Wiedział jednak, że tym razem „próba sił“ wypadnie dlań zbyt kompromitująco. Toteż w ostatniej chwili, na parę dni przed manifestacją niepodległościową, reżimowa ambasada w Paryżu telefonuje nagle do burmistrza Dieuze i oświadcza, że odwoła własną manifestację, jeśli „ambasador będzie mógł złożyć wieniec w czasie manifestacji 20 czerwca i uściskać dłoń generała Duchá“.

Ale ten podstęp także się nie udał. W rezultacie odbyły się dwie manifestacje. W manifestacji niepodległościowej wzięło udział przeszło 4.000 osób i około stu sztandarów. Imponujący pochód bezlitośnie zadawał kłam propagandzie reżimowej, że we Francji już nie ma polskiej emigracji politycznej, że pozostała jedynie „garstka reakcjonistów, skupiona w domu przy ulicy Legendre w Paryżu“.

Tydzień później odbywała się „manifestacja“ reżimowa. Zebrały się tylko same „osobistości“ — w sumie kilkadziesiąt osób. W „pochodzie“ szedł jeden jedyny sztandar — miejscowych kombatantów francuskich. Reżimowy ambasador nie przybył na „manifestację“ — wyręczył się znanym paxowcem Wojciechem Kętrzyńskim. Główne zaś przemówienie wygłosił Francuz, przedstawiciel komunistycznej organizacji „France-Pologne“. Wyrzucił on nadzieję — cytując dosłownie — że „w przyszłości będzie się odbywała w Dieuze każdego roku jedna, wspólna manifestacja, w której obok nas wezmą udział przedstawiciele wszystkich Polaków we Francji, a w szczególności wszystkich byłych kombatantów polskich, jakiegokolwiek byłyby ich koncepcje i poglądy polityczne“.

Było to żalosne przyznanie się do klapy, do bezsilności. Po wojnie, I Dywizja Grenadierów odnosi w Lotaryngii zwycięstwo za zwycięstwem. Odnosi je mimo niebezpiecznego skłócenia miejscowych działaczy niepodległościowych. Na szczęście, nad tym terenem czuwa wspaniały człowiek — ks. kanonik Hieronim Olszewski, dziekan wschodniej Francji.

Zupełnie inaczej potoczyły się wypadki w Normandii. Po wielkich sukcesach wojennych i bezpośrednio po wojnie, I Dywizja Pancerna była przez dziesięć ostatnich lat w stałym odwrocie. Reżim wypchnął ją z Potigny i Falaise, opanował Langannerie, całkowicie wymiótł z Chambois. Z tego samego Chambois, które całą swoją sławę zawdzięcza wyłącznie polskiej dywizji pancernej.

Jak to się stało, że w ostatnim dziesięcioleciu sławna I Dywizja Pancerna ponosiła w Normandii same polityczne klęski?

Niewątpliwie było to częściowo wynikiem chytrej taktyki reżimu. Wykonanie szczegółowego planu stopniowego opanowywania Normandii powierzono zostało wybitnym agentom MSW 5, Wychowańcowi i Chabrowsowi, którzy pod płaszczykiem działalności „konsularnej” odwiedzali każdy polski dom, różnymi środkami pozyskiwali ludzi i fachowo kierowali ich dywersyjną robotą. Nawet miejscowy prezes Koła SPK, Barylak — w ich ręku stał się nie tyle jakimś atutem.

Niestety, paryskie władze SPK, mimo wielokrotnych ostrzeżeń — nie doceeniły niebezpieczeństwa, na czas nie przeciwdziałały wrzodu. Uciekały się do półśrodków, gdy potrzebne było radykalne cięcie. Toteż reżimowa zaraza rozchodziła się coraz szerzej i coraz szybciej. Wkrótce też całkowicie opanowała polską kolonię w Potigny. Poszło to reżimowi tym łatwiej, że miejscowy polski duszpasterz, ks. Franciszek Zajac, nie przeciwstawiał się mu, nie usiłował wyprowadzić swych owieczek z komunistycznej matni. Wprost przeciwnie — szedł posłusznie za nimi i sam w tej matni uwikłał się zupełnie. Gorzej, uwiaryli, że tak być musi. Że już nie ma odwrotu, że więc trzeba brnąć dalej. Toteż nie tylko głosił, że „cmentarz powinien stać się miejscem pojednania” z bezbożnym komunizmem, pojednania z reżimem i jego agentami we Francji, lecz także w obecności następców Wychowańca i Chabrosa święcił dywersyjny sztandar i uczestniczył w bankiecie młojców, którzy wysyłali depesze hołdownicze do szefa bezpieczeństwa.

To dopiero wielu otworzyło oczy w Paryżu, skłoniło do energicznego działania. Istotnie, uroczystość poświęcenia pomnika na wzgórzu „Maczuga” w dniu 11 lipca br. była przygotowana znakomicie we wszystkich szczegółach. Uroczystość ta stała się olbrzymim politycznym sukcesem I Dywizji Pancerniej i jej dowódcy gen. Maczka oraz całego polskiego obozu niepodległościowego.

Sukces przeszedł oczekiwania największych optymistów. Całkowicie zawiadły usiłowania reżimu, który najpierw chciał włączyć się do manifestacji, a gdy to się okazało niemożliwe — przy pomocy swego aparatu organizował jej bojkot. Bezskuteczna okazała się szeptana propaganda reżimu, zmierzająca do skompromitowania zawczasu gen. Maczka. Nikt nie uwierzył „poufnym wieściom”, rozpowszechnianym we Francji, w Szwajcarii a nawet w Londynie, że gen. Maczek skapitulował i na zaproszenie ZBoWiD-u wybiera się do Polski. Jasne było dla każdego, że ich celem było wprowadzenie w umysłach zamieszania w okresie przygotowań do manifestacji.

Usunięta z Potigny, Falaise i Chambróis, Pierwsza Pancerna zajęła podstawę wyjściową do nowej ofensywy w Argentan, a więc w mieście, w którym przedtem nigdy nie była. Uroczyste nabożeństwo w kościele wypełnionym po brzegi, porywające kazanie po francusku ks. redaktora A. M. Stopy, byłego kapelana pułku dragonów i obecnego kapelana SPK we Francji, prześliczne wykonanie po polsku „Ave Maria” przez „kaprala” Weronikę Bell, pochód przez miasto do pomnika poległych, gdzie gen. Maczek, gen. de Langlade i prefekt złożyli wieńce, przyjęcie na ratuszu i świetne przemówienie miejscowego mera, płk. Sevigny, b. kanadyjskiego ministra obrony, oraz gen. Maczka — pozostawiły niezatarte wrażenia. Ta część uroczystości poprzedzona była złożeniem przez gen. Maczka wieńca przed pomnikiem na cmentarzu Pierwszej Pancerniej w Langannerie. Towarzyszyli mu jego byli żołnierze z generałem A. Grudzińskim na czele.

W godzinach popołudniowych — uroczystości na „Maczudze”: odsłonięcie pomnika, hymny narodowe, przemówienia. Dziesięć tysięcy osób obległo wzgórze. W czasie przemówień cisza, którą nagle przerwał samolot zrzucający z niskiej wysokości bukiet białoczerwonych kwiatów. Po każdym przemówieniu — przewodniczącego Komitetu budowy pomnika, płk. Sevigny, gen. Maczka i ministra R. Triboulet — zrywała się burza oklasków. Dzięki sekcji polskiej Radia Francuskiego oraz sekcji polskiej Radia Wolna Europa — raz jeszcze przypomniano Normandii, Francji i światu, że choć w czasie ostatniej wojny żołnierz polski nie szczędził swej krwi, Polska dotychczas pozostaje w niewoli.

W manifestacji wzięli udział przedstawiciele ambasad sojuszników — Stanów Zjednoczonych, Kanady i W. Brytanii. Dla przedstawiciela nadwiślańskiego reżimu miejsca naturalnie nie było. Nie mogło być. Była to bowiem uroczystość wolności, nie zniewolenia. Wolności, którą naród polski znowu odzyska. Odzyskać musi. Bo jak słusznie powiedział minister Triboulet — krew żołnierska nigdy nie jest przelana na darmo.

Tego samego dnia, płk. W. Zgorzel-ski, który 21 lat temu pierwszy wkroczył do Chambois na czele swych dragonów — otrzymał dyplom honorowego obywatela miasta...

Druga ofensywa Pierwszej Pancerniej raz jeszcze zdobyła Normandię, wymiotła z niej reżim, unieszkodliwiła jego agentów i popleczników. Teraz chodzi tylko o umiejętne wykorzystanie odniesionego politycznego zwycięstwa.

Stanisław Paczyński

W końcu czerwca br. b. żołnierze 2 Dywizji Strzelców Pieszych zorganizowali dwa obchody. Jeden 20. 6. w miejscowości Maiche we Francji w 25-cio lecie walk dywizji stoczonych w rejonie tej miejscowości, oraz drugi 27. 6. w Rapperswil w Szwajcarii w salach polskiego muzeum w 25-cio lecie przekroczenia granicy Szwajcarii, kiedy po zakończeniu walk we Francji, na rozkaz Naczelnego Wodza dywizja przeszła na teren Szwajcarii, gdzie spędziła przymusowo cztery lata internowania. Nie zostały one zmarnowane.

Okres ten to wyjątkowe i jedyne w tym rodzaju dzieje polskiej dywizji na Zachodzie w czasie II wojny światowej. Warto się z nimi, choćby w tym skrócie, zaznajomić.

Dotychczas żołnierze żyli myślą o odwiecie na Niemcach za brutalny napad na Polskę i mieli przed sobą jasny cel dalszej walki o niepodległość Polski. Po klęsce Francji, przymusowym złożeniu broni i internowaniu na terenie Szwajcarii — wszystko to legło w

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2 •
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

WOJSKO POLSKIE W SZWAJCARII

gruzach. Przed żołnierzami pozbawionymi możności walki wytworzyła się pustka z widmem moralnego załamania się.

Oddziały zostały zakwaterowane w różnych miejscowościach batalionami (dywizjonami), czasem pojedynczymi kompaniami. Dowódców oddziałów wraz z oficerami pozostawiono razem z szeregowymi, nakładając na nich obowiązek utrzymania dyscypliny i porządku wśród żołnierzy. Było to ciężkie i trudne zadanie opanowania nastrojów, wskazania żołnierzom celu i zakresu pracy na internowaniu zgodnie z obowiązkiem żołnierskim, z myślą, by nie tylko zachować ale i wzmocnić siły moralne i fizyczne oraz zdolność do dalszej walki, gdy nadejdzie możliwość podjęcia jej na nowo, a równocześnie, w obcym kraju wyrobić jak najlepszą opinię o Polsce. Przepięknie ujął te obowiązki Ignacy Paderewski (przebywający wówczas w Szwajcarii) w swoim liście do dowódcy i żołnierzy dywizji.

Izolowanie dowódcy dywizji z jego sztabem w początkowym najtrudniejszym i krytycznym momencie uniemożliwiło mu kontaktowanie się z oddziałami i kierowanie ich pracą. Skazywało to poszczególnych dowódców oddziałów na wykonywanie tych trudnych zadań bez żadnej pomocy z zewnątrz.

Najważniejszym problemem było utrzymanie możliwie wysokiego poziomu moralnego wśród żołnierzy, umożliwiającego im dobre zachowanie się i podtrzymującego dobry nastrój u nich, oraz karność, umożliwiającą utrzymanie ładu i porządku w rejonach zakwaterowania. Dowódcy starali się to osiągnąć przez odpowiednie metody i środki pracy wychowawczej, przez interesujący program codziennych zajęć oraz szeroko rozbudowaną pracę kult.-oświatową. W wielu oddziałach oprócz wychowania fizycznego i musztry, program zajęć obejmował coś w rodzaju powszechnego uniwersytetu ludowego, przy wykorzystaniu wszystkich oficerów i szeregowych z cenzusem do prowadzenia pogadanek na najróżnorodniejsze tematy oraz kursy języków obcych i doskonalące języka polskiego.

Z nielicznymi wyjątkami udało się w oddziałach opanować nastroje i w krótkim czasie podnieść poziom moralny żołnierzy. Poziom ten podnosił się z każdym rokiem dając w wyniku wzorowe zachowanie się żołnierzy i wyrabianie przez nich jak najlepszej opinii o Polsce u ludności szwajcarskiej. A

stwierdzić należy, że opinia ta, urabiana przez lata drogą zakrojonej na szeroką skalę propagandy niemieckiej, była w momencie naszego przybycia do Szwajcarii jak najgorsza. Często byliśmy zdumieni wypowiedziami o Polsce i Polakach ludzi wykształconych, zajmujących różne stanowiska, nawet wysokie. Jak bardzo zmieniła się ta opinia po kilku latach naszego pobytu na terenie Szwajcarii, świadczy o tym najlepiej fakt, że pułkownik szwajcarski z Komisariatu Internowania kiedyśmy rozmawiali na ten temat oświadczył, że rząd polski nawet po wydaniu miliona franków na propagandę, nie osiągnąłby tego, co osiągnęli żołnierze dywizji dla Polski przez swe wzorowe zachowanie się, a ta dobra opinia o Polsce pozostanie w Szwajcarii żywa przez co najmniej dwa pokolenia.

W dziedzinie pracy kult.-oświat. powstają chóry i teatry żołnierskie, dla zapewnienia żołnierzom godziwej rozrywki. W dziesiątkach koncertów i przedstawień organizowanych również dla ludności szwajcarskiej, jest ona zaznajamiana z polską pieśnią, muzyką i kulturą. Starannie były organizowane obchody świąt narodowych i kościelnych. Przez naukę o Polsce podnoszone jest uświadomienie narodowe wśród żołnierzy oraz umiłowanie własnego kraju. Organizowane były i pięknie ozdabiane w stylu polskim świetlice żołnierskie, w których urządzano „żywe dzienniki i wieczory świetlicowe, obchody świąt narodowych i kościelnych, a na codzień były miejscem gdzie żołnierze mogli spędzać wolne chwile na czytaniu czasopism, słuchaniu radia i miłej koleżeńskej pogawędce.

Prowadzona wytrwale praca kult.-oświatowa po upływie 1-go roku internowania dała już widoczne wyniki. Minął okres niebezpieczny. Żołnierze otrząsnęli się z klęski 1940 roku. Z codziennej pozytywnej pracy zrodziła się wiara w lepszą przyszłość. Stopniowo zmniejszało się pijaństwo i gra w karty. Żołnierze zdobyli się na ofiarny wysiłek niesienia pomocy kolegom w niewoli niemieckiej oraz rodzinom we Francji i w Kraju. Ofiarność ta utrzymana przez cały okres internowania na wysokim poziomie dała następujące piękne wyniki: na pomoc dla dzieci i rodzin żołnierzy-emigrantów polskich we Francji, dla dzieci w Polsce, dla jeńców polskich w Niemczech, dla Polaków w Rosji, dla internowanych Polaków w Hiszpanii, na odnowienie pomnika Tadeusza Kościuszki w Solurze, dla chorych kolegów-

żołnierzy w szpitalach szwajcarskich, na budowę nagrobków dla zmarłych żołnierzy 2 dywizji, składki oficerów i aspirantów na pracę kult.-oświatową dla żołnierzy dywizji — zostało zebrane do dnia 30 czerwca 1944 ogółem 320.966.00 fr. szw., 717.285.00 fr. fr. i £572.00.

ZMIENIONE WARUNKI PRACY KULTURALNO-OŚWIATOWEJ

Po upływie 1-go roku internowania warunki życia żołnierzy zmieniły się gruntownie. Ilość żołnierzy zatrudnionych przy pracach w ramach gospodarstwa szwajcarskiego była dotychczas nieduża i czas żołnierzy niezatrudnionych trzeba było wypełniać najróżnorodniejszymi formami nauczania i pracy kult.-oświatowej. Od lata 1941 roku zostało zorganizowane zatrudnienie dla wszystkich żołnierzy, przede wszystkim przy przygotowywaniu nieużytków pod uprawę, przy budowie dróg i regulacji rzek.

Duże dotychczas obozy liczące po kilkuset żołnierzy są dzielone na małe grupy robocze po kilkudziesięciu ludzi i rozsyłane do poszczególnych robót. Rozpadają się chóry, zespoły teatralne i orkiestrowe i fachowo przygotowane zespoły do prowadzenia pracy kulturalno-oświatowej. Trzeba opuszczać dobrze zorganizowane i pięknie udekorowane świetlice. Jednak w nowych warunkach rola świetlicy staje się bodaj ważniejsza niż dotychczas. W niej skupia się całe życie małego obozu, gdzie po powrocie z pracy zbierają się żołnierze by słuchać radia i najnowszych wiadomości ze świata, przeglądać gazety, zagrać z kolegami w szachy, warcaby czy domino, wypożyczyć książkę do czytania, posilić się dodatkowo w spółdzielni żołnierskiej lub zakupić drobiazgi potrzebne w codziennym życiu. Spółdzielnia żołnierska mieszcząca się zwykle w świetlicy, stała się nieodłączną towarzyszką żołnierzy w większości obozów, a zarazem źródłem funduszków niezbędnych na urządzanie i prowadzenie świetlic, oraz inne potrzeby pracy kult.-oświat.

W oparciu o zdobyte dotychczas doświadczenia oraz po zasileniu obozów absolwentami kursów dla instruktorów i kierowników pracy kult.-oświatowej w zmienionych warunkach regularnego zatrudnienia żołnierzy, intensywność tej pracy jest nadal podtrzymywana, przy odpowiednim dostosowaniu jej form do zmienionych warunków życia.

Specjalnym kierunkiem działalności kulturalnej żołnierzy dywizji było wy-

konywanie wyrobów rzeźbiarskich z drzewa i metalu, ręczne malowanie na szkle i porcelanie artystycznych ozdób choinkowych oraz prac z dziedziny malarstwa, rysunków, grafiki itp. Zorganizowane dwie wystawy tych prac w pierwszym roku internowania były ciekawym przeglądem prac żołnierzy w tej dziedzinie i wzbudziły duże zainteresowanie wśród ludności szwajcarskiej. Zorganizowana dywizyjna centrala obozowych pracowni artystycznych udzielała pomocy technicznej, wzorów i wskazówek, pomocy finansowej w formie pożyczek oraz ułatwiała sprzedaż wykonanych wyrobów.

W setkach domów szwajcarskich pozostały pamiątki, nieraz o dużej wartości artystycznej, ofiarowane ludności szwajcarskiej. Będą one przez długie lata wraz z rozrzuconymi po całej Szwajcarii pomnikami i pamiątkami po kościołach katolickich (obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej lub ryngrafy) ufundowanymi przez żołnierzy dywizji, cennym i trwałym czynnikiem propagandy dla Polski.

Żołnierze wykazali bardzo wiele staranności o wzorowy wygląd obozów. Pomysłowość i artyzm w ozdabianiu obozów na zewnątrz oraz ozdabianiu świetlic były ważnym środkiem dobrej propagandy wśród ludności szwajcarskiej. U żołnierzy wyrabiała to poczucie dumy narodowej i przyczyniało się do podtrzymania dobrych nastrojów.

SZKOLNICTWO WYŻSZE I ŚREDNIE

Kiedy po upadku Francji W. Brytania wyraziła zdecydowaną wolę dalszej walki, można było wnioskować, że wojna może potrwać czas dłuższy, a tym samym pobyt dywizji w neutralnej Szwajcarii. Powstała ogólna troska o to, by czasokres internowania wykorzystać maksymalnie na kształcenie żołnierzy dywizji na wszystkich możliwych poziomach nauczania. Sporządzone zostały w obozach wykazy studentów i maturzystów, którzy chcieliby kontynuować lub rozpocząć wyższe studia. Zgłoszenia wykazały, że jest dostateczna ilość kandydatów do studiów politechnicznych, uniwersyteckich i licealnych. Podjęte w tej sprawie usiłowania doprowadziły do zorganizowania trzech obozów uniwersyteckich:

W Winterthur w oparciu o politechnikę i uniwersytet w Zurychu,

W Grangeneuve w oparciu o uniwersytet we Fryburgu,

W Sirmach w oparciu o wyższą szkołę handlową w St. Gallen oraz obóz gimnazjalny i licealny w Burgdorf, przeniesiony następnie do Wetzikon, z polskim językiem wykładowym.

Po pokonaniu wielu trudności wykłady w obozach uniwersyteckich rozpoczęły się w pierwszych dniach listopada

1940 roku. Do 1945 roku na uczelniach w Zurychu uzyskało dyplomy 164 studentów, a w roku 1946 dodatkowo około 110 dyplomów. Na uczelni we Fryburgu uzyskało 114 dyplomów, a wyższą szkołę handlową ukończyło 48 absolwentów. W obozie licealnym otrzymało świadectwa dojrzałości 185 maturzystów. Większość z nich poszła na wyższe studia do obozów akademickich i 29 z nich otrzymało dyplomy naukowe.

SZKOLNICTWO ZAWODOWE

By i ogółowi szeregowych dywizji dać szansę na wykorzystanie czasu internowania na przygotowanie się do pracy zawodowej zostały zorganizowane kursy szkolenia zawodowego, najpierw przy II baonie 6 p. p., a następnie w dywizyjnym ośrodku szkolenia zawodowego w Matzingen. Kursy trwały od 4-5 miesięcy. Uczniowie zdawali egzamin końcowy przed komisją z udziałem delegata obozu uniwersyteckiego i otrzymali świadectwa z okrągłą pieczęcią 2 dywizji.

W okresie od 1940-1944 roku odbyło się:

7 kursów handlowo-spółdzielczych	z 345 absolwentami,
5 kursów techniczno-kreślarskich	z 203 „
4 kursy techniczno-kreślarskie doskonalące	z 137 „
2 kursy rolnicze	z 98 „
1 kurs motorowy	z 51 „
1 „ szkoły powszechnej	z 27 „
1 „ drogowy	z 41 „
1 „ wodno-melioracyjny	z 19 „
1 „ drogowy uzupełniający	z 28 „
1 „ rolniczy doskonalący	z 16 „

Razem ukończyło kursy 965 absolwentów.

Przy bardzo ofiarnej pracy całej kadry ośrodka szkolenia zawodowego, intensywnie prowadzonej pracy wychowawczej oraz bardzo dużym zapale do nauki uczniów, udało się uzyskać wyjątkowo wysoki poziom kursów.

Ponadto przy obozie akademickim w Winterthur zostały zorganizowane kursy rzemieślnicze: ślusarski, radiotechniczny, elektrotechniczny i techniczno-samochodowy. Kursy ukończyło 193 uczestników, w tym 24 uchodźców cywilnych.

DOKSZTAŁCANIE W ZAKRESIE SZKÓŁ POWSZECHNYCH

Ponieważ stosunkowo duża część żołnierzy dywizji nie posiadała ukończonej pełnej szkoły powszechnej, uruchomione zostały przy pomocy finansowej Y. M. C. A. kursy o programie 7-mio klasowej szkoły powszechnej. Zorganizowano 3 kursy centralne, które ukończyło z uzyskaniem świadectw 295 żołnierzy, oraz przygotowano 120 instruktorów, którzy następnie nauczali na 48-miu kursach w poszczególnych

obozach. Na tych kursach złożyło egzaminy z dodatnim wynikiem 201 żołnierzy. Absolwenci tych kursów mogli zgłaszać się następnie na kursy szkolenia zawodowego lub do obozu licealnego, gdzie mogli zdobyć maturę. Ponadto prowadzono 23 kursy dla anal-fabetów.

Osobny rozdział, to rozliczne prace, wykonane solidnie dla potrzeb gospodarstwa narodowego Szwajcarii. Dały one żołnierzom poczucie, że przyczynili się do gospodarczego rozwoju kraju, który w zmiennych losach wojny przyjął nas do siebie i zjednał nam uznanie i wdzięczność u ludności szwajcarskiej.

Przy tak bogatym dorobku społecznym i kulturalnym — jaki osiągnięto w szeregach dywizji, czego wyrazem są obecnie dziesiątki wysokiej klasy inżynierów, techników, lekarzy i handlowców, zajmujących wysokie stanowiska w Szwajcarii (firmy Sulzer, Ciba, Baden Brovari) — lekarzy (kierownik dużego zakładu psychiatryczne-

go), jak i za oceanami, a nawet w Polsce.

Nie możemy pominąć i pracy w zakresie wojskowym. Rozkaz Naczelnego Wodza śp. gen. W. Sikorskiego wydany dla 2 D. S. P. z sierpnia 1940 roku brzmiał: „utrzymać dywizję zwartą, zdyscyplinowaną — gdyż liczę na jej udział w późniejszym czasie.“ Ten rozkaz rozpoczęto natychmiast realizować.

Na pierwszym miejscu dyscyplina — przez zbiórki, wzorowe oporządzenie żołnierza, schludność kwater, przechodząc powoli do pogadanek, a następnie do prostych ćwiczeń wojskowych szkół podoficerskich i kursów specjalnych (łącznie, minerstwo, broń maszynowa).

Troską zasadniczą — to utrzymanie oficerskiej kadry zawodowej na poziomie wiedzy wojskowej, wymaganej dla danego stopnia, a więc kursy dla d-ców plutonu (w tem i starszych podofic.) — kursy d-ców kompanii i baonów tak w zajęciach teoretycznych jak i praktycznych, w ramach możliwości internowania, a możliwości te zostały z każdym rokiem — mimo że Szwajcaria

będzie neutralną „oficjalnie zabraniała zajęć wojskowych ale na prowadzenie ich patrzyli przez palce szwajcarscy oficerowie placu.“

Kursy wojskowe były firmowane jako handlowe, spółdzielcze. Przy wymaganej ostrożności stawiało się posterunki ostrzegawcze. Dzięki tym kursom przez które przeszło prawie 3/4 oficerów zdolnych do dowodzenia, utrzymano prestige dowódcy i oficera, dając im pewność użycia w dalszej pracy wojskowej.

Skąd brano materiał do tych prac:
— swoje służbowe materiały,
— materiały dostarczane przez attaché wojsk. (ameryk.),
— no i sympatyczni gospodarze pożyczali nam dużo materiału.

Wesołą rzeczą było iż na kursie saperkim używano materiału wybuchowego znacznie więcej niż było potrzebne, a przeznaczonemu do karczowania lasów, gdzie nasi żołnierze pracowali bez dozoru szwajcarskiego. Okolica grzmiała od kanonady, saperzy byli dobrze wyszkoleni, a okoliczna ludność szczerze zadowolona. (Graubinden).

A młodzież? Mając dostateczną ilość młodzieży na uniwersytetach, koniecznością było zorganizować szkoły podchorążych. W obozach studenckich — Wänterthur, Fribourg, St. Gallen, gdzie ponad 250 wyszkolonych podchorążych z egzaminami znacznie zasiliło kadre oficerów dywizji, dając duże możliwości na przyszłość — w którą nie wątpiono.

Praca na odcinku wojskowym — to walory, które dały wysoką dyscyplinę w szeregach żołnierskich i pogłębiły względnie dały wiedzę o'brzymiej części kadry w oddziałach.

Myśmy jako starsi d-cy mieli możliwość obserwować i oceniać — niemniej i władze szwajcarskie oceniały dodatnio te zajęcia „neutralne“, czego dowodem była opinia wyrażona przez Nacz. Wodza Armii Szwajcarskiej gen. Guizana, kiedy wizytował d-cę i sztab dywizji w 1941 roku na postoju w m. Huttwil.

Oto najważniejsze dziedziny pracy tak kulturalnej, zawodowej jak i wojskowej, dzięki której żołnierze dywizji nie tylko dobrze przetrwali okres internowania, lecz i znacznie wzbogacili swoje umysły, podnieśli swój moralny poziom, pogłębili i utrwaliли uświadomienie narodowe, pogłębili wartości wojskowe, uszlachetnili swoje charaktery i z ufnością patrząc w przyszłość ruszali w świat i przekradali się na teren Francji, gdy zaistniały tam możliwości zgłaszania się do dalszej służby w polskich szeregach żołnierskich.

M. Czoeh

KAZIMIERZ SCHLEYEN

W OBRONIE PRAWDY I FAKTÓW

Uwagi o opowiadaniu „Kobiety w walce o Lwów“

Wyróżniona przez konkurs autorski „Tygodnia“ nowelka pt. „Szpieg“ została w dniu 12 czerwca br. opublikowana pod obiecującym tytułem „Kobiety w walce o Lwów w 1918 roku“ Tytuł ten oraz forma opowiadania współczesnego świadka robi wrażenie pracy dokumentacyjnej. Szczegółowe opisy operujące nazwiskami, godzinami, cytujące dokładnie słowa i nazwy mają jakgdyby charakter dokumentacji i dla nieświadomego Czytelnika tym bardziej wydawać się mogą wiarygodne. W istocie są one tak niewiarygodne, tak sprzeczne z prawdą historyczną, że nie można ich pominąć milczeniem. Ten wytwór fantazji możnaby zignorować gdyby nie fakt, że całe opowiadanie szkaluje Obronę Lwowa, ich uczestników i zupełnie opacznie przedstawia ducha panującego wśród polskiej ludności Lwowa w r. 1918. Cytowani po nazwisku obrońcy oraz anonimowo podani oficerowie bronić się nie mogą, więc ktoś inny winien za nich podjąć się tego zadania. Publicystyka niepodległościowa na Zachodzie zbiera i przekazuje potomności świadectwa pozostałych jeszcze przy życiu świadków historii, których liczba coraz bardziej topnieje. Jest to zaszczytne zadanie i tym bardziej konieczne, że w Kraju publikacje reżymowe prawdę historyczną wypaczają i starają się przekazać ją w sposób tendencyjny i kłamliwy. Specjalną opieką trzeba otoczyć wszystko co jest związane ze Lwowem i Wilnem, bo to temat wyklęty milczeniem w zakneblowanym Kraju. Jeżeli tego obowiązku nie spełnimy, nikt za nas nie uczyni nie może. Publikacje w rodzaju wyróżnionej nowelki „Szpieg“ zadanie to utrudniają i podobne przeszkody w interesie prawdy historycznej należy usunąć.

Pod szumnym tytułem udziału polskich kobiet w walkach 1918 roku, to wszystko co miała autorka do powiedzenia. Nie ma słowa o nieustraszonej Teresie Brzozowskiej, o Helenie Bujwidówniej (Jurgielewiczowej), która odegrała wspaniałą rolę jeszcze w pracy konspiracyjnej, o niestrudzonej Marii Herburtówniej, o ofiarnej Jędrzejowiczowej, o niezapomnianej roli polskiej kobiety w Obronie Lwowa. Pozostały tylko dwie „bohaterki“ poniewierane przez polskich żołnierzy jako szpiedzy. Piękna karta została poplamiona. Nieświadomy Czytelnik gotów jest uwierzyć tej niezdrównej fantazji, przedstawiającej w fałszywym świetle panującego ducha Obrony Lwowa i nastroju

polskiej ludności, który stał się natchnieniem w odradzającej się Polsce. Gotów uwierzyć, bo opowiadanie przemyczone jest w formie relacji świadka. Nie wystarczy zaprotestować przeciwko niezrozumiałej intencji autorki, lecz trzeba zdemaskować „autentyczność“ opowiadania, bo tylko wykazując niedorzeczność i nieprawdziwość relacji można skutecznie zatrzeć wrażenia, które pozostawić mogą wśród tych, którzy ówczesnych dziejów nie znają.

Do tego zadania czuję się w pełni powołany i uważam je za swój obowiązek. Jako jeden z nielicznych pozostałych przy życiu członków Kapituły Obrony Lwowa, a przede wszystkim jako uczestnik wydarzeń, mogę przeciwstawić relację w imieniu prawdziwych świadków historii. Zbijając punkt po punkcie będę w cudzysłowach cytował zdania z wyróżnionej nowelki. To chyba jedyny sposób odebrania jej pozorów charakteru dokumentacyjnego. Oto moje uwagi:

1) Autorka ażeby uprawdopodobnić opowiadanie zaczyna operować godzinami. Oto od 8 do 10 rano zdążyła przebyć przestrzeń od ul. Zielonej poprzez Rynek aż do Szkoły Sienkiewicza w przeciągu dwóch godzin. Przestrzeń tę (kto zna Lwów) można w tym czasie przebyć biegiem lub forsownym marszem, ale w opisywanych warunkach i pół dnia na to nie starczyło.

2) „Ostra strzelanina od strony rynku“, „w różnych miejscach leżeli ludzie — może żywi może trupy.“ Stwierdzam, że właśnie o tej porze udałem się z kolegami na Rynek idąc śródmieściem przez ul. Akademicką. Byliśmy w mundurach, nikt do nas nie strzelał, żadnych trupów ani rannych nie było widać. Późniejsze relacje wypadków takich nie zanotowały.

3) Nieprawdopodobnym jest, by ktoś pod Katedrą mógł wiedzieć o 8-ej rano o załodze w Szkole Sienkiewicza. Nawet my, rozpoczynający organizację Obrony w Czytelnicy Akademickiej o tym nie wiedzieliśmy jeszcze. Polacy stojący w „przerażeniu“ pod Katedrą nie idą „na pomoc“, lecz namawiają do tego nasze bohaterki, bo „jest tam dużo naszych rannych“.

4) Pierwsza załoga Szkoły Sienkiewicza pod dowództwem kpt. Trzeźniowskiego liczyła 38 osób. Okazuje się, że była to grupa bezradna, że nie potrafiła się zorganizować i dopiero przybycie dwóch młodzieńskich Polek uratowało sytuację. Okoliczna ludność dzieliła się

każdym kęsem chleba, ale dopiero nasze bohaterki zdążyły uratować załogę od głodowania. Niestety zmarł niedawno uczestnik tej załogi ppłk. Felsztyn, ale żyją w Londynie Andrzej Pankiewicz i inni członkowie tej załogi, którzy mogą zaświadczyć, jak tam naprawdę było.

5) Sierżant o 10 rano stwierdza: „mamy dużo rannych ... gorączkują...”. Znowu jedynie nasze bohaterki potrafiły się zająć rannymi. W załodze Szkoły Sienkiewicza znajdował się lekarz, żyjący w Londynie dr Stanisław Ostrowski, późniejszy Prezydent miasta Lwowa i lwowski poseł na Sejm. Według opowiadania i on okazał się mniej zaradnym od naszych bohaterek.

6) Na wiadomość o rannym Polaku żołnierze i cywile spieszyli na pomoc z narażaniem życia i roztaczali najczulszą opiekę. Autorka jeszcze raz powtarza scenę cytując słowa rannych, opuszczonych chłopaków, którzy chcą iść do mamy. Gdyby to było prawdziwe, stanowiłoby kompromitację wszystkich: od komendanta, lekarza, po ostatniego żołnierza.

7) Na polecenie sierżanta dostarczenia prowiantów z magazynu „polscy żołnierze rozumieją w lot aluzję i z radością rabują sklep w otoczeniu polskich sklepów, które stały dla własnych żołnierzy otworem”.

8) Po kilku dniach ofiarnej pracy, karmienia załogi, biedne Polki zostają podejrzone o szpiegostwo. Ohydna scena z polskim oficerem, który grozi bezbronnym Polkom zastrzeleniem, stanowi clou opowiadania. Gdyby istotnie znalazł się taki nieprzytomny w swej brutalności oficer, to inni zareagowali by w sposób najstraszniejszy. Okazuje się jednak, że inni żołnierze postępują tak samo z rodaczkami. Szpiegofobii nie było i cóż mogły szpiegować? Dziwnym trafem te same dziewczęta jeszcze dwukrotnie zostaną podejrzone o szpiegostwo.

9) Pan sierżant Aleksander Rozenbaum powiada: „Rodzice moi mieszkają przy ul. Zadwórzeńskiej Nr. 5.” Bitwa pod Zadwórzem miała miejsce w dwa lata później. Upłynęło dalszych kilka lat zanim ul. Sadowniczą przemianowano na Zadwórzeńską.

10) Wśród walczących byli wytrawni oficerowie i żołnierze, ale 19-letniej pannie zostaje powierzona przeprowadzenie wywiadu z narażeniem życia i ocenę czy Główną Poczta można zdobyć od śródmięśnia.

11) W opisywanym czasie gmach Poczty był już w naszych rękach. Byłem tam. Zdobył go żyjący w Londynie mjr. Alfred Rapacki z trzema ludźmi, wśród których znajdował się dzielny Stanisław Grabski, syn późniejszego ministra tego samego imienia.

12) Bohaterka nasza zostaje po raz drugi posadzona o szpiegostwo, tym razem przez Ukraińców, którzy na ogół okazali się „względniejsi od Polaków. Scenę tę pamięta doskonale, bo cytuje słowa groźby: „Ruki w wierzch! Stoj!” Coś się biedactwu pokręciło. Moskali jeszcze we Lwowie nie było. Ukrainiec zawołałby: „Ruki do hory! Stij!”

13) Powtarza się trzecia scena podejrzenia o szpiegostwo, równie ohydna i idiotyczna, jak pierwsza. Tu winowajca wymieniony jest po nazwisku. To Boruta-Spiechowicz, późniejszy generał, który był uosobieniem powagi i opanowania.

14) „Złapane kobiety służące w polskich szeregach masowo mordowano. Ukraińcy bili je, gwałcili, poczem obnażone do pasa wieszali za nogi na drzewach.” Rzekomą autentyczność potwierdzają jeszcze cytowane słowa płk. Karola Baczyńskiego. Prawda, że Ukraińcy dopuszczali się różnych ekscesów, ale tak opisywane wypadki były dotychczas niezbrane i dopiero niemal po upływie pół wieku wyszły na jaw, dzięki rewelacjom autorki „Szpiega”.

Wywody te zbijające punkt po punkcie szczegóły opowiadania wystarczą chyba, by udowodnić do jakiego stopnia mija się ono z prawdą. W ten sposób trzeba było podrzeć misterną kanwę utkaną przez autorkę, w którą wplątała nieświadomych Czytelników. Ażeby do reszty wypłenić chwasty tego opowiadania wystarczy przyjąć oświadczenie żyjących w Londynie członków Załogi Szkoły Sienkiewicza, którzy gotowi są potwierdzić swoimi podpisami. Oświadczenie to brzmi: „W opisywanym czasie żadnych chłopczek w wieku 12-16 lat nie było wśród Załogi oraz w Szkole Sienkiewicza nie było ani jednego rannego.” Jak w świetle tego oświadczenia wygląda intencja autorki trudno się domyśleć. Wykluczając podejrzenie o złą intencję, którego pozbyć się nie łatwo, stwierdzić należy, że świadomie czy nieświadomie szkoda została uczyniona. I tę szkodę trzeba było naprawić w imię prawdy historycznej.

Kazimierz Schleyen

Józef Garliński „Z I E M I A ”

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

DZIEJE Polaków w Anglii w XIX wieku, a szczególnie czterdziestolecie od 1830 do 1870 to przede wszystkim dzieje Emigracji Polistopadowej. Ta grupa, rozpolitykowana, skłócona, ciągle nad czymś obradująca pozostawiła po sobie wiele drobnych śladów w postaci ulotnych druczków, sprawozdań z zebrań, manifestów, deklaracji... O wiele mniej wiadomo o prywatnym życiu owych ludzi, o tym jak sobie dawali (czy nie dawali) radę w nowym środowisku, do jakiego stopnia brali udział w życiu społeczeństwa w którym się znaleźli i w pośród którego przyszło im często przeżyć resztę swych dni. Nim zaczniemy na ten temat generalizować, warto (a może raczej: trzeba) zapoznać się z jak największą ilością faktów, z możliwie całym, dostępnym materiałem. Żywoty, odgrzebane z zapomnienia często będą smutne, kiedy indziej krzepiące ale zawsze ciekawe jak długo drgać w nich będzie nurt rzeczywistości a nie fajerwerki frazesów.

Jedną z takich spraw wartych uwagi jest udział Polaków w działalności Mechanics' Institution w Liverpool, a szczególnie w organizowaniu i prowadzeniu biblioteki tej zasłużonej instytucji, niegdyś głośniejszej i aktywnej, a dziś prawie zapomnianej. A ponieważ „zapomnianej”, wypada w paru słowach przypomnieć jej dzieje i rolę.

„Mechanics' Institutions“ wyrosły z praktycznego pomysłu stworzenia organizacji służącej zawodowemu dokształcaniu rzemieślników w ich zawodach. Dr Jerzy Birkbeck M. D. (1776-1841), profesor uniwersytetu w Glasgow zorganizował w r. 1800 kursy popularno-naukowe dla robotników i rzemieślników, które rozwinęły się w 1823 w „Glasgow Mechanics' Institution“. Jego twórca przeniósłszy się jako lekarz do Londynu założył tam bliźniaczy Instytut w 1824 r., a wprędce powstały podobne organizacje w innych większych miastach, szczególnie w okręgu przemysłowym Środkowej Anglii. Dodać trzeba, że dr Birkbeck był również twórcą — w 1827 — londyńskiego University College.

INSTYTUTY rozrosły się i służyć zaczęły wielu celom. Powstało pod ich opieką i kierownictwem szereg szkół (z których niejedna istnieje do dziś), instytucji zawodowych, klubów o charakterze czy to społecznym czy rozrywkowym. Wyjątkowo wielką rolę odegrały Instytuty w popularyzowaniu czytelnictwa. Ich biblioteki wyprzedziły o lat kilkadziesiąt Biblioteki Publiczne i spełniły z powodzeniem, choć w o wiele skromniejszym zakresie, tę samą rolę. Z czasem w szeregu ośrodków nastąpiło zcalenie bibliotek obu

DYBOWSKI, KIRKOR, HRYNIEWICZ

PIONIERZY ANGIELSKICH CZYTELNI PUBLICZNYCH

instytucji, czy raczej wchłonięcie księgozbiorów Instytutów przez Biblioteki Publiczne.

Mechanics' Institution w Liverpool powstał w 1825, a więc w rok zaledwie po londyńskim. Jego biblioteka rozwijała się szybko: w roku 1840 liczyła około 6000 tomów, w 1841 (w marcu) — 7558, a w 1842, również w marcu, — 9126. W następnym roku doszła do 16000 tomów, miała 1645 stałych czytelników i wypożyczała przeciętnie 274 tomów dziennie. W latach 1845-1846 nasilenie czytelnictwa jest największe bo dochodzi do 280 tomów wypożyczanych dziennie. Następnie powoli się zmniejsza aż do 230 tomów dziennie w 1852 roku.

Otóż zwraca uwagę udział Polaków w prowadzeniu biblioteki w okresie jej największego rozwoju i aktywności: Od 17 września 1839 do marca 1842: zastępcą bibliotekarza, a następnie bibliotekarzem był Aleksander Napoleon Dybowski. Zachowały się w Public Record Office na Chancery Lane zaświadczenia wystawione mu przez dyrektorów Liverpool Mechanics' Institution, oraz przez nauczycieli szkół Instytutu, osobno wyższej i niższej (gdzie wśród grona nauczycielskiego figuruje podpis Edwarda Hryniewicza). Zaświadczenia te zredagowane są w pochlebnej dla Dybowskiego formie. Co więcej w rocznym sprawozdaniu z działalności Instytutu („Annual Report of the Liverpool Mechanics' Institution, March 9, 1842“) znajduje się następująca wzmianka: „... Committee regret the loss of their librarian Mr. Dybowski though they hope well of his successor Mr. Dickinson“.

Z tego samego sprawozdania dowiadujemy się, że Edward Hryniewicz, nauczyciel w szkole niższej, był wtedy zastępcą bibliotekarza (zapewne jeszcze Dybowskiego ale na pewno jego następcy). Obydwa stanowiska (w szkole i w bibliotece) objąć musiał Hryniewicz po 3 maja 1841 roku, bo tego dnia mieszkał jeszcze w Dublinie. Ponieważ sprawozdania z następnych lat nie zachowały się a przynajmniej nie są mi znane, trudno ustalić jak długo Hryniewicz piastował obydwie stanowiska i czy z zastępcy awansował na bibliotekarza. W każdym razie w sprawozdaniu z 1848/49 roku nie jest już jego nazwisko wymienione. Natomiast wiadomo (zarówno na podstawie dokumentów w Public Record Office jak i z książek adresowych liverpoolskich), że właśnie w 1848-49 bibliotekarzem był Edward Kirkor, młodszy brat gło-

Opracował Mieczysław Paszkiewicz

śnego kapitana Franciszka Kirkora (później pułkownika Kozaków Sultańskich). Edward rzucił czy stracił posadę w Instytucie 31 stycznia 1849 roku.

KIM jednak byli owi Polacy, którzy brali tak czynny udział w zorganizowaniu liverpoolskiej biblioteki? Nim przejdziemy do podania szczegółów ich życia, warto zwrócić uwagę na szereg wspólnych im cech: wszyscy trzej pochodzili ze średnio zamożnych ale starych rodzin szlacheckich, wzięli udział w powstaniu jako młodzi ludzie i — dorobiwszy się niższych stopni oficerskich — poszli na emigrację. (W Anglii pobierali zasiłek w tej samej drugiej grupie obejmującej podchorążych, podporuczników, poruczników i kapitanów ale, zdaje się, wszyscy trzej byli podporucznikami i porucznikami).

Pierwszym z owych bibliotekarzy-emigrantów był Aleksander Napoleon Dybowski. Urodził się on w Warszawie, dnia 1 stycznia 1811 roku, do szkoły średniej uczęszczał w Łomży, a następnie studiował na wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Zaraz w początkach Powstania Listopadowego (jeszcze w 1830 roku) zaciągnął się do Gwardii Honorowej a następnie przeszedł — jako podoficer — do pułku jazdy płockiej, i — już w stopniu podporucznika — przekroczył granicę Galicji w Korpusie gen. Różyckiego.

We Francji znalazł się w Besançon, w 1832 r. W 1833 wziął udział w nieudanej wyprawie frankfurckiej, a w r. 1834 w równie (lub bardziej) nieudanej wyprawie sabaudzkiej Mazziniego, z Szwajcarii. Po wypuszczeniu z więzienia w Genewie przebywał jakiś czas w Szwajcarii, gdzie wraz ze swym młodszym bratem Józefem Ksawerym brał bardzo czynny udział w organizowaniu i działalności Młodej Polski (owej Młodej Polski o której Słowacki pisał z przekąsem „że się bawi, plwając na sufity“) a w 1836 wyjechał do Londynu. Tu był członkiem Towarzystwa Wzajemnego Oświecenia i Ogółu Londyńskiego. Z ramienia tej organizacji wszedł też do komisji, która miała za zadanie zjednoczenie Ogółu i tzw. Gromad Ludu Polskiego. W roku 1837 został redaktorem pisma „Republikanin“ (z drukarstwem miał już poprzednio praktycznie do czynienia w Szwajcarii, gdzie pracował jako zecer i korektor w drukarni pisma „La Jeune Suisse“).

W 1838 był współwłaścicielem (wraz

ze Stanisławem Milewskim) drukarni w Londynie (160, Drury Lane). Od lipca tego roku wciągnięty został na listę otrzymujących zapomogę państwową, którą pobierał do 5 maja 1843 r. Informacja Mariana Tyrowicza w jego „Towarzystwie Demokratycznym Polskim“*) jakoby „... W r. 1839, po pozbawieniu go przez rząd angielski zasiłku za udział w demonstracjach czartystowskich znalazł się w ciężkich warunkach materialnych...“ jest nieścisła.

Zapewne w początkach 1839 r. wyjeżdża do Liverpool, gdzie początkowo, przed dostaniem posady bibliotekarza w Mechanics' Institution, pracuje jako zecer. Po porzuceniu pracy w Instytucie był — jak sam zeznaje w podaniu o przyznanie mu obywatelstwa brytyjskiego — „prywatnym nauczycielem“. Wg. Tyrowicza jeszcze w 1842 r. przeniósł się do Francji, (w istocie jeszcze do maja 1843 pobierał pensję w Anglii) początkowo do Paryża, potem do Poitiers, gdzie nauczał języka niemieckiego w Kolegium Królewskim.

W 1848 roku wrócił do Paryża skąd jako korespondent Emigracji Polskiej wyjechał do Niemiec i do Galicji. Rozwijał tam ożywioną działalność polityczno-rewolucyjną: zajmował się — prawdopodobnie w porozumieniu z J. Wysocim — przerzucaniem ochotników na Węgry oraz wysłał do Paryża sprawozdania o sytuacji z których następnie korzystała prasa francuska. Został aresztowany 5 marca 1849 i przebywał w więzieniach w Przemysłu i Lwowie. Po zwolnieniu wyjechał do Francji — gdzie uczył języków — a następnie, ponownie do Anglii. Tu został agentem handlowym. 30 czerwca 1858 złożył podanie o przyznanie mu obywatelstwa brytyjskiego, które otrzymał 20 października 1858 roku. W podaniu informował, że chce utrzymywać kontakty handlowe z Polską w czym obywatelstwo brytyjskie będzie mu pomocne. Na krótko przed śmiercią wyjechał do Francji, gdzie zmarł 13 czerwca 1862 r., w Paryżu.

*) Marian Tyrowicz „Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Przywódcy i kadry członkowskie. Przewodnik bibliograficzny“, Warszawa 1964, str. 150. Ta pionierska i cenna praca, będąca w istocie rodzajem słownika biograficznego niewątpliwych i przypuszczalnych członków Tow. Dem. Polskiego w latach 1832-1863 zawiera niestety bardzo wiele nieścisłości, całkiem zresztą zrozumiałych jeśli weźmie się pod uwagę trudności, na jakie natrafiał autor przy opracowywaniu jej i zbieraniu do niej materiałów.

O DRUGIM z kolei bibliotekarzu — Polaku w Mechanics' Institution w Liverpool — Edwardzie Hryniewicz — mniej wiadomo niż o Dybowskim. Pochodził z rodziny pieczętującej się herbem Przyjaciół, szeroko rozrodzonej na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Brał udział w Powstaniu Listopadowym i zapewne w stopniu porucznika poszedł na Emigrację. W Wielkiej Brytanii przebywał przynajmniej od połowy (od czerwca) 1838 r. kiedy to zaczął pobierać zapomogę rządową. 3 maja 1841 mieszkał w Dublinie, w Irlandii, następnie w Liverpool. W 1844 znika z listy pobierających zapomogę. Jakis — nieznan z imienia — Hryniewicz poległ w Powstaniu Styczniowym 14. V. 1863 r. pod Michalinem w Grodzieńszczyźnie, ale Tyrowicz łączy go raczej z Dymitrem-Antonim.

* * *

TRZECI Polak zatrudniony w bibliotece Instytutu, Edward Kirkor,**) ur. się w 1808 r. w Koźninie, na Kijowszczyźnie. Był synem Stanisława i Marianny z Halickich. Służył początkowo w wojsku rosyjskim (od 4 maja 1829 roku). Dorobił się tam stopnia podchorążego. W kwietniu 1831 przeszedł na stronę powstańczą i zaciągnął się do Legii Konnej Litewsko-Ruskiej (brygada gen. Różyckiego). We wrześniu mianowany podporucznikiem. Po upadku powstania dostał się do Francji, do zakładu wojskowego w Besançon, gdzie, jak Dybowski, wziął udział w wyprawie Frankfurckiej i z kolei znalazł się w Szwajcarii, a następnie w Anglii. Tu pozostał już do swej śmierci czyli lat pięćdziesiąt. Cały czas pobierał zapomogę rządową, od początku jej istnienia tj. od 10 czerwca 1834 roku.

Pierwsze lata swego pobytu na wyspach brytyjskich spędził Kirkor w Londynie. Brał wtedy — być może pod wpływem starszego brata Franciszka — bardzo czynny udział w rozgrywkach politycznych emigracji. Gdy w „Ogóle Emigracji“ w 1834 r. nastąpił rozłam, należał do tych, którzy tworzyli radykalną „Gminę“ w Londynie. 1 września podpisał deklarację tej grupy: „Akt Wiary Ogółu Polaków w Londynie“ Wpędce jednak zmienić musiał zdanie, bo już po pięciu dniach brakuje jego podpisu pod statutem tej grupy. Po dwóch latach spotykamy znowu ślady jego aktywności: jest członkiem Komisji Ogółu Londyńskiego.

***) Poczuję się do milego obowiązku podziękowania panu dr. Czesławowi Chowańcowi, dyrektorowi Biblioteki Polskiej w Paryżu oraz panu H. Carrick z Liverpool Record Office, za dostarczenie mi cennych informacji, dotyczących się żywota Edwarda Kirkora.

Wkrótce potem przeniósł się do Liverpool. Mieszkał tam już przynajmniej 3 maja 1841 roku. Bliższa znajomość łączyć go musiała z Feliksem Nowosielskim, skoro przez czas pewien mieszkali pod tym samym adresem: 48, Canning Street. Kirkor mieszkał tam na pewno w latach 1853-1860, ale zapewne już wcześniej. Musiał też brać nadal czynny udział w emigracyjnej polityce, a przynajmniej w życiu organizacyjnym i społecznym. Wiadomo, że w 1844 należał do Zjednoczenia i że podpisał listę składek na rzecz uwolnienia Polaków z rosyjskiego okrętu „Irtysz“ w Portsmouth.

Nim objął posadę bibliotekarza zarabiał na życie daniem prywatnie lekcji języków. Jako bibliotekarz zarabiał 70 funtów rocznie. Po utraceniu tego stanowiska wrócił do nauczania. Figuruje też odtąd regularnie jako prywatny nauczyciel języków w liverpoolskich księgach adresowych, początkowo na Canning Street, a następnie w latach 1864-67 na 109, Bedford Str., a w 1870 na 2, Brighton Terrace, Victoria Rd., New Brighton.

Nie wiadomo skąd M. Tyrowicz we wspomnianej wyżej książce wziął informację, że Kirkor w 1854 mieszkał w Londynie, ale niewątpliwie jest to wiadomość polegająca na jakiejś pomyłce czy nieporozumieniu skoro zarówno księgi adresowe jak i listy wypłacania zapomóg wskazują na jego nieprzerwany pobyt w Liverpool.

W „Spisie Polaków Zmarłych na Emigracji“ Bartkowskiego (rękopis w Bibliotece Polskiej w Paryżu przygotowywany jest obecnie do druku w następnym tomie „Materiałów do Biografii, Genealogii i Heraldyki Polskiej“) znajduje się wzmianka, że Kirkor przez „kilkanaście lat zajmował się kapelusznictwem“, co wskazywałoby że dawanie lekcji nie musiało mu iść najlepiej.

Były powstaniec, który w młodości przejawiał skłonności do radykalizmu z wiekiem sprawcował. Tyrowicz podaje wprawdzie o nim informację w „Towarzystwie Demokratycznym Polskim“, ale zaznacza że jego przynależność do Towarzystwa jest niepewna. W istocie jest ona bardzo mało prawdopodobna, skoro nie zachował się po niej żaden widoczny ślad. Ostatnim śladem jego lewicowości jest podpisanie, w 1854 r. deklaracji potępiającej politykę księcia Adama Czartoryskiego.

Ale krótki jego życiorys umieszczony w nr. 25 Sprawozdań „Instytucji Cześć i Chleba“ (1882 roku) zawiera informację że jest „gorąco polecany przez K. Szulczewskiego“ — jak wiadomo wiernego zwolennika Hotelu Lambert.

Kirkor pod koniec życia mieszkał pod nr. 22 na Liffey Street, w dzielnicy Taxteth Park. Tam też zmarł 27 sierpnia 1884 r., na puchlinę wodną, po przedniej półrocznej chorobie serca, jak stwierdził w akcie zgonu jego lekarz M. S. Shaw M. D.

* * *

NIE będzie chyba przesadą jeśli powiemy, że udział Polaków w tworzeniu i prowadzeniu biblioteki „Mechanics' Institution“ w Liverpool był znaczny, i że udział ten — przynajmniej w wypadku pierwszego bibliotekarza — Dybowskiego, doceniony został przez zarząd Instytutu. Można przypuścić, że to jego zalety zdecydowały o zatrudnieniu następnie w bibliotece innych Polaków. To przy jego współpracy, a następnie pod jego kierownictwem biblioteka rozwinęła się, rozrosła i nabrała dynamizmu. Żywoć tego rzutkiego, inteligentnego, wielostronnie uzdolnionego człowieka dobrze pasuje do jego sukcesów także w dziedzinie bibliotekarstwa.

Mieczysław Paszkiewicz



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S. W. 7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNENT.

POLSKI KRÓL-EMERYT W LOTARYNGII

GDYBY jakiś autor filmowy pokusił się o napisanie scenariusza na tle życia Stanisława Leszczyńskiego, byłby to chyba jeden z najbardziej barwnych i awanturnicznych filmów historycznych.

Ten urodzony w 1677 r. potomek magnackiej rodziny wielkopolskiej, już od drugiej połowy XVIII wieku zaczął wypełniać swymi losami nęzliczone tomy literatury światowej. Dwukrotny król polski, przyjaciel i protegowany szwedzkiego boga wojny Karola XII, wygnaniec w gościnie u sułtana tureckiego Achmeda III, tułacz żyjący na lasce obcych dworów a wreszcie teść „króla arcychrześcijańskiego“, dzięki któremu zostaje władcą księstwa Lotaryngii i Baru, oto kalejdoskop przeżyć tego łagodnego i nade wszystko pokój miłującego człowieka, któremu złośliwy los wyznaczył rolę „bohatera mimo woli“.

Istotnie pole działania, dla swej wyjątkowej kultury i znanstwa sztuki, znalazł król — wygnaniec dopiero w cichym zakątku lotaryńskim, gdzie miał przeżyć 30 ostatnich lat swego bytowania. Zasługi, jakie położył w tym okresie, każą nam zapomnieć o błędach i pomyłkach jego niespokojnej przeszłości a spisane w czasie pobytu w Chambord rozprawy i wskazania polityczne, świadczą o zbawionych planach, których nie umiał czy

też nie zdążył skutecznie w czasie swego królowania w Polsce.

Na razie jest dopiero rok 1719, i Leszczyński, zmęczony długą tułaczką, osiadł w małym miasteczku alzackim Wiesenburg, gdzie wraz z żoną i córką, pędził nędzny, na długach oparty żywot. Jedynym blaskiem światła w tej szarej monotonii były codzienne długie spacery z ukochaną córką Marią, podczas których kształtował jej młody umysł i wpał wiedzę humanistyczną, którą sam posiadał w tak wysokim stopniu. Wzruszającym ciepłem i troskliwością, starał się zastąpić swej jedynaczce zupełny brak miłości ze strony matki. Bo Katarzyna Leszczyńska, kobieta zacna zresztą i pełna cnót chrześcijańskich, miała nietajony żal do tej młodszej córki, że właśnie ona, szara i niepozorna, pozostała przy życiu, podczas kiedy starsza jej siostra piękna i uwielbiana przez matkę Anna, zmarła w pełnym rozkwicie młodości. Jakież też uczucia wstrząsały sercem wyrodnej matki, kiedy dzięki tej pogardzanej przez nią córce, niezwykle splendor spadł niespodzianie na dom króla — wygnańca.

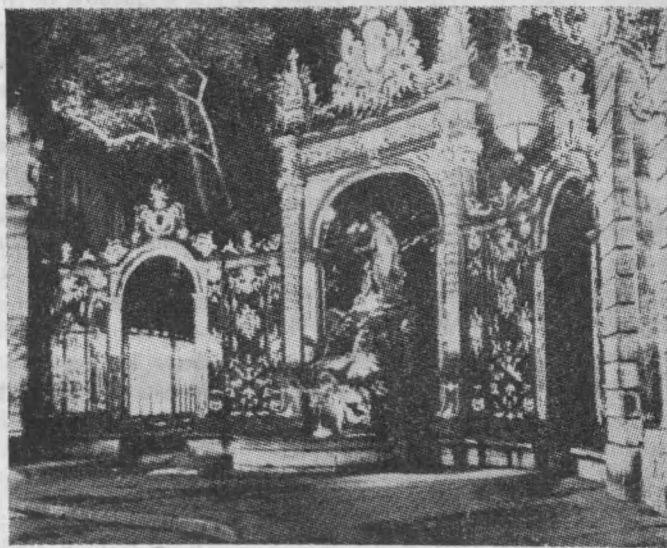
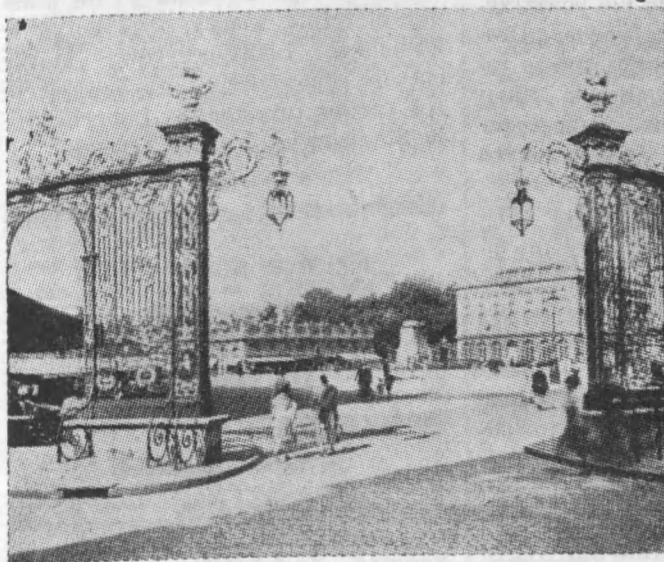
Pewnego dnia czerwowego 1725 r. do pokoju Marii wpadł pełen radości Leszczyński i płacząc z rozrzewnienia oznajmił, że Ludwik XV, władca naj-

potężniejszego w chrześcijaństwie państwa, przysłał właśnie posłów z prośbą o jej rękę.

Ten zgola nieoczekiwany projekt małżeński był dziełem pierwszego ministra młodocianego króla, księcia Bourbon oraz jego długoletniej kochanki, markizy de Prié. Ta sprytna para intrygantów liczyła na to, że Maria, zawdzięczając im swoje wyniesienie, stanie się podatnym narzędziem w ich rękach i ułatwi wpływanie na króla. Niedaleka już przyszłość miała przekreślić wszystkie te rachuby, gdyż książę Bourbon musiał wraz z markizą opuścić Wersal, ustępując miejsca kardynałowi Fleury.

Po uroczystym ślubie w katedrze strasburskiej, Maria wyjechała do Wersalu a Leszczyński wraz z żoną i garstką wiernych zamieszkał w przydzielonym mu przez zięcia pałacu Chambord. I tu przygotowując do druku swoją książkę „Głos Wolny zabezpieczający“, doczekał się w 1733 r. wiadomości o śmierci Augusta II oraz spowodowanego przez konfederację dzikowską wezwania do powrotu na tron polski.

Tryumfalne powitanie w Warszawie oraz jednogłośnie elekcja, okazały się tylko krótkotrwałą radością. Obiecana solennie przez Francję pomoc nie nadeszła a syn Augusta II, wsparty przez sojusznicze wojska moskiew-



NANCY: Place Stanislas (Plac króla Stanisława Leszczyńskiego). Z prawej: fontanna.

skie, zmusił Stanisława do ucieczki z obleżonego Gdańska i sam, jako August III objął panowanie.

Kiedy po bardziej niż zwykle dramatycznych przeprowadkach, Leszczyński dotarł do Francji, został zawiadomiony przez kardynała Fleury, że wzamian za utraconą po raz drugi koronę królewską, otrzyma w dożywotnie władanie księstwo lotaryńskie.

Zdawało się, że po latach burz i rozczarowań, znajdzie nareszcie król-tulacz odpowiednie warunki, w których będzie mógł rozwinąć w całej pełni wrodzone zamiłowanie do mecenatu i wykazać swoje zdolności organizacyjne, wprowadzając w czyn głęboko przemyślane plany światłego panowania. Cóż kiedy prześladowany go uporeczywie los, nawet tę pozorną słodycz potrafił zaprawić goryczą.

W myśl umowy spisanej w Meudon 1736 r. władzę administracyjną miał wykonywaćznaczony przez Francję wielkorządca, podobnie jak w innych prowincjach królestwa. W zamian za to przyznano Leszczyńskiemu listę cywilną w wysokości dwóch milionów liwrów oraz prawo podpisywania aktów rządowych, w redagowaniu których nie brał udziału. Zresztą słuszność nakazuje przyznać, że ów wielkorządca, niejaki de Glaziere, odnosił się zawsze z szacunkiem do króla-wygnańca i chętnie zostawiał w jego rękach cały zewnętrzny blask reprezentacji.

Dobroduszny Leszczyński pogodził się szybko z tym stanem rzeczy, który zresztą odpowiadał jego zamiłowaniu do zbytku i wystawnego życia. Rezydencja jego w Luneville stała się wkrótce jednym z najbardziej uroczych dworów w Europie a goszczący tam często luminarze nauki i sztuki dodawali mu jeszcze specjalnego blasku.

ULUBIONYM polem działania Leszczyńskiego była architektura a wystawione jego kosztem wspaniałe budynki oraz ogrodami otoczone pałace, są do dnia dzisiejszego dumą i ozdobą Lotaryngii.

Mylnym jednak byłoby przypuszczenie, że całe życie Stanisława upływało na dyskusjach z architektami czy też uczonych rozmowach z chętnie u niego goszczącym Wolterem czy Monteskiuszem. Jego starania o dobro ludu lotaryńskiego nie ograniczały się do przyjaznych pogawędek z na-

potkanymi podczas częstych przejażdżek po kraju wieśniakami. Liczne przytułki, szpitale i sierocińce jakie zakładał oraz pieniężne zapomogi, pozyskały mu z czasem miano „Stanisława Dobroczyńskiego“ a początkowa niechęć do „uzurpatora“, przemieniła się w głębokie przywiązanie.

Zrośnięty pozornie z ziemią lotaryńską, nie stracił jednak nigdy Leszczyński łączności z własną ojczyzną. Liczne rzesze rodaków, wśród których jaśniały takie sławy naukowe jak Konarski czy Załuski, przebywając czasowo lub też stale na dworze lunewi skim, nadawały mu charakter polsko-francuski, podtrzymując jednocześnie kontakt króla z krajem.

Dziwna dwoistość charakteru pozwałała Leszczyńskiemu godzić głęboką religijność z namiętym umiłowaniem rzeczy ziemskich. Ożeniwszy się bardzo wcześnie z Katarzyną Opalińską, zaczął już po niedługim czasie zdradzać swoją purytańską żonę z bardziej wesołymi kobietami. Aż w końcu ten królewski motyl, mocno już ocieślały i pozbawiony barw młodości, został schwytyany w sieć wdzięków młodej damy lotaryńskiej, markizy de Boufflers. Po śmierci Katarzyny, w 1749 r. otrzymała ona oficjalny tytuł królewskiej faworyty i na tym stanowisku miała już pozostać do końca dni Stanisława.

O ile stosunek do żony był jedną z ciemnych stron życia Leszczyńskiego, o tyle jego miłość do córki, wzrusza swą serdeczną czułością. Częste listy są zawsze pełne ciepła i mądrych rad a wyjazdów do Wersalu nie powstrzymuje nawet najgorsza pogoda. „Droga do ciebie jest dla mnie zawsze różami wysłana“ — odpowiada Marii na jeden z jej listów ostrzegający przed złym stanem rozmoczonych deszczami dróg.

Zdawałoby się, że rozległy krąg zainteresowań kulturalnych, plany upiększenia kraju jak również założenie Akademii Umiejętności a następnie Szkoły Rycerskiej, w której jego kosztem kształciła się młodzież polska a w dodatku jeszcze ożywione życie towarzyskie, wszystko to powinno było by wystarczyć do wypełnienia dni bardzo już niemłodego Leszczyńskiego. A jednak niecierpliwym uchem nadśluchiwał on odgłosów z Polski i wciąż miał nadzieję, że go powołają z powrotem na tron.

To też jakże bolesnym było dla niego rozczarowaniem, kiedy po śmierci Augusta III królem wybrano Stanisława Poniatowskiego, o tyle niższego od Leszczyńskiego w hierarchii społecznej „wielmożów“. Gorycz tego zawodu zmieniła zupełnie jego charakter i z pogodnego i młodego ducha człowieka uczyniła złamanego wiekiem starca.

Możeby jednak wrodzony optymizm pozwolił mu cieszyć się jeszcze przez lat parę życiem, gdyby nie wypadek tak tragiczny i niezwykły, jak wszystko co los przeznaczył Leszczyńskiemu.

15 lutego 1766 r., król wstawszy jak zwykle bardzo wcześnie, podszedł do płonącego żywym ogniem kominka, aby rozgrzać zziębnięte ręce. Pograżony w myślach, zauważył zbyt późno, że poły jego szlafroka zajęły się od iskiei. Zanim nadbiegła przywołana jego krzykiem pomoc, nieszczęsny starzec stał już cały w płomieniach. Mimo ciężkich poparzeń, walczył jeszcze przez dni kilka ze śmiercią, starając się swym optymizmem podnieść na duchu otoczenie.

Kiedy wreszcie 23 lutego uległ w tej nierównej walce, żał w całym kraju był powszechny.

Leszczyński umarł i spoczął obok swej żony w kościele „Notre Dame de Bon Secour“. Ale bardziej wymownym od grobowca pomnikiem, jest upiększona jego staraniem stolica kraju Nancy gdzie „Plac Stanisława“ został słusznie nazwany „salonem Europy“.

Pamięć tego zapoznanego we własnej ojczyźnie władcy, żyje dotąd w legendach Lotaryńczyków, którzy chętnie opowiadają przybywającym rok rocznie turystom o „Dobrym królu Stanisławie“.

Hilda Jankowska

N O W E W Y D A N I E

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

Orzeł Biały, wrzesień 1965

NIC O NAS BEZ NAS

(Dokończenie ze strony 4)

Stąd też powstało przekonanie części opinii społecznej niechętniej wobec nowych przybyszów. Niechęć tubylców wobec imigrantów znalazła uzasadnienie w ich przypadkowych cechach, i te dwuznaczne abstrakcje przemieniły się tak dalece w ogólnopolskie cechy narodowe, iż stały się skrótem symbolicznym dla całego narodu. Tak powstały stereotypy; „polaco“ stał się równoznacznikiem istoty pośredniejszej pod względem rasowym, moralnym i intelektualnym. Teoria o niższości moralnej i umysłowej Polaków powstała akurat w tenże sam sposób w jaki powstała teoria o niższości Murzynów i ich potomków w okresie niewolnictwa. Podobnie jak kontest prawdziwych stosunków społecznych pomiędzy białymi a murzynami został zamazany, ze stosunków pomiędzy Polakami a innymi grupami powstały pojęcia, które zaciemniły ich istotę. Stąd każdy robotnik, imigrant, współzawodnik na rynku pracy czy na rynku wytwórczości stał się „polaco“, w podobny sposób jak ex-niewolnik przemienił się w „mulata“, zamiast uzyskanie charakteru wolnonajemnego robotnika, nie posiadającego własnego warsztatu pracy.“

* * *

Konopnicka pisała wprawdzie o Panu Balcerze w Brazylii, ale łobuzy rodzaju majora M. B. Lepeckiego, ongi „adiutanta Dziadka“ a teraz — jeżeli ciągle jeszcze żyje — reżymowego oczajduszy i przedwojennego specjalisty od spraw brazylijskich, nie o tym nigdy nie wspominały. Niemocarstwo to byłoby i niezręcznie. Podobnie, jak fakt, iż przy budowie kolejki podziemnej w Buenos Aires zginęło więcej Polaków, aniżeli podczas drugiej wojny światowej. Na frontach oczywiście. W Argentynie zasypywało tych najbiedniejszych i najbezradniejszych z imigrantów, dlatego po prostu, iż była to najbardziej niebezpieczna praca, a innej nie było. No, a potem zdziwienia i rozdarcia szat, że reżym ma teraz takie wpływy w Kurytybie i że Polacy brazylijscy znajdują się w komunistycznych obozach owiecznych w Tanzanii ... jako instruktorzy biegle władający portugalskim, z brazylijskim akcentem.

Kuźma Wołk

POPIERAJ POLSKIE FIRMY



BREŻNIEW I KOSYGIN — BLIŹNIACY Z PRYMUSU

NOWA ERA...

(Dokończenie ze strony 3)

Akcję przeciw monarchii prowadzi Papandreu pod hasłem demokracji, ale w istocie zagrażają jej w Grecji przede wszystkim komuniści, którzy są dynamiczną siłą, ukrytą w łonie partii centrowej i mającej w synu premiera, profesora Papandreu ważnego orędownika. Jest paradoksem sytuacji, że młody Papandreu kształcił się wiele lat i został profesorem uniwersytetu w tychże Stanach Zj., które za pośrednictwem tzw. doktryny Trumana gwarantowały Grecji po wojnie obronę przed komunizmem. Obecnie wychowanek amerykańskich uniwersytetów przywiózł z nich do greckiej ojczyzny idee ... prokomunistyczne. Charakterystyczne to dla ideowej atmosfery „liberalnych“ kół akademickich w Stanach Zjednoczonych.

Zdzisław Stahl

ZJAZD SPK W AUSTRALII —

W okresie 2-4 października bież. roku odbędzie się w Canberra zjazd SPK w Australii, jednego z najbardziej żywotnych ogniw naszego Stowarzyszenia. Emigracja polska w Australii niewiele ustępuje pod względem liczebności (ok. 90 tys.) uchodźczemu naszemu w W. Brytanii, toteż istnienie silnej i liczebnej organizacji jaką jest SPK w tym kraju posiada duże znaczenie dla sprawy polskiej. Zjazd październikowy będzie, niewątpliwie, okazją podsumowania pięknego dorobku społecznego naszych kolegów na ziemi australijskiej.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

CO NIEMCY MYŚLĄ O ZIEMIACH ZA ODRA

(Dokończenie ze strony 7-ej)

mieszkańców Pomorza Śląska i Prus Wschodnich by powrócili i ponownie osiedlili się na dawnych ziemiach pod polską czy rosyjską (w części Prus Wschodnich, przyłączonej do ZSRR — mój przyp.) zwierzchnością: czy w tym wypadku wróciliby pan(i), czy nie?”

81 proc. zapytanych odpowiedziało: nie wróciliby. Tylko 10 proc. gotowych jest wrócić. Reszta jest niezdecydowana.

Dalsze pytanie dotyczyło już tylko Polski i brzmiało:

„Przyjmując, że Polska zrzuci komunizm i stanie się prawdziwą demokracją oraz będzie gotowa gwarantować powracającym Niemcom ochronę mniejszości, np. pod nadzorem ONZ: czy wówczas powróci pan(i), czy nie?”

Okazuje się że i w tym wypadku dwie trzecie uchodźców (64 proc.) nie zamierzają wracać. Chętnych do powrotu jest tylko 17 proc.

Wyniki pokrywają się w dużej mierze z wynikami ankiety przeprowadzonej przed dwoma laty przez znanego reportera telewizji Neven-du Mont, który zadał podobne pytania. Organizacje wysiedleńców skrytykowały go wówczas za to, że nie zadał pytania czy uchodźcy wróciliby na te ziemie, gdyby stały się one znowu niemieckie. Neven-du Mont wyraźnie wychodził z założenia, że szans odzyskania przez Niemcy utraconych ziem nie ma i zadawał pytania na temat powrotu, które teoretycznie wchodzi w rachubę. Nie widział potrzeby bawić się w zadawanie pytań abstrakcyjnych.

Instytut w Allensbach, może dla uniknięcia zarzutów ze strony ziomkowsk, postawił takie akademickie pytanie: Czy wrócą jeśli te ziemie — „wbrew oczekiwaniu“, jak podkreślał kwestionariusz — staną się znowu niemieckie. Wysunął przy tym dwie alternatywy: czy wrócą, jeśli osiadła na tych ziemiach ludność polska, względnie rosyjska (w rejonie Królewca) opuści je, oraz czy wrócą jeśli obecni mieszkańcy tam pozostaną.

W pierwszym wypadku gotowość powrotu wyraziło 44 proc. uchodźców, natomiast 36 proc. nie wróciliby. Reszta jest niezdecydowana. Jeśliby natomiast Polacy tam nadal mieszkali, to dalszych 31 proc. odmówiłoby powrotu, a liczba gotowych do powrotu stopniałaby do 18 proc.

Powtarzamy: chodzi o sytuację, której nikt na świecie nie uważa za możliwą i w której w samych Niemczech wierzy już tylko około jednej czwartej ludności, przy czym nawet ci nie ocze-

kują takiego „cudu“ wcześniej niż na 20 czy 25 lat, kiedy na tych ziemiach mieszkać będzie zapewne kilkanaście milionów Polaków, urodzonych tam po części już w trzecim pokoleniu. Tylko ktoś zupełnie wyzuty z poczucia rzeczywistości może wyobrazić sobie że bez wojny, która przyniosłaby samym Niemcom całkowitą ruinę, możnaby tych kilkanaście milionów Polaków usunąć. Nawet organizacje ziomkowskie nie odważają się wysunąć takiego hasła i dziwić się trzeba, że poważna instytucja naukowa, jaką jest Instytut w Allensbach, taką ewentualność wymienił w ogóle w swojej ankiecie. Faktem jest wszakże, że nawet i w tym wypadku tylko część uchodźców gotowa jest do powrotu.

ZADOMOWIENI

Łączy się z tym inne pytanie, które pozwala przewidywać, że liczba gotowych do powrotu będzie malała z każdym rokiem. Oto zadano uchodźcom pytanie następujące:

„Czy czuje się pan(i) tu całkiem zadomowiony(a) czy też jeszcze trochę obco?”

72 proc. uchodźców zza Odry i Nysy czuje się już w Niemczech zachodnich jak w domu, natomiast 28 proc. jeszcze trochę obco. Podobnie wypadła odpowiedź na pytanie czy czują się całkowicie równouprawnieni i szanowani na równi z innymi, czy też ludność tubylcza patrzy jeszcze na nich nieco z góry. Jedna z tabel wskazuje, że istnieje ścisły związek między tym samopoczuciem a gotowością powrotu. Wprawdzie pewna część zadomowionych deklaruje gotowość powrotu w razie odzyskania utraconych ziem, ale przeważnie mówią o tej gotowości ci, którzy jeszcze się czują obco, jeszcze uważają że ludność miejscowa patrzy na nich z góry i niechętnie.

Inna tabela pokazuje, że kwestia zadomowienia jest kwestią czasu. Wśród tych, którzy przybyli na Zachód przed 1947 tylko 15 proc. czuje się jeszcze nieco obco, wśród późniejszych uchodźców — dwa razy więcej.

Wszystkie te cyfry dowodzą, jak bardzo oderwane od rzeczywistości są hasła „Heimatsrecht“. Politycy, a zwłaszcza organizacje uchodźcze domagają się tego prawa powrotu na ziemię urodzenia, ale muszą wiedzieć, że gdyby nawet Polska, czy to komunistyczna czy wolna, pozwoliła Niemcom na powrót, tylko bardzo nikła część byłaby skłonna skorzystać z tej możliwości.

UZNANIE I ZJEDNOCZENIE

Ostatnie pytanie dotyczyło uznania granicy i wypadło niezbyt realistycznie. Organizatorzy ujęli je tak:

„Do dzisiejszej Polski należą wielkie terytoria, które przed wojną były niemieckie. Czy gotowy(a) jest pan(i), czy też nie gotowy(a) uznać w traktacie pokoju dzisiejsze granice Polski za ostateczne, jeśli wzamian uzyskamy zjednoczenie z strefą wschodnią?”

Z tak ujętego pytania przebiegała znana tendencja polityków niemieckich traktowania uznania granicy za atut, który będzie można wykorzystać w rokowaniach o zjednoczenie.

49 proc. ogółu ludności odpowiedziało: tak. 26 proc. odrzuca uznanie; prawdopodobnie są to ci sami, którzy jeszcze wierzą w odzyskanie tych ziem. Reszta to niezdecydowani.

Jeśli chodzi o uchodźców, to widocznie nawet wielu takich, którzy rozumieją, że ziemie te stracone są na zawsze, nie chce formalnego uznania granicy. 48 proc. odpowiedziało: nie, tylko 31 — tak.

Najwięcej chętnych do uznania granicy w powiązaniu ze zjednoczeniem, bo 63 proc. przeciw 27, jest wśród uchodźców z Niemiec wschodnich.

Znowu liczba gotowych do uznania maleje z wiekiem, będąc największą (54 przeciw 22) wśród obywateli poniżej 29 lat. Znowu proporcja rośnie w miarę lepszego wykształcenia, znowu chłopcy znacznie mniej są skłonni do wyrzeczenia się roszczeń, niż urzędnicy i wolne zawody. Znowu zwolennicy socjal-demokracji wykazują większy realizm niż zwolennicy chrześcijańskiej demokracji, choć różnice nie są drastyczne.

Jakie wnioski można wyciągnąć z tej ankiety?

Z pewnością wolelibyśmy aby nastawienie mas niemieckich było jeszcze bardziej realistyczne, by ogół pogodził się z faktem, że ziemie za Odrą i Nysą są dla Niemiec stracone na zawsze i gotów był do uznania granicy i to bezwarunkowego.

Ale z drugiej strony widoczne jest, że z każdym rokiem następuje otręźwienie. Nic nie wskazuje na to by nadzieje rewizjonistyczne rosły, przeciwnie — wyraźnie maleją. Obraz, jaki wyłania się z tej ankiety, ma zdecydowanie więcej jaśniejszych barw, niż ciemniejszych.

Aleksander Bregman

SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

CUDZE SZCZĘŚCIE

JOHN i Celia Saunders byli zawsze dla mnie ogromnie życzliwi. Miałem to; nie przesadzę, mówiąc, że obdarzali mnie przyjaźnią i zaufaniem. Trudno mi powiedzieć, dlaczego; być może, że właśnie moja cudzoziemskość, moje wyodrębnienie z grona ich innych znajomych pozwalało im czuć się w moim towarzystwie swobodniej i szczerzej. Nie potrzebowali się obawiać, że ich bardziej intymne wypowiedzi mogą stać się przedmiotem plotek. A może po prostu pociągała ich moja obcokrajowa egzotyka? Patrząc na to z perspektywy wielu lat serdecznych i bliskich stosunków, wiem tylko, że było mi z tym dobrze i mam prawo przypuszczać, że im również.

Poznałem Johna wkrótce po moim przyjeździe do Anglii bezpośrednio po wojnie, kiedy wyrzucony falami politycznych przewrotów w Europie szukałem miejsca, gdzieby się można było chociaż czasowo zakorzenić. Nasze pierwsze zetknięcie nastąpiło w małym, niewygodnym i niewiarygodnie ciemnym biurze w City londyńskim, w którym — pożałujcie Boże! — usiłowałem przyjmować telefony, pakować paczki, wysyłać pocztę za śmiesznie niskie wynagrodzenie. John, młodszy ode mnie o kilka lat, był już kierownikiem działu sprzedaży i wrócono mu — słusznie — wielką przyszłość. Miał niezwykle dar budzenia zaufania i sympatii, bez którego trudno marzyć o sukcesach na wybranym przez niego polu. Nie był to zresztą trick, ułatwiający załatwianie interesów, nie, John był naprawdę serdeczny i uczynny. Natychmiast zauważył moje trudności, wynikające z niedoskonałej znajomości języka i obyczajów, a przede wszystkim z rozpaczliwego poczucia obcości i samotności; jego pomocy i opiece zawdzięczam moje psychiczne przystosowanie się do życia na obczyźnie, rozplynięcie się osadu gorczy i poczucia krzywdy, krzywdy prywatnej i narodowej, które zatrwały mi pierwsze lata w Anglii. Stałem się bardzo częstym gościem w domu Johna, gdzie spotkałem się z taką samą życzliwością i zrozumieniem ze strony Celi. Nasze stosunki nie urwały się, gdy John przeszedł do większej firmy; ja zresztą także zmieniłem miejsce pracy na lepsze, dzięki jego pośrednictwu. Dobrze to były, chociaż trudne czasy! Znajomi Saundersów, rekrutujący się przeważnie spośród ich sąsiadów, młodych małżeństw z dziećmi lub bez dzieci, systematycznie poszufladkowanych w identycznych domkach z małymi ogródkami

w jednym z północnych przedmieść Londynu, byli pełni energii, planów, zainteresowania życiem; na zebraniach, na które byłem zapraszany chyba głównie z tytułu mojej przyjaźni z Saundersami, mówiło się po trosze o wszystkim: o polityce, interesach, teatrze, książkach, filmach i muzyce.

Saundersowie mieli dwóch synów, których widywałem bardzo rzadko gdyż, naturalnie, cały rok szkolny spędzali w pierwszorządnej szkole z internatem. Chłopcy prezentowali się dobrze, uczyli się nieźle i odnosili sukcesy sportowe w szkolnych zawodach. Rodzice mówili o nich ze wstrzemięźliwą dumą, ale bez nadmiernej czułości. Tak, cała rodzina Saundersów mogła być uważana za szczęśliwą.

W miarę upływu lat i szybkich postępów kariery Johna atmosfera ich domu zmieniała się razem z samym domem, który stawał się coraz większy, usytuowany w coraz to zamożniejszym punkcie podlondyńskim, coraz bardziej luksusowy. Zmieniali się też sąsiedzi i znajomi; właściwie z dawnej paczki pozostało tylko ja jeden. Na zebraniach u Saundersów (ich nowi znajomi nie zapraszali mnie nigdy) mówiło się coraz więcej o interesach, sporo o polityce, ale bardzo już rzadko o książkach i muzyce. John był coraz bardziej zaangażowany swoją pracą i chociaż zawsze równie serdeczny w stosunku do mnie, coraz mniej mieliśmy sobie do powiedzenia. Trudno się zresztą temu dziwić; moja znajomość interesów pozostała równie ograniczona, jak poprzednio, a rosnąca zamożność mojego przyjaciela przy moim raczej wybitnie statycznym stanie majątkowym była często kłopotliwa dla nas obu. Stanowczo, kolejka podziemna i Jaguar nie chodzą w parze. Gdyby nie Celia, prawdopodobnie nasze stosunki urwałyby się. Ale Celia tak wyraźnie dawała mi do zrozumienia, że zależy jej na moich wizytach, witała mnie zawsze z taką radością, zajmowała się mną tak troskliwie na swych przyjęciach, że nie potrafiłem się zdobyć na zaprzestanie odwiedzania. Przy tym z Celią było o czym rozmawiać, jej zainteresowania nie odbiegły od moich; John żartobliwie wyprowadził nas razem na koncerty, czy do teatru, nazywając mnie swoim „materiałem zastępczym w dziedzinie dóbr kulturalnych“.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego nigdy nie zakochałem się w Celi mimo tak wielu okazji, mimo jej urody i inteligencji. Przypuszczam, że

był to wynik postawienia naszych stosunków na płaszczyźnie skrupulatnie przyjacielskiej, posuniętej do wzajemnych zwierzeń, oraz, naturalnie, mojego poczucia zobowiązania względem Johna. Zresztą Celia przy całym swoim cieple i serdeczności nie miała ani cienia kokieterii w sposobie bycia. Jakiekolwiek by tego nie były powody, pozostaliśmy parą bardzo oddanych przyjaciół. Toteż zdziwiło mnie i dotknęło, kiedy Celia zaczęła nagle nie mieć dla mnie czasu. To, chociaż nieprzyjemne, byłoby zrozumiałe, ale Celia nie miała również czasu dla Rubinsteina, dla Karajana, dla Vittorii De Los Angeles i Marii Callas! To już było zupełnie ponad pojęcie!

Po odrzuceniu przez Celię kilku moich koncertowych i teatralnych sugestii obraziłem się. „Łaska pańska na pstrym koniu jeździ!“ — powiedziałem sobie i mimo zaproszenia Johna nie poszedłem do Saundersów na zebranie towarzyskie. To poskutkowało: Celia zadzwoniła następnego dnia z wyrzutami i umówiła się ze mną na koncert. Byłem gotów wspaniałomyślnie wybaczyć jej okres karygodnego zaniedbania, ale zaskoczyła mnie dziwna zmiana: Celia była na koncercie roztargniona, słuchała muzyki bez zainteresowania, nie dała się wciągnąć w dyskusję na temat usłyszanego programu i powiedziała mi stąd, ni zowąd, że zaczęła się uczyć jazdy konnej. Ponieważ moja osobista znajomość koni ogranicza się do spożywania tych szlachetnych zwierząt w charakterze befsztyków i pieczenia w czasie okupacji, nie byłem w stanie powiedzieć na ten temat nic interesującego. Na moje pytanie: „Dlaczego?“ — powiedziała wymijająco: „Muszę przecież mieć trochę ruchu, inaczej stracę linię“, co było wierutnym kłamstwem, gdyż Celia należała do tych nielicznych szczęśliwych kobiet, które zachowują smukłą figurę bez najmniejszych starań nawet po przekroczeniu czterdziestki. Rozstaliśmy się mniej serdecznie, niż zazwyczaj.

Minęło kilka tygodni. Dotknięty zachowaniem się Celi nie próbowałem telefonować, ani zejść do Saundersów. Nieoczekiwanie, Celia znowu odezwała się pierwsza.

— Czy mogę się z tobą zobaczyć? — zapytała z miejsca. — Ale zupełnie prywatnie, na przykład u ciebie.

Byłem zaskoczony. W naszych stosunkach przyjęte było, że wobec rażącej różnicy naszych dochodów i warunków mieszkaniowych Saundersowie nie

odwiedzali mnie nigdy. Gdy chodziło o kogo innego, byłoby to może krepujące, ale w danym wypadku oceniałem to jako objaw delikatności z ich strony. Zgodziłem się chętnie; mój pojedynczy pokój z elektryczną fajerką do gotowania i umywalką za parawanem zupełnie nie pasował do odwiedzin Celi. Wykosztowałem się na drogie sherry i czekałem.

Celia przyszła punktualnie. Usiadła w fotelu, który na tę okazję wypożyczyłem od sąsiada, przyjęła podane sherry, powiodła niewidzącym spojrzeniem po pokoju i utkwiała swoje niebieskie oczy we mnie. Wyglądała mizernie.

— Jesteś jedyną osobą, do której się mogę zwrócić w tej sprawie, Teddy — powiedziała prosząco. — Rozchodzę się z Johnem.

— Co też ty opowiadasz! — zaprotestowałem, zaskoczony.

— Ale on jeszcze o tym nie wie — ciągnęła dalej. — I ty musisz mu o tym powiedzieć.

— Ja? — oburzyłem się. — Dlaczego właśnie ja?

Położyła mi rękę na dłoń.

— Zrobisz to dla mnie, prawda? Ja już próbowałam kilka razy, ale się nie mogę na to zdobyć. John jest zawsze taki dobry dla mnie. Nie umiem go skrzywdzić. Nie tak osobiście, w każdym razie.

Po krótkim oporze uległem. Okazało się, że Celia poznała pół roku temu pracującego w City nieco od niej młodszego Piotra Morrisa, którego rodzina mieszka na wsi, w Gloucestershire (stąd to nagłe zainteresowanie się jazdą konną!) i sama nie wie jak, ale są w sobie zakochani po uszy; nie rozumie, jak mogła dotąd żyć bez Piotra i nie widzi życia bez niego.

— A John? A dzieci? — zapytałem surowo.

To się przecież jakoś ułoży, tłumaczyła z zakłopotaniem. John jest jeszcze młody, znajdzie sobie kogo innego. Chłopcy nie są już dziećmi, poza tym praktycznie cały rok spędzają poza domem, zimą w szkole, lato u jej rodziny na wsi.

Długo się zastanawiałem po jej odejściu, jak załatwić sprawę z Johnem. Przecież dla niego to będzie straszny cios! Zawsze się starał być takim dobrym mężem i ojcem. Naturalnie, w obecnych czasach popelnianie samobójstwa z powodu rozerwanego małżeństwa jest już niemodne, ale człowiek o jego charakterze przeżyje to bardzo ciężko.

John był trochę zdziwiony moim telefonem, ale zgodził się wpaść do mnie bez wahania. Naturalnie, nie zaraz, bo do piątku nie ma ani sekundy czasu. Ale w piątek zjawia się bez zawodu.

John był niemiernie punktualny od Celi.

— Zawsze byłem ciekaw, jak też ty

mieszkaś — powiedział, siadając. — Przypomina mi to moje pierwsze samodzielne mieszkanie w Londynie, tylko mój pokój był mniejszy i bardziej odrapany. Twój ma bardzo porządne tapety.

Przerwałem mu:

— John, słuchaj, nie będziemy mówić o moim pokoju. Chodzi o sprawy ważniejsze.

— Zapalisz? — podsunął mi złotą papierosnicę.

— Nie! Słuchaj — zgodnie z opracowanym planem działania miałem mu natychmiast wypalić prawdę w oczy — Celia chce od ciebie odejść.

Ręka, zapalająca papierosa, nawet nie drgnęła. „Silny charakter!“ — pomyślałem z uznaniem. Zaciągnął się głęboko i spojrzał na mnie uważnie.

— I ciebie, jako przyjaciela rodziny, upoważniła do przeprowadzenia rokowań w swoim imieniu? — zdawało mi się, że wyczuwam w jego głosie nutę ironii.

— Coś w tym rodzaju — nie dałem się zbici z tropu. — Wiesz przecież, jak jestem wam obojgu oddany. I możesz mi wierzyć...

— Nigdy w to nie wątpiłem — powiedział ciepło. — Mów, co masz do powiedzenia, nie krepuj się.

Powiedziałem. Starałem się wytłumaczyć, jak zaskoczona jest sama Celia takim rozwojem wypadków, jak trudno byłoby jej samej to wszystko powiedzieć, jak ocenia jego dobroć i poświęcenie, jak z góry zgadza się na wszystkie jego warunki. John wysłuchał mnie, milcząc. Skończywszy, z niepokojem czekałem na jego słowa. Podniósł na mnie oczy i uśmiechnął się.

— Co za ulga! — powiedział.

— Nie rozumiem. Co chcesz przez to powiedzieć? — byłem zaskoczony i zgorzchny.

— Cóż chcesz, mój drogi. Jestem w podobnej sytuacji, co Celia. Prawdopodobnie widzę to mniej romantycznie od niej, nie jako miłość od pierwszego wejrzenia, ale po prostu chęć zmiany partnera, który mnie przestał od dawna interesować fizycznie i psychicznie. Oczywiście, po tylu latach spędzonych razem nie chciałbym Celi robić krzywdy — niczym na to nie zasłużyła; ale jeśli ona sama chce odejść, na pewno nie będę miał nic przeciw temu.

Widząc moje zaskoczenie, dodał:

— Nie martw się nami, Teddy. Wszystko się jakoś ułoży. Wszystko się zawsze jakoś układa.

Reszta wydarzeń jest mi znana tylko z gazet, bo już nigdy więcej nie widziałem Johna ani Celi. Po rozwodzie, John ożenił się z modelką, młodszą od siebie o lat dwadzieścia, ale pół roku temu rozwiódł się z nią. Celia nie wyszła za Morrisa, ale nieco później czy-

tałem o jej ślubie z emerytowanym admirałem, bardzo jeszcze rzeźko wyglądającym na fotografii. Miło jest zobaczyć podobizny swoich przyjaciół w gazetach, zwłaszcza, jeśli im się dobrze powodzi.

Ja mieszkam po staremu w moim pokoju z fajerką elektryczną i zlewem za parawanem, tylko tapety są już bardzo zniszczone. Rozmawiałem o tym z gospodarzem, ale twierdzi, że przy podatkach, które płaci, odnawianie mu się nie opłaca.

S. Wóycicki

TEODOZYJA LISIEWICZ

„MARIA i MARTA”

BYWA, że rozgłasza się jakąś „prawdę” wiedząc, a może nie chcąc wiedzieć, że ta z prawdą się nie zgadza. Do jednej z nich należy krajowa legenda o Zofii Kossak, „która na emigracji niczego nie napisała, prócz książeczki „Z otchłani” (Polski Dom Wydawniczy, Rzym 1946); dopiero po powrocie do Kraju powstało „Przymierze”, powieść o Abrahamic, następnie „Dziedzictwo”, powieść biograficzno-historyczna.”

Przed wszystkim Zofia Kossak nigdy nie uważała siebie za emigrantkę. Przyjechała do Włoch w 1945/46 roku za paszportem Polski Ludowej, następnie do Anglii, jako „delegat Polskiego Czerwonego Krzyża”. Zbiegiem okoliczności, jej funkcja, honorowa czy rzeczywista, związała się z szybką likwidacją uchodźczego P. C. K. Emigracja, jakkolwiek nie zaprawiona jeszcze w kontrataku, zdołała przecież w ostatniej chwili uratować cząstkę swojej doskonałej placówki, zamieniając ją w Tow. Pomocy Polakom.

Zofia Kossak nie wracała do Kraju. Czy był to protest pisarki katolickiej przeciwko okupacji Polski, przeciwko ustrojowi uderzającemu w ideologię, którą głosiła w swoich dziełach? Protest — lecz przeciwko temu, że w Kraju nie drukowano wtenczas jej powieści.

Duch ewangeliczny Marii, przenikający każdą pracę Zofii Kossak, zawsze spotyka się z bardzo trzeźwym zmysłem praktycznym Marty. W psychice pisarki te dwa elementy są jakby nierozdzielne. Niczym szyny kolejowe, które krzyżują się z sobą, płaczą, żeby w pewnej chwili wyrównać kierunek i znów dążyć obok siebie równolegle, że trudno się zorientować, która teraz jest

(Dokończenie na str. 47)

MARIA I MARTA

(Dokończenie ze strony 46)

prawa, a która lewa. Zatem już sam protest praktycznej Marty — gdyby nawet autorka nie zaznaczała swojego stanowiska nie-emigrantki — stawał ją na innej płaszczyźnie, aniżeli emigrację polityczną.

Marta, za sumy otrzymane z depozytu kuratora praw autorskich za swoje książki drukowane w okresie wojny w Anglii i na Śr. Wschodzie, chronione przez rząd polski w Londynie, nabyła dom na Ealing. Od nowojorskiej firmy „Rój“, za książki wydane w tym samym czasie po polsku i po angielsku, otrzymała około 40 tysięcy dolarów. Z swoim mężem, majorem Szatkowskim, gospodarowała na własnej farmie. Był zatem dom w Londynie, farma w Kornwalii, były kapitały, czyli — niezależność materialna, podstawa swobodnej twórczości każdego piszącego. Dlatego od 1947-1957 r., wydaniem londyńskiegogo „Veritasu“, ukazały się: „Przymierze“, „Błogosławiona wina“, powieść przerobiona z przedwojennej „Beatum Scellus“, „Rok Polski“ i obrazek sceniczny „Kielich Krwi“. W Szwajcarii, po niemiecku, wyszła rozprawka ideologiczno-dyskusyjna, „Antlitz der Mutter“, Nie ukazała się po polsku, ponieważ pogląd autorki na duchowe przyczyny ostatniej wojny zbyt odbiegł od poglądu emigracji stojącej na gruncie narodowo-politycznym. Ostatnią zaś książką Zofii Kossak, napisaną i wydaną w Anglii, był 1-szy tom „Dziedzictwa“, Wydawnictwo Polskie „Tern-Rybitwa“. Tego samego „Dziedzictwa“, o którym legenda krajowa głosi, że powstało dopiero w Polsce Ludowej.

Teraz pytanie kłępiące, lecz konieczne: czy w Anglii, autorka musiała pracować fizycznie, jak legenda głosi? Pracowała, ale tylko z własnej nieprzymuszonej woli. Zamiast na farmie angielskiej, gdzie samemu trzeba chodzić koło gospodarstwa, mogła osiąść w swoim domu w Londynie. Nie chciała. Dom oddała synowi, inżynierowi. Być może, przeważała tu ideologia Marii, która wyrobniczą pracą pragnęła dziękować Panu za ocalenie z obozu niemieckiego i zesłane na nią dobrodziejstwa.

Nagle — mimo rządów bierutowskich — postanowiła wrócić do Kraju. Decyzję powzięła zapewne praktyczną Marta, ponieważ Pax, instytucja skierowana przeciwko Kościołowi, zaczął drukować jej dzieła.

Likwidacja interesów w Anglii przeciągnęła się aż poza wypadki poznańskie, przez co „odwilż“, idąca po linii, jakby można sądzić ideologii Marii, zbiegła się z planami Marty. I kiedy w Kraju witano Marię, której zmiany

w Polsce otworzyły zamknięte przed nią wrota, na Martę czekały już kapitały, honoraria, nagroda pieniężna, wygodne jak na obecne stosunki mieszkanie w Warszawie i jej przedwojenna resztówka na Śląsku, koło Skoczowa. Tak z jednego klimatu sprzyjającego twórczości, autorka łatwo mogła przenieść się w drugi. Od razu też ukazały się w Paxie przedruki 1-go tomu „Dziedzictwa“, w odcinkach i w wydaniu książkowym, a niedługo potem tom 2-gi. Ten ostatni tym łatwiej, że autorka miała materiały przygotowane w Anglii, dzięki firmie Wydawnictwo Polskie „Tern-Rybitwa“, z którą podpisała w Londynie umowę na wyłączność wydania całości. Jednak trzeźwa Marta, bez skrupułów, tę samą umowę zawarła teraz ponownie — z Paxem. O tym, że pierwszy, zasadniczy tom wyszedł w Anglii, nie tylko, że milczy się w Kraju, ale na przedruku podaje się: wydanie pierwsze! Tak jak „Błogosławioną Winę“, która w londyńskim „Veritasie“ miała dwa wydania, Pax podaje jako swoje — pierwsze. Autorka przystąpiła wnet do pracy nad drugą powieścią lublińską, do której materiały również zebrała zagranicą.

Wracam jednak do powieści o Abrahamie, bo kryje się w tym pewien symbol. „Przymierze“! Emigracji z Paxem? Nie. Bo Pax przedrukowując „Przymierze“ również przemilczał, że pierwsze wydanie ukazało się w „Veritasie“, zamiast zaznaczyć, że jest to wydanie drugie, siebie podał jako pierwszego wydawcę. Jakie przymierze zatem? Filozofki chrześcijańskiej Marii — z taktyką praktycznej Marty.

Łączenie tych dwu elementów odbija się na twórczości, zmienia jej charakter. Z chwilą kiedy akcja Marty zaprzecza ideom głoszonym przez Marię, czytelnik traci zaufanie do autorki, dzieło zaś traci na szczości.

Komunizm usuwa ideę chrystianizmu nagiąć do swojej, głosząc że obie są niemal jednakowe: braterstwo, miłosierdzie, szerzenie miru światowego, równość społeczna. Rzeczywistość jednak przekreśla wszelką analogię. Komunizm nie uznaje człowieka jako jednostki indywidualnej; zamiast miłowania wprowadza nienawiść; równość społeczną i mir światowy zrywa, nawołując do walki klasowej w imię — „równości“ i „pokoju“. Duchowi, jakim przepojone jest chrześcijaństwo, owo zasadnicze poddanie się w wszystkim istocie najwyższej, Stwórcy — wypowiada otwartą wojnę.

Gdzież więc analogia i możliwość połączenia z sobą obu idei? Nie wyjaśni tego ani stłumiony już głos Marii, ani Marta, która trószczy się i frasuje „około bardzo wiele“.

Teodozya Lisiewicz

MIESIĄC INWALIDY

J. E. KS. BISKUP W. RUBIN DELEGAT PRYMASA POLSKI DLA POLAKÓW NA UCHODŹSTWIE W CZASIE ODWIEDZIN W DOMU INWALIDY W BIRMINGHAM POWIĘDZIAŁ:

„...Pomoc da inwalidów wojennych będzie zawsze leżeć mi na sercu. Wasz udział w wysiłku wojennym był wielki; dziś również dużo dajecie; ból, cierpienia spowodowane Waszymi ranami, to wszystko liczy się u Boga... Jako dowód mej życzliwości dla Was udzielim Wam mego błogosławieństwa“...

DRODZY RODACY!

Związek Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych zwraca się do Was z gorącym apelem o składanie ofiar pieniężnych na pomoc inwalidom wojennym.

Inwalidów tych przebywa na uchodźstwie w różnych krajach osiedlenia około 8-miu tysięcy, a największe ich skupisko to Wielka Brytania w liczbie około 6-ciu tysięcy.

Wielu z nich utraciło całkowitą lub częściową zdolność zarobkowania.

Dla ulżenia ich doli Związek Inwalidów Wojennych PSZ corocznie przeprowadza akcję zbiórkową pod nazwą:

„MIESIĄC INWALIDY“

Dochód z tej zbiórki jest przeznaczony przede wszystkim na bezpośrednią pomoc pieniężną tym inwalidom wojennym, którzy tej pomocy najbardziej potrzebują.

Przychodzimy z pomocą materialną kolegom w Polsce, a przede wszystkim tym, którzy powrócili do Ojczyzny z Zachodu. Obok pomocy materialnej zapewniamy naszym kolegom w szerokim zakresie poradnictwo oraz opiekę prawną.

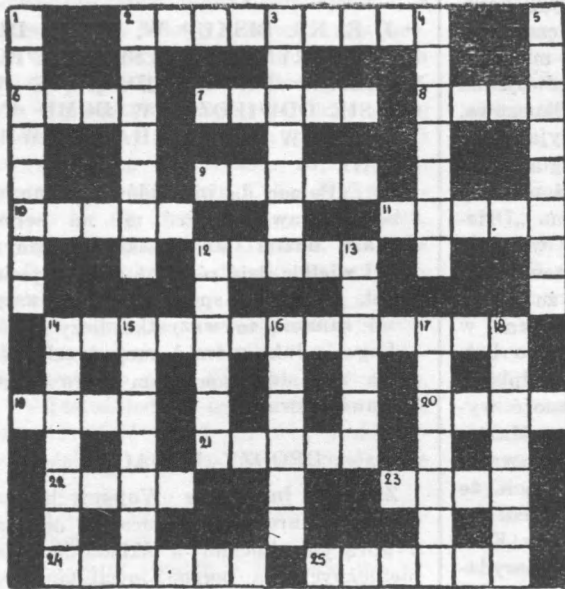
Niesiemy pomoc wszystkim polskim inwalidom wojennym bez względu na ich pochodzenie i bez względu na ich członkowską przynależność do Związku Inwalidów Wojennych.

Wierzmy, iż również w tym roku nie zapomnicie o niedoli byłych żołnierzy, którzy nie oszczędzili swej krwi na polach walk o niepodległość naszej Ojczyzny i choćby najskromniejszą ofiarą dacie wyraz Waszej pamięci o nich.

ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU INWALIDÓW WOJENNYCH POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

Ofiary prosimy składać do lokalnych Komitetów Zbiórkowych, lub wprost na adres:

THE UNION OF POLISH WAR DISABLED EX-SERVICEMEN
5, BATH ROAD, LONDON W. 4



ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) miejsce literackiego wesela; 6) jest granicą Polski z Rumunią; 7) „...jak śnieg biała”; 8) jednostka pomieszczenia; 9) Awarowie i Połowcy?; 10) i 11) błazeń; 12) może być miejscem kary?; 14) bliźniaki włoskie (7, 1, 5); 19) instrument muzyczny z bitwą; 20) ojciec wyżej podanych bliźniaków; 21) tłum (wspak); 22) i 23) wesoly, dobroduszny; 24) jest bohaterem Beaumarchais i Mozarta (wspak); 25) wiotka.

Pionowe: 1) lwowska pi-sarka dramatyczna; 2) zawsze strzela, choćby się składała z butelek?; 3)

zwierz, przyjaciel Mickiewicza; 4) dawne strzelby (wspak); 5) każdy z niego łasy; 12) sakiwka; 13) gdy pod nim trzymasz, to znaczy, że chcesz ukryć; 14) „...klucznikiem siebie tytułował“ (Pan Tadeusz); 15) okresowa wycieczka? 16) bryła; 17) członek panującej klasy w dawnym Egipcie; 18) upiór.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 574/65

Poziome: 1) i 5) zmarszczka, 3) i 16) kordon, 8) Scylla, 10) kakadu, 11) zwada, 12) przypuszczalnie, 15) rączy, 18) skaza (wspak), 20) i 22) Charybda, 21) Praga, 25) bałagan, 26) wodewil, 27) różowe okulary.

Pionowe: 1) zastęp, 2) Asyż, 4) ziarno (wspak), 6) Znak, 7) aluzje, 9) Burza (wspak), 10) kabza, 13) bruzdy (wspak), 14) dyszel (wspak), 15) rachuba, 16) daremnie, 17) nagłówek, 19) szakale, 23) Olga (wspak), 24) Lida (wspak).

UWAGI PRZYDROŻNE

Jest rzeczą straszną, gdy głupota sprzymierza się z cnotą. Trudno jest wtedy zwalczać głupotę, bo demagodzy zaczynają krzyczeć, że zwalcza się cnotę.



W okresach niepowodzenia i trudności nie staraj się widywać z ludźmi. Unikniesz wtedy nieprzyjemnego stwierdzenia, że nawet tacy znajomi, o których przypuszczałeś, że są przynajmniej dobrze wychowani, okażą ci, że się myliłeś.



Podłoże dla wyłonienia się dyktatury przygotowują zwykle ci, którzy są jej zasadniczymi wrogami i którzy później najbardziej pod nią cierpią.



Nie może istnieć władza bez sity. Chodzi tylko o to, w jakim celu, w jakim zasięgu i jakim sposobem się jej używa. A to zależy nie tylko od rządzących, ale również od rządzonych.

ATOM

— POPIERAJ FIRMY POLSKIE —

Dla wyjeżdżających na urlop do Włoch
polecamy przewodnik

POLAK W RZYMIE

W. Zahorskiego z ilustr. Samuela Tyszkiewicza. Str. 125 — Cena 10/-

NOWOŚCI WYDAWNICZE:

DAVID FLOYD

RUMUNIA — Intryga czy wyzwanie?

Znany dziennikarz angielski analizuje przyczyny i skutki schizmy rumuńskiej w bloku komunistycznym. Str. 151 — Cena 15/-

POLEMIKI — Zeszyt III.

A. Bregman, A. Ciołkosz, J. Łobodowski, S. Korboński, J. Krok-Paszkowski i J. Pomian polemizują z autorami krajowymi na tematy dotyczące najnowszej historii Polski. Str. 125 — Cena 8/6

Pewna ilość Zeszytu II jeszcze do nabycia.

Poleca: POLONIA BOOK FUND LTD. — 10, Queen Anne's Gdns., LONDON, W.4, tel. CHI 4723, oraz księgarnie polskie.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto pocz. 7315-20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. I P.C.A. PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road, London, S.W.11. — Tel. BAT 1445
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7. — Tel. KNI 3500



w najbliższych miesiącach wypuszczą na rynek księgarski szereg nowych wydawnictw:

Michał Sokolnicki — PAMIĘTNIK ANKARSKI. Stron 576. Ilustracje i indeks.
Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 32.00.

Senior polityków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914“. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY. Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Powieść mieszczańska, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków w Warszawie, okupowanej przez Niemców. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się w niezwykłych warunkach życie przeciw normalnych ludzi, zwykłych mieszczan — toczy się nieubłagane w kierunku śmierci. Trafność psychologicznych obserwacji, szczerłość ekspresji oraz styl czynią z książki wartościową pozycję w literaturze tego okresu. Przed kilku laty ukazała się ona w przekładzie hebrajskim i została przyjęta pochlebna krytyka.

Lidia i Adam Ciołkoszowie — HISTORIA SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I. (Od zarania do r. 1872). Str. około 850. Bogato ilustrowana.
Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Na wielką skalę zakrojone dzieło o polskim socjalizmie i polskim ruchu robotniczym od jego początków do czasów Komuny Paryskiej. Autorzy w swej pracy wykorzystali mnóstwo materiałów dokumentarnych, dotychczas nigdzie nieogłoszonych. Nieodzowna książka dla poznania społecznych i politycznych dziejów Polski XIX stulecia, ukazuje w prawdziwym świetle niepodległościowe tendencje polskiego ruchu robotniczego.

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM. Str. około 500. Ilustracje.
Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. Gawędy swą treścią i formą stanowią wspaniałą lekturę dla każdego czytelnika bez względu na wiek, smak literacki i zainteresowania. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczonej historiozoficzną pointą. Każdy rozdział stanowi całość. W sumie książkę czyta się jak najlepsze felietony Nowakowskiego.

Kazimierz Klochowicz — CZTERY NIEDOTRZYMANE PAKTY. Str. około 220.
Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Zwięzły i syntetyczny przegląd czterech paktów, zawartych przez Polskę, celem ratowania pokoju w Europie. Żaden z nich nie został dotrzymany wobec Polski: pakt nieagresji z Sowietami i Niemcami oraz pakt o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią. Autor obiektywnie omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

Kazimierz Sosnkowski — PISMA WYBRANE. Str. około 650.
Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Żołnierz Józefa Piłsudskiego, „szef“ Legionów, naczelny wódz po śmierci gen. W. Sikorskiego, desygnowany na stanowisko prezydenta R.P. — publicysta, myśliciel i polityk — przedstawia w tym bogatym sympozjonie najważniejsze dokumenty i publiczne wystąpienia w najtrudniejszych okresach swojego bogatego i ciekawego życia. „Pisma wybrane“ ukażą się w pięknej szacie zewnętrznej. „Gryf“ — „Księgarnia SPK“ współpracują z Komitetem Wydawniczym Dzieł Kazimierza Sosnkowskiego w Nowym Jorku, który prowadzi sprzedaż wydawnictwa na terenie Ameryki.

Gen. A. J. Narbutt-Łuczyński — U KRESU WĘDRÓWKI (wspomnienia). Str. około 500.
Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 42.00.

Wspomnienia obejmują okres od udziału autora w organizacjach paramilitarnych sprzed pierwszej wojny światowej aż do momentu odtwarzania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w okresie drugiej wojny światowej. Zarówno okres pierwszej wojny światowej jak dwudziestolecie niepodległości i druga wojna światowa poza faktami i szczegółami mało znanymi zawierają własne oceny autora, patrzące zawsze oczyma gorącego patrioty i żołnierza.

★ ★ ★

KSIĘGARNIA S.P.K. OTWARTA JEST CODZIENNIE: OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU W GODZ. 10—19 I W SOBOTY W GODZ. 10—16. ZAMÓWIENIA POCZTOWE ZAŁATWIAMY ODWROTNIE.

P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

PROWADZI WŁASNĄ

KSIĘGARNIĘ SPK

- bogato zaopatrzoną w prasę, wydawnictwa emigracyjne i krajowe,
- posiadającą skład główny (na zasadzie wyłączności) wszystkich wydawnictw: INSTYTUTU IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO, POLSKIEGO TOW. HISTORYCZNEGO W WIELKIEJ BRYTANII, POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- zaopatrzoną we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych.

★

Kupując polskie książki i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najwłaściwszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

JUŻ NADESZŁA

Wódka Soplica 70 pr.

w Polsce uważana za
najlepszą
cena za $\frac{1}{2}$ l. but. 37/-

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE!

Zamówienia hurtowe przyjmuje:

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, London, W. 1.

SZYBKIE



**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

T A Z A B

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre,
Paris 17-e.